ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XV.—OGÓLNEGO ZBIORU TOM LVIII.

TOM II.—ZESZYT I.

Kwiecień.

WARSZAWA.

1890.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

Druk ukończono dnia 15 Kwietnia 1890 r.



DĄŻENIA FILARETÓW

W ŚWIETLE POJĘĆ OBECNYCH.

Niech sobie, co chcą, mówią zimni egoiści, nie sięgający wzrokiem po za koniec swego nosa, niech domorośli Mefistofele ośmieszają, jak chcą, rzeczy, nie mogące się pomieścić w ich ciasnych mózgach, — faktem jest jednak niezaprzeczonym, iż nie samym chlebem człowiek żyje.

Jest w głębi duszy ludzkiéj nieprzeparte pragnienie ideału; pod popiołem pospolitych uczuć i myśli tleje w niéj jakaś iskierka boża, która czasem rozpłomienia się w ogień szlachetnych dążeń i wielkich czynów, czasem gaśnie zupełnie pod zimném tchnieniem powszedniości życia.

Są wprawdzie ludzie, którym obce zupełnie wyższe pragnienia, którzy myślą nigdy nie sięgają po za ciasny krąg swych codziennych zajęć; istnienie jednak takich jednostek nie dowodzi wcale, aby owe wyższe uczucia nie były wrodzone duszy ludzkiéj: — wszakże bywają ślepi od urodzenia, a jednak wzrok jest jednym ze zmysłów wrodzonych człowiekowi. I w świecie moralnym bywają podobne zboczenia. Iż rzeczywiście są to tylko zboczenia, możemy się o tém dowodnie przekonać, jeśli rozważać będziemy nie jednostki, lecz szersze typy natury ludzkiéj. Naród nie może się obejść bez ideałów: one stanowią istotną cechę jego indywidualności, świadczą o żywotnéj sile jego istnienia. Narodowość jest to zbiór duchowych znamion, określających cywilizacyjne dążenia jakiéjś grupy społecznéj; główną dźwignią tych dążeń są wyższe aspiracye duchowe: zatém naród, któryby je zupełnie zatracił, pozbawia się tém samém wszelkiéj racyi bytu, przestaje być narodem, zamienia się na stado bezmyślnych istot, nie mających wyż-

szych znamion człowieczeństwa. Z innego punktu zapatrując się, możemy zgodnie z wielu nowoczesnymi myślicielami, określić narodowość jako pewien odrębny, żyjący organizm społeczny; zasadniczém zaś prawem życia jest nieustanny rozwój. W życiu organizmu narodowego to prawo objawia się w różnostronnym postępie cywilizacyjnym, a jeśli ten okaże się niemożliwym, wskutek zupełnego zaniku wewnętrznych jego bodźców, wtedy naród przestaje być żyjącym organizmem, zamienia się w martwą masę, która, na mocy ogólnego prawa natury, musi się rozpaść na składowe pierwiastki.

W samém więc pojęciu człowieka, jako istoty społecznéj, jako jednostki narodowéj tkwi konieczne przypuszczenie wyższych znamion duchowych. Jednakowoż rzeczywistość życiowa okazuje nam, iż nawet w społeczeństwach, obdarzonych znacznym zasobem żywotności, ogół pozbawiony jest tych znamion; zasklepiając się w sferze codziennych trosk i zabiegów, niekiedy tylko, w chwilach wyjątkowego podniecenia życia duchowego, wznosi się ponad tę ciasną sferę; — tylko niewielka stosunkowo ilość jednostek odznacza się wyższym poziomem uczuć i myśli; w nich też streszcza się głównie żywotna siła narodu, one są jego przewodnikami w pochodzie cywilizacyjnym. Pewna ilość duchowego życia zawsze się musi znajdować w całéj masie narodowéj, tylko rozłożona w niéj bywa rozmaicie; historya wskazuje nam nieraz, że im bardziéj upada siła idealnych aspiracyi w jakim narodzie, tém większe natężenie osiąga w wybranych jednostkach. Życie społeczne jest jak morze: gdy w jedném miejscu poziom jego ulegnie obniżeniu, w inném ponad zwykłą wznosi się miarę.

Różne przyczyny wpływają na rozwinięcie wyższych uczuć w duszy ludzkiéj: ogólny zasób uzdolnienia umysłowego, skłonności wrodzone, warunki życia i t. p.; nie ulega jednak wątpliwości, iż nadzwyczaj ważne są wpływy, oddziaływające w wieku młodzieńczym. Młodość — to epoka najpełniejszego rozwoju wewnętrznych sił człowieka. Serce wtedy żywiéj uderza, myśl swobodniejszym wznosi się polotem, wszelkie wrażenia silniejsze i trwalsze pozostawiają ślady. Jeśli więc w téj epoce życia wpływy zewnętrzne zwrócą umysł ku rzeczom wyższym, jeśli serce przejmie się miłością dla idei, ślady tych wpływów i w późniejszym wieku donośném odbiją się echem. Nadto, ze świeżéj wrażliwości uczuciowéj, właściwéj młodemu wiekowi, wynika większa siła współczucia, która sprawia, iż w solidarnych gronach młodzieży potęgują się przez wpływ wzajemny wszelkie aspiracye i pragnienia duchowe i zwrócone zostają w jednym określonym kierunku.

„Nieraz — mówi Mickiewicz — zauważono w historyi grupy ludzi młodych, którzy, pochodząc z téj saméj okolicy, lub kształcąc się w téj

saméj szkole, następnie odznaczają się, walcząc na różnych punktach za tę samą ideę.“

Wygłaszając te słowa z katedry kolegium francuskiego, miał Mickiewicz niewątpliwie na myśli wspomnienia swéj własnéj młodości, owéj młodości „górnéj i chmurnéj“, spędzonéj w gronie filareckich braci, kiedy serce jego uderzało w jeden takt z sercami dzielnych towarzyszy, kiedy łącznie z niemi na skrzydłach wspólnych myśli i marzeń wznosił się w wysokie krainy ideału. Szczęśliwe to były czasy!—błogosławione dla przyszłości owe uniesienia i zapały młodzieńcze. Z nich wyszło odrodzenie poezyi narodowéj, one stały się pierwszym bodźcem, pobudzającym twórczą siłę największego z naszych poetów.

Zadaniem niniejszéj pracy jest właśnie przypomnienie téj tak stosunkowo niedawnéj, a tak już od nas dalekiéj epoki. Nie zamierzam tu jednak zastanawiać się nad historyą i działalnością filareckiego związku. Znane to są rzeczy, o ile dotychczas dostępne źródła pozwoliły je zbadać; na tém miejscu pragnąłbym jedynie wniknąć w ducha dążeń filareckich, o ile się on odbija w poezyi Mickiewicza, przedstawić w krótkim zarysie pogląd na ogólne znaczenie tych dążeń i stosunek do obecnych czasów.

I.

Pomiędzy utworami Mickiewicza znajdują się dwa, które niezmiernie charakterystycznie odźwierciadlają nastrój duchowy, panujący wśród wileńskich jego towarzyszy, są to: „Pieśń Filaretów“ i „Oda do młodości.“ Zastanówmy się kolejno nad tymi utworami.

W „Pieśni Filaretów“ właściwie tylko dwie zwrotki określają ducha dążeń filareckich. Początek naśladowany jest z jakiéjś niemieckiéj pieśni burszowskiéj, w dalszych zwrotkach przebija świéża energia i hulaszcza nieco buta natury młodzieńczéj, — dopiéro pod koniec spotykamy myśl głęboką i oryginalną:

Cyrkle, wagi i miary
Do martwych użyj brył:
Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar wedle sił!...

Bo, gdzie się serca palą,
Cyrklem uniesień duch,
Dobro powszechne skalą,
Jedność większa od dwóch.

W „Odzie do młodości,“ jak i w „Pieśni Filaretów,“ wyraża się niespożyta siła zapału młodzieńczego i wzniosłych, idealnych porywów; tylko że te żywioły, zaledwie zaznaczone w pieśni, w odzie rozwinięte są w całéj pełni, oddane z najwyższém natchnieniem poetyckiém. Natchnienie unosi tu poetę na tak niedościgłe wyżyny, iż, podążając za błyskawicznym pędem jego fantazyi, doznajemy jakby

zawrotu głowy, nie zdołamy objąć myślą roztwierających się tu przed nami obszarów idealnego świata, zalanych morzem najcudniejszych barw poezyi, rozjaśnionych promieniami wieszczego natchnienia.

Chcąc mnie zrozumieć, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie—

powiedział w inném miejscu poeta. Słowa te dobitnie charakteryzują naturę jego twórczości. Mickiewicz niekiedy tak jest głęboki, tak niedościgły w swym locie, iż zwykła myśl ludzka, niezdolna wniknąć w najgłębszą treść jego ducha. Często téż bywa niezrozumiany; uwielbienie dla niektórych wzniosłych pomysłów wieszcza jest czasem raczéj skutkiem mimowolnego poddania się urokowi poezyi, aniżeli przeniknięcia się jego myślą i uczuciem. Wszyscy wprawdzie pojmujemy „Pana Tadeusza,“ bo tu poeta zawarł w nieśmiertelnych kształtach piękna zwykły bieg naszego życia, nasz byt powszedni z całą rozmaitością jego uczuć, dążeń i zabiegów, ale takie rzeczy, jak: „Odę do młodości,“ „Pieśń wajdeloty,“ „Improwizacyą,“ możemy tylko należycie pojąć i odczuć w chwili najwyższego natężenia naszych władz duchowych, co u zwykłych śmiertelników nie często się zdarza. Sprobujmy jednak zdać sobie sprawę z tych potężnych wrażeń, jakie ona może i powinna wywołać w każdym umyśle, zdolnym choć niekiedy wznieść się w podniebne krainy ideału.

Bez serc, bez ducha — to szkieletów ludy!

Tak rozpoczyna poeta swą pieśń natchnioną. Przeciwstawienie bezdusznéj pospolitości codziennego życia szczytnym zapędom natchnień duchowych.

Na skrzydłach natchnienia wieszczego i młodzieńczego zapału wzlatuje poeta nad martwe światy:

W rajską dziedzinę ułudy;
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem,
I obleka nadzieję w złote malowidła!...

Tutaj zawierają się słowa, mogące dać powód do nieporozumienia. Jakto, mamy ułudę przekładać nad rzeczywistość? mamy żyć i karmić się złudzeniem? Zacny Supiński, który tak głęboko umiał czuć we właściwym sobie zakresie, ale na poezyi się nie znał, kilkakrotnie w ironicznym tonie wspomina tę „rajską dziedzinę ułudy.“ I zapewne, w tém znaczeniu, jakie jéj nadaje, ma zupełną racyą. Jeżeli jest to owa ułudna kraina różanych, a bezmyślnych nadziei, apatycznéj drzémki umysłów, kraina, w któréj tak lubimy przebywać—Boże, od niéj zachowaj! albo raczéj, Boże, wyprowadź nas z niéj! Ale nie taką ułudę miał poeta na myśli. Jest to dziedzina, „kędy zapał tworzy cu-

dy,“ kędy duch ludzki nabiéra nowych sił, nowéj energii wewnętrznéj, dziedzina prawdziwéj poezyi, która stwarza, ponad otaczającym nas światem rzeczywistym, inny świat idealny, ułudny, ale niemniéj przeto prawdziwy. W tym świecie objawy życia rzeczywistego ukazują się w swéj postaci najistotniejszéj, w takiéj, jaką one przybraćby mogły i powinny, gdyby nieustanne przeciwdziałanie wrogich sił nie tamowało swobodnego ich rozwoju. Rzeczywistość—to bezmierne morze zjawisk, w którém promienie ideału odbijają się złotemi barwami i w burzliwym pędzie przelewają się wiekuiste fale istnienia. Ale powierzchnia jego pokryta brudną szumowiną powszedniości. Jednostka ludzka, niby drobne żyjątko morskie, unoszone przez powszechny prąd bytu, nieraz uwięźnie w tych szumowinach i nic nie widzi oprócz tego nędznego skrawka rzeczywistości, w którym zamykają ją codzienne zabiegi i troski życia. Poezya wyrywa nas z tego ciasnego koła, z wyższego stanowiska pozwala spojrzéć na obszary rzeczywistego świata. Poezya prawdziwa, taka, która jest kwiatem życia, esencyą rzeczywistości, nikogo w błąd nie wprowadzi, kto ją należycie pojmuje. Ona nie odrywa nas od rzeczywistego życia, ale uwalnia z więzów powszedniości; ona ukazuje nam niezawsze to, co jest, ale zawsze to, co być może i powinno, wskazuje w dali ideał promienny, do którego dążyć musimy, jeśli jesteśmy prawdziwymi ludźmi, a nie kółkami olbrzymiéj maszyny społecznéj, poruszającymi się bezmyślnie w ciasnéj sferze egoizmu i powszedniości.

Z tych szczytów, na które nas wnosi boska fantazya poety, spojrzyjmy na dół, na ów „obszar gnuśności zalany odmętem“; patrzmy na ten niezrównany obraz samoluba, „co niby płaz w swéj skorupie, sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem, goni za żywiołkami drobniejszego płazu.“

To niewątpliwa rzeczywistość, ta zwykła powszednia rzeczywistość, która nas ciągle otacza, stanowi szarą tkankę codziennego życia. Ale jest inna jeszcze rzeczywistość, mniéj widoczna dla zwykłego oka, ale bardziéj istotna. Orle oko poety dostrzega ją, twórcza potęga wydobywa z pośród zamętu życia i oblека wzorzystą szatą poezyi i piękna. Wszak rzeczywistością jest również niezłomna potęga ducha ludzkiego, rzeczywistością szlachetniejsze popędy, drzémiące choćby w mikroskopijnych dozach w głębi duszy najzwyklejszych nawet ludzi, rzeczywistością jest również ten węzeł sympatyi, który łączy wszystkie istoty ludzkie, dążące do wspólnego celu. Otóż, gdyby te wszystkie żywioły zespolić w jednę całość: „zestrzelić myśli w jedno ognisko i w jedno ognisko duchy...“, gdyby cudownym sposobem rozjaśnić wzrok ludzi, ukazać im w dali choćby niezmierzonéj ten cel, który po-

winien być drogi każdemu człowiekowi, bo jest celem całéj ludzkości: szczęście, swobodę, światło powszechne, — czy te wszystkie potęgi, rozpłomienione ogniem najwyższéj miłości i poświęcenia, nie zdołałyby: „ruszyć z posad bryły świata i nowymi ją pchnąć tory?“ Czy nie zdołałyby rozproszyć głuchéj nocy, panującéj w krainach ludzkości?

A gdzież ta iskra twórcza, która rozpali płomień zapału? Gdzie owa heroiczna miłość ideału, uzdalniająca człowieka do nadludzkich wysiłków? Gdzie? W młodéj piersi, w myśli młodéj, silnéj świeżą potęgą wewnętrznéj energii ducha, przenikającéj okiem słońca ludzkości całéj ogromy. A więc:

Razem, młodzi przyjaciele!
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele,
Jednością silni, rozumni szałem,
Razem, młodzi przyjaciele!

Rozumni szałem!... Oto nowy kamień obrazy dla pospolitéj myśli ludzkiéj. Jakże połączyć te dwa tak sprzeczne pojęcia: szał i rozum?...

Zastanówmy się bliżéj nad tym punktem.

Wyżéj starałem się okazać, iż cały ten obraz młodzieńczych zapałów, jaki roztacza się przed nami w pieśni Mickiewicza, jest uidealizowaniem rzeczywistych objawów życia. Tak, wszystko to rzeczywistość; wszystko to nastąpić może, powinno, musi, jeśli życie nie jest jakąś niedorzeczną farsą, jakąś szaloną igraszką ślepych sił materyalnych. Ale urzeczywistnienie tych podniosłych aspiracyi w tak niezmierzonéj widnieje dali, w tak nadprzyrodzonych ukazuje się nam kształtach, iż oko zwykłego rozumu nie zdoła w pełni ich ogarnąć. Rozum pospolity, którym się ludzie zazwyczaj w życiu kierują, to suma mniéj lub więcéj rozległego doświadczenia, a gdzież w tém ostatniém znaleźć żywioły, z których mógłby się utworzyć ten wzniosły obraz oddalonéj przyszłości. Nie w doświadczeniu i opartéj na niém wiedzy rozumu znajduje się rękojmia jego urzeczywistnienia, lecz w głębi szlachetniejszych uczuć duszy ludzkiéj, w pragnieniu ideału, które po wszystkie czasy ożywiało serca ludzkie. Trwałość i niezłomność tego uczucia jest jedynym, ale nieprzepartym dowodem wyższych przeznaczeń człowieka, oraz możliwości urzeczywistnienia odpowiadających im doskonalszych form moralnego bytu ludzkości. Wiara w ową lepszą, doskonalszą przyszłość, płynie nie z przewidywań rozumowych, lecz z intuicyi uczuciowéj, stopień jéj siły zależy więc od spotęgowania uczucia; to ostatnie zaś w miarę swego wzrostu dąży do ogarnięcia całéj sfery świadomości ludzkiéj i, największe osiągając natężenie, staje się jakimś szałem ekstazy, wykluczającym zwykłą, nor-

malną świadomość. Taki stan pozbawia wprawdzie człowieka trzeźwéj rozwagi w ocenie istniejących stosunków życia, ale pozwala mu daléj i jaśniéj spojrzéć w odległą przyszłość; nie może, nie powinien przynajmniéj on być kierownikiem działalności naszéj (gdyż musi się zawsze rachować z istniejącymi warunkami), ale może ożywić energią naszych władz duchowych, stać się dzielnym bodźcem w dążeniu do coraz wyższego udoskonalenia. W nim jest źródło natchnień proroczych. Jest to ów boski szał, który ożywiał proroków wszystkich krajów i narodów, gdy wśród otaczających ich ciemności oglądali błyszczący w dali ideał przyszłości.

W podobnym stanie duchowym powstała też „Oda do młodości." Poeta wznosi się tu ponad zwykłe doświadczenie ludzkie, przekracza sferę opartych na niém przewidywań i, kierowany bezpośrednią intuicyą spotęgowanego uczucia, w blaskach natchnienia poetyckiego rozwija przed nami wspaniały obraz, kształtujący się w obszarach przyszłości z pierwiastków drzémiących jeszcze w mroczném głębi ducha ludzkiego. Szał entuzyazmu i natchnienia spełnia w tym procesie twórczym owo kierownicze zadanie, które w zwykłych czynnościach ludzkich przypada rozumowi. Stąd to tak dziwne na pozór zespolenie tych dwóch sprzecznych pojęć: szału i rozumu. Kontrast, zawarty w téj śmiałéj poetyckiéj przenośni, uwydatnia i potęguje siłę myśli w niéj wyrażonéj.

Gdy duch ludzki wzniesie się na te wyżyny, na jakich stanął tu genialny rzecznik Filaretów, gdy w porywie entuzyazmu skupi tak dalece swą energią wewnętrzną, wtedy wielkość i potęga jego objawić się musi w całym majestacie. Wobec poczucia téj potęgi maleją zewnętrzne przeszkody, największe trudności wydają się łatwe do przezwyciężenia.

To też w dalszéj osnowie swéj pieśni natchnionéj poeta wyzywa do walki cały ten ciężki, niezdarny świat istniejącéj rzeczywistości, siłę natchnień duchowych i młodzieńczego zapału przeciwstawia ciemnym jego potęgom:

> Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
> Łam, czego rozum nie złamie...
> Młodości! orla swych lotów potęga,
> Jako piorun twoje ramie.

Młodość ma w sobie twórczą potęgę bóstwa. Jako jedném boskiém: stań się, świat rzeczy stanął na zrębie, tak z owych skłóconych żywiołów istniejących stosunków życia musi powstać inny, doskonalszy porządek rzeczy.

Wiara, nadzieja i miłość, te trzy kolumny, na których wzniósł

się gmach idei chrześciańskiéj, najwznioślejsza budowa, jaka kiedykolwiek stanęła w moralnym świecie ludzkości, te trzy kolumny muszą być również podstawą każdéj świątyni ideałów ludzkości: miłość dobra ogólnego, wiara w zwycięstwo świętéj sprawy, nadzieja urzeczywistnienia idealnych aspiracyi człowieczeństwa. Te trzy potęgi ożywiają też natchnioną pieśń naszego poety; na nich opiéra on idealny świat swego szczytnego marzenia.

Taki jest program Filaretów, sformułowany przez największego z ich grona. Wyszedł on z głębi serc młodzieńczych, ożywionych tchnieniem zapału i zaklęty został w nieśmiertelne kształty poezyi przez siłę geniuszu twórczego.

Jaka jest główna jego cecha, okazuje się to z całego powyższego rozbioru. Jest to dążenie do najwyższych celów ludzkości: dobra, piękna i prawdy, téj świętéj trójcy, którą tak często głoszą bezmyślnie usta ludzkie, a która tak obcą bywa zazwyczaj sercom ludzkim. Filareci mieli ją nietylko na ustach, ale także w głębi serc swoich, oni na prawdę chcieli urzeczywistnienia ich na ziemi i silnie wierzyli, iż to jest możliwe.

Ale czy ten podniosły program posiada wewnętrzną siłę twórczą? czy owi młodzi zapaleńcy, bujając myślą w idealnych sferach nie tracili z oczu najbliższych zadań rzeczywistego życia?

Spotęgowany do najwyższego stopnia entuzyazm nie może być motorem działalności i dążeń społecznych, przecenianie sił własnych musi nieodzownie prowadzić do zboczeń i zawodów.

Ale też program Filaretów nie był programem praktycznéj, społecznéj działalności; oni sami nie byli kierownikami dążeń społecznych. To była młodzież kształcąca się, wyrabiająca swe siły do przyszłéj pracy obywatelskiéj. A w téj epoce życia im więcéj siły i dzielności duchowéj, im szlachetniejsze i wyższe kierunki jéj działania, tém lepiéj, tém więcéj można oczekiwać w przyszłości. Młodość powinna wytworzyć pewien nadmiar siły, rozgrzać serca nadmiarem zapału; przyda się on kiedyś, na czarną godzinę życia, gdy świat wystudzi serca, a nawał trosk powszednich przytłumi siły ducha. A więc zostawmy młodości jéj szlachetne ułudy, jéj płomienny idealizm; człowiek, który za młodu nie podlegał żadnym wyższym złudzeniom, który zawsze trzeźwą myślą ogarniał stosunki życia, taki człowiek nic nie robi dla przyszłości.

W dążeniach filareckich, odbitych w nieśmiertelnéj pieśni Mickiewicza, widzimy typowy objaw siły i dzielności młodzieńczéj, streszczający się w ognistych porywach zapału ku rzeczom wielkim i wzniosłym. Zapał ten, nieostudzony jeszcze przez zimne tchnienie

refleksyi, nie przyćmiony przez szarą powłokę powszedniości i egoizmu, daje nam poznać w całéj prawdzie najczystsze, najszlachetniejsze pierwiastki duszy ludzkiéj.

Niewątpliwie, to tak typowe, tak prawdziwe wyrażenie uczuć i pragnień młodzieńczego wieku zawdzięczamy głównie geniuszowi Mickiewicza, téj wrodzonéj sile genialnéj intuicyi, tkwiącéj jako integralny pierwiastek w duszy poety, dzięki któréj zdołał on wniknąć w głąb serc młodzieńczych i wydobyć z nich nieprzebrane skarby uczucia.

Ale to uczucie musiało istniéć rzeczywiście. Poeta nie stwarza z niczego, lecz tworzy z materyałów dostarczanych przez życie; rzeczywistość życiowa jest źródłem jego pomysłów twórczych, jego ideałów poetyckich. Tylko gorąca atmosfera duchowa, otaczająca Mickiewicza w gronie filareckiém, mogła rozpalić płomienny zapał Ody, tylko z harmonii serc i dusz młodzieńczych mogło powstać tak żywo wyrażające się w niéj poczucie łączności duchowéj w dążeniu do wyższych celów.

Ten nastrój psychiczny, który stał się źródłem natchnień poety, i w życiu rzeczywistém musiał wywrzéć pewne skutki, musiał wpłynąć na wyrobienie charakterów, na kierunek postępowania. Doświadczenie życiowe w latach późniejszych ostudziło zapewne porywy młodych zapaleńców, ale nie mogło zniweczyć całkowicie ich skutków.

Wszelkie silniejsze stany uczuciowe pozostawiają po sobie niezatarte ślady w duszy ludzkiéj, oddziaływają stanowczo na dalsze życie. Są wprawdzie wyjątki od téj zasady: wpływy zewnętrzne bywają niekiedy tak silne, iż pociągają za sobą zupełną zmianę wewnętrznego nastroju; niemniéj jednak w ogólném zastosowaniu zasada powyższa okazuje się prawdziwą i znajduje potwierdzenie w licznych faktach. I pomiędzy Filaretami znalazły się wyjątki: niektórzy z nich przeniewierzyli się w późniejszém życiu mniéj lub więcéj ideałom młodości, jednakże niewątpliwie większość pozostała im wierną do śmierci. Los rozrzucił na wszystkie strony po szerokim świecie ową gromadkę wiernych towarzyszy, okoliczności nie zawsze pozwoliły im działać w takim zakresie i w takim kierunku jakby pragnęli; jednakże gdziekolwiek ich spotykamy, na jakimkolwiek stanowisku społeczném, zawsze widzimy ich w służbie dobréj sprawy, w pracy około wiedzy i postępu, w walce za wyższe ideały ludzkości. Nieraz zapewne, w ciężkich kolejach losu, jakie przebywali, wśród rozczarowań i zawodów, jakich nie skąpiło im życie, wspomnienia młodzieńczych zapałów działały orzeźwiająco na ich serca, chroniły ich od zwątpienia i rozpaczy, podtrzymywały wiarę w przyszłość i energią w pracy dla niéj.

Zasługi wielu z nich, w życiu praktyczném położone, zaprzeczają

rozpowszechnionemu mniemaniu o krańcowém przeciwieństwie idealnych aspiracyi i rzeczywistości. Bo téż to mniemanie, jakkolwiek niepozbawione pewnéj podstawy, wiele zawiéra przesady. Nazwa idealistów, w ujemném znaczeniu, stosowaną bywa często niesłusznie do ludzi, którzy wybiegają myślą po za otaczającą ich bezpośrednio rzerzeczywistość i w działaniu swém mają na względzie jakieś wyższe i odleglejsze cele. Tacy poczytywani bywają za niezdolnych do praktycznéj działalności. Ale oczywiście sąd to bardzo jednostronny. Wszelkie idealne aspiracye są wynikiem wyższego rozwinięcia duchowego życia, świadczą o uzdolnieniu umysłu do samodzielnéj pracy wewnętrznéj, któréj rezultatem są szersze, ogólniejsze idee i uczucia: im większy zasób sił umysłowych, tém większe bogactwo idei i uczuć z nimi związanych. Z drugiéj strony, zdolność stosowania naszéj działalności do zewnętrznych warunków bytu, czyli do otaczającéj nas bezpośrednio rzeczywistości, wynika z normalnego ustosunkowania władz psychicznych, za pośrednictwem których czynniki zewnętrzne dochodzą do naszéj świadomości. Otóż oczywistą jest rzeczą, iż te dwie strony życia psychicznego nie pozostają z sobą w zasadniczéj sprzeczności: umysł bogaty w wewnętrzne zasoby, może być przytém zdrowo i normalnie rozwinięty, a stąd człowiek z idealnym polotem myśli i uczucia, może jasno i trzeźwo patrzéć na otaczającą go rzeczywistość, dążyć do celów idealnych, ale w tém dążeniu liczyć się ściśle z realnymi warunkami.

Wszelako zaprzeczyć nie możemy, iż często strona ideowa umysłu osiąga nadmierną wybujałość; wtedy wewnętrzna równowaga władz jego zostaje naruszoną. Ludzie przejęci bardzo swymi ideałami tracą niekiedy jasne poczucie rzeczywistości, okazują zdrowy i rozumny sąd w zakresie oderwanych zasad i teoryi a na polu praktyki tysiączne popełniają błędy.

Są to duchowi dalekowidze, którzy wyraźnie dostrzegają odległe cele i zadania życia, ale ślepi są na najbliższe jego warunki. Tacy właściwie zasługują na nazwę idealistów, gdyż żyją w odległéj od rzeczywistości krainie ideałów i w działaniu swém kierują się wyłącznie idealnymi motywami. Wskutek tego błądzą często, często padają ofiarą swych wygórowanych dążeń, ale dodać trzeba, często téż wielkich dokonywają rzeczy i działalność ich nie jest więc bez pożytku dla społeczeństwa, owszem, nieraz doniosłe ma niezmiernie znaczenie. Ludzie, realnie zapatrujący się na życie, liczący się ściśle z przeszkodami, jakie rzeczywistość stawia na drodze naszych dążeń, często cofają się wtedy, gdy zuchwały idealista śmiało idzie naprzód i czasem dochodzi do celu lub innym wskazuje drogę doń wiodącą.

Wreszcie jest jeszcze trzeci rodzaj idealistów: ludzie ze słabemi zdolnościami, z ograniczonym, lub chorobliwym umysłem, którzy wytwarzając sobie jakieś urojenia, niemające żadnéj podstawy w rzeczywistości, lub téż nachwytawszy z zewnątrz pojęć niezrozumianych należycie, opiérają na nich swe sądy i dążenia, które oczywiście muszą prowadzić do niedorzeczności. Tych ostatnich słusznie możnaby nazwać ideologami, dla odróżnienia od rozumnie i zdrowo myślących idealistów; oni to najwięcéj przyczyniają się do zdyskredytowania idealizmu, czyniąc z niego często dziwaczną i śmieszną karykaturę.

Do któréj z tych trzech kategoryi należał idealizm filaretów? Oczywiście nie do ostatniéj: owo młodzieńcze grono składało się przeważnie z ludzi wyższego umysłu; uczucia i aspiracye ich nie były wynikiem bezpodstawnych przywidzeń, lecz głębokiego przejęcia się istotnemi dążeniami ludzkości. Zapewne, niektórzy z nich grzeszyli nadmiarem idealizmu, większa część jednak, umiała pogodzić idealizm swych aspiracyi z realnymi warunkami czynów. Prawda, że w młodzieńczéj epoce życia, wszyscy oni nie liczyli się z rzeczywistością, zbyt rozlegle zakreślali sobie koło działania, lecz to musi być złożone na karb wybujałéj siły młodzieńczéj, świadczącéj o bogactwie wewnętrznem duszy.

Wszelka natura bogatsza, w epoce młodzieńczéj, kiedy siły życiowe dochodzą do pełnego rozwoju, okazuje pewną wybujałość w uczuciach, popędach i działaniach. Najczęściéj ta bujność młodzieńcza występuje w formie werwy hulaszczéj, lekkomyślnych lub całkiem bezmyślnych wybryków. Książe Henryk w dramacie Szekspira jest najwybitniejszym w literaturze typem podobnego usposobienia. Ów hulaszczy i lekkomyślny młodzik w dalszych częściach trylogii staje się rozumnym i dzielnym monarchą. Jak zawsze, tak i tutaj Szekspir wierny jest prawdzie życia i głęboko wnika w naturę ludzką: okazuje nam indywidualność bogato uposażoną, któréj energia wewnętrzna wylewa się w bezładnych wybrykach, dopóki zewnętrzne czynniki, występujące w postaci wyższych obowiązków, nie zwrócą jéj w określonym kierunku ku poważnym i doniosłym celom. W życiu nieraz widzimy podobne przeobrażenia, nieraz dzielni ludzie wyrastają z butnych szałaputów i birbantów; młode piwko się wyszumi, jak mówi dawne przysłowie, i osiąga właściwą sobie moc i trwałość. Ale niezawsze tak się dzieje. Tylko natura obdarzona wewnętrznem zdrowiem duszy, nadto znajdująca się wśród pomyślnego składu warunków zewnętrznych, może wydobyć się z chaosu tych bujnych zapędów i dojść do wewnętrznéj równowagi. Ponieważ większość ludzi nie posiada takiéj zdrowéj natury duchowéj, oraz okoliczności najczęściéj nie sprzyjają normalnemu

jéj rozwojowi, więc też zazwyczaj widzimy wprost przeciwne następstwa: bezpłodne marnienie sił, upadek szlachetniejszych stron duszy; nieraz młode piwko się wyszumi, ale nic nie pozostawi, prócz brudnych mętów, a chociaż w owém bujném szumieniu nie wyszumi cała lepsza treść duszy, to wszelako pewne szlachetniejsze jéj pierwiastki ulegną zazwyczaj skażeniu, które na całe życie pozostawi ślady. Wogóle te wybryki młodości uważać należy tylko jako złe nieuniknione często, ale w każdym razie nie jako normalne i pożyteczne stadyum rozwoju; bo wszakże owa bujna werwa młodzieńcza niekoniecznie musi znajdować ujście w pospolitych i trywialnych uciechach; wszakże zapał ku rzeczom wyższym, idealne porywy ducha również mogą pochłaniać nadmiar jéj siły. A z takiego jéj zwrotu wynika nietylko spotęgowanie energii żywotnéj, ale nadto uszlachetnienie całéj natury psychicznéj, umocnienie moralnego jéj gruntu. Ten ostatni rezultat stanowił też najważniejszą stronę dążeń filareckich: cała energia, cała werwa tych bogatych i bujnych natur młodzieńczych, streszczała się w podniosłych aspiracyach i uczuciach, które wpływały stanowczo na wyrobienie charakterów. Stąd wynikał ten hart moralny, ta siła ducha, które znamionowały ich w dalszém życiu i pozwalały skutecznie walczyć z przeszkodami, jakie na drodze swéj napotykali.

Uszlachetnienie myśli i pojęć, to dopiéro część i to mniejsza część zadania w sprawie udoskonalenia natury ludzkiéj; ważniejszą nierównie rzeczą jest wyrobienie charakteru. Ten jest czynnikiem odpowiedniego nastroju uczuć, one są bowiem bodźcami czynów ludzkich, a z czynów, nie ze słów i myśli, wnosić należy o charakterze człowieka. Wykształcenie strony uczuciowéj w duchu etycznym możliwe jest jedynie przez utrzymywanie wszystkich skłonności, popędów i pragnień na pewnéj moralnéj wyżynie, wtedy tylko w uczuciach naszych może się wyrobić stały nastrój etyczny, stanowiący tło i podkład charakteru. Tak wykształcony charakter daje człowiekowi siłę i dzielność duchową, będącą źródłem trwałéj energii w dążeniu do podnioślejszych celów życia. Prawda, że i bez téj podstawy widzimy nieraz budzący się w sercach młodzieńczych zapał do rzeczy wzniosłych, wynika on z tych lepszych pierwiastków duchowych, które spoczywają zawsze w głębi wszystkich niezupełnie zepsutych ludzi i występują na jaw pod wpływem silniejszych bodźców zewnętrznych; ale taki zapał, biorący swoje źródło w chwilowém podnieceniu ducha, to słomiany ogień który wybuchnie i zgaśnie, na chwilę tylko rozjaśniając myśli i ogrzewając uczucia. Zapewne, i on także wywiéra pewien dobroczynny skutek, pozostawia niejakie ślady w usposobieniu psychiczném, ale są one zwykle tak drobne, iż żadnego nie mają niemal znaczenia w spra-

wie wyrobienia charakteru i nadania odpowiedniego kierunku działalności; tylko zapał, opierający się na silnéj podstawie moralnéj, na wysokim poziomie uczuć i myśli, ma w sobie twórczą siłę działania i może się stać trwałym i skutecznym motorem szlachetnych dążeń. W tym względzie Filareci wymownym po wszystkie czasy pozostaną przykładem: w dążeniach ich więcéj jeszcze, niżeli podniosły ich nastrój, zasługuje na uznanie gruntowna podstawa moralna. Rozważając życie i czyny owych towarzyszy Mickiewicza, widzimy w nich zawsze charaktery odlane z jednéj sztuki, jednolito, jasno i stanowczo określone: zasady ich i poglądy stanowią zamknięty w sobie, konsekwentnie rozwinięty system, postępowanie zgadza się z zasadami, świadcząc, iż tkwiły one nietylko w świadomości, ale także w głębi serc, wypływały nietylko z pojęć rozumowych, ale również z charakterów, z całego wogóle ukształtowania wewnętrznego życia duszy.

W dodatku do listów Odyńca (t. IV, str. 417) przytoczony jest cały program postępowania, obowiązujący w gronie filareckiém; nacechowany on jest jasném i trzeźwém pojmowaniem istotnych zadań życia, oraz niezmiernie czystą i podniosłą moralnością; z niego najlepiéj można poznać prawdziwy charakter idealizmu Filaretów.

Ale powié kto, iż zawarte w tym programie zasady są to ogólniki wielokrotnie powtarzane. Prawda; ale powtarzane jako puste słowa, często bezmyślnie, a najczęściéj choć rozumiane dobrze, ale nieodczuwane należycie. Nie w tém okazuje się moralna wartość człowieka, c o czuje i myśli, ale w tém j a k czuje i myśli; niedość, żeby pojęcia i uczucia były mechanicznie przyczepione do umysłu, powinny one wchodzić, że tak powiem, w chemiczny skład jego, stać się integralną częścią naszego jestestwa; wtedy nietylko są one źródłem dzielności charakteru i czynnymi motorami dążeń, ale nadto słowom naszym nadają znamię wewnętrznéj prawdy i żywotności: martwe abstrakcye moralne na ustach człowieka, gotowego je stwierdzić czynami, stają się żywą konkretną prawdą. Taki charakter posiadają one w słowach i pieśniach Filaretów i stąd płynie ich niespożyta siła, z jaką działać będą jeszcze na odległe pokolenia. Podobnie wzniosłe ideały ewangelii, głoszone obecnie w słowach a na każdym kroku zaprzeczane w czynach, niemniéj przeto zawierają w sobie żywotną prawdę, nadaną im przez postępowanie twórców religii chrześciańskiéj i pierwszych jéj wyznawców.

Podnosząc jednak tak wysoko dodatnie znaczenie dążeń filareckich, nie myślę zaprzeczać, iż miały one także swoje ujemne strony. Każdy kierunek ludzkich myśli i działań mieć je musi. Przedewszystkiem wybujałość idealnych zapałów, będąca u większéj części Fila-

retów naturalnym objawem nadmiaru żywotności młodzieńczéj, u niektórych pozostawiła na całe życie zbyt wyraźne ślady i sprowadziła zaślepienie na realne stosunki życia; wielu pomiędzy nimi znajdziemy idealistów, w têm znaczeniu jak powyżéj skreśliliśmy to pojęcie; nie możemy im odmówić szacunku i czci nieraz, wielkie niekiedy musimy przyznać zasługi; ale ze stanowiska społecznego musimy odmówić pełnego uznania: społeczeństwo bowiem domaga się przedewszystkiém od swych członków wypełnienia najbliższych realnych obowiązków, a to jest możliwe jedynie przy trzeźwym poglądzie na życie; wzniosłe, idealne ofiary często wielkie mają znaczenie, ale często również są bezpłodnêm marnowaniem sił: nadmiar więc idealizmu w działaniach społecznych, o ile on wynikał z dążeń filareckich, słusznie możemy tym ostatnim poczytać za winę.

W związku z tym wygórowanym idealizmem pozostawała spotęgowana do najwyższego stopnia uczuciowość, która w dalszém życiu wyradzała się nieraz w chorobliwe zboczenia psychiczne, prowadziła do mistycznego marzycielstwa, w które wpadli ostatecznie, jak wiadomo, najznakomitsi z Filaretów: Zan i Mickiewicz.

II.

Te ujemne skutki kierunku romantyczno-idealnego, mającego u nas główne źródło w dążeniach filareckich, wywołały przeciwdziałanie w duchu realnym i pozytywnym, które za dni naszych w pełni się rozwinęło. Naturalną koleją rzeczy w tym nowym zwrocie musiała wystąpić pewna przesada we wprost przeciwnym kierunku, będąca źródłem jednostronnych i opacznych sądów, potępiających bez braku wszystko, co przekazała przeszłość.

Wypełniając zasadę bezwzględnéj krytyki, na którą się powołują krańcowi przeciwnicy romantyzmu, postarajmy się przy jéj pomocy ocenić własne ich dążenia i rozróżnić w nich również dodatnie i ujemne żywioły. Nie będzie to jednak wyczerpujący rozbiór współczesnych zasad w nauce i życiu, zwrócimy tylko uwagę na najogólniejsze ich cechy; zadaniem bowiem naszém nie jest wyczerpujące studyum porównacze nad kierunkami: pozytywnym i romantycznym, lecz jedynie wykazanie znaczenia, jakie pewne strony tego drugiego, objawiające się w dążeniach filareckich, zachowały dla obecnéj epoki. Aby ten cel osiągnąć, musimy sobie zdobyć ogólny, ale możliwie bezstronny punkt widzenia na panujące obecnie pojęcia i zasady.

Przedewszystkiém podnieść należy niewątpliwy pożytek tego anty-romantycznego zwrotu. Czas był wielki zbudzić się z ułudnych

snów, które tak długo kołysały nasze społeczeństwo, odciągały ludzi od najbliższych, a tak doniosłych obowiązków rzeczywistego, codziennego życia. Dłuższe przebywanie w czarodziejskich krainach ideałów romantycznych mogło doprowadzić do zupełnego wyczerpania realnych sił i materyalnych środków, które jednak są koniecznym warunkiem rozwoju moralnego. Dlatego też niewątpliwą jest zasługa inicyatorów i przodowników tego nowego ruchu w życiu i literaturze; rozwijał się on przez długi czas równolegle z kierunkiem romantycznym, tylko przytłumiony był przez bujny jego rozrost początek owego pozytywnego kierunku w literaturze, a po części i w życiu dostrzegamy już w téj samej tak bogatéj w wyższe zdolności epoce, któréj zawdzięcza swój rozkwit nowoczesny nasz romantyzm: mianowicie w epoce rozwoju uniwersytetu wileńskiego, najwybitniéjszym jego przedstawicielem był Jan Śniadecki. Wiadomo, iż był on przeciwnikiem romantyzmu Mickiewicza w poezyi i idealno-filozoficznego kierunku Lelewela w historyi; w zorganizowanym przez siebie uniwersytecie popiérał przeważnie nauki przyrodnicze i matematyczne, w poglądach filozoficznych opiérał się na metodzie empirycznéj szkoły szkockiéj; jednem słowem wyznawał te same mniéj więcéj zasady, które za naszych czasów tak stanowczo, a niekiedy, powiedzmy, tak krzykliwie podnoszone były przez koryfeuszów pozytywizmu. Z tego powodu, za czasów wszechwładnego panowania romantyzmu, Śniadecki nie cieszył się względami krytyków: zarzucano mu materyalizm, podnoszono nadto jego niefortunne wycieczki przeciw Mickiewiczowi, zapominając o wielkich jego zasługach i widząc w nim jedynie typ zaślepionego w swych uprzedzeniach starca.

Dopiéro ze zmianą pojęć wymierzono pamięci Śniadeckiego należną sprawiedliwość. Młodzi przewódzcy kierunku pozytywnego wysoko niezmiernie podnieśli jego zasługi, obrali go sobie, jak się wyraża p. Chmielowski, za krajowego patrona, w pismach jego widzieli „początek sumiennéj pracy filozoficznéj, szukającéj nie popisu, ale pozytywnych korzyści“ [1]).

Śniadecki ze wszechmiar zasługiwał na taką rehabilitacyą; czyniony mu dawniéj zarzut materyalizmu zupełnie był niesłuszny. Czcigodny organizator uniwersytetu wileńskiego nie znał się może na poezyi, ale głęboko pojmował potrzeby życia umysłowego i społecznego, głębiéj nierównie aniżeli niedoświadczona i zapalczywa młodzież; pracę i oświatę, opartą na realnym gruncie, postawił jako główny punkt swego programu. Nic dziwnego, iż nadmierny idealizm, odrywający

[1]) Piotr Chmielowski. Zarys literat. polsk. z ostatnich lat 20. str. 69.

ludzi od rzeczywistości, raził go, nie mógł się zgadzać z jego pojęciami. Ale zacny starzec nie pojmował jednéj rzeczy: nie pojmował tego, iż aby zbudzić ogół społeczny z apatycznéj drzemki, aby wyrwać go z ciasnego koła samolubstwa, trzeba było silniejszéj podniety, aniżeli teorya spokojnéj organicznéj pracy; owa zapalczywa młodzież lepiéj pojmowała tę sprawę od swego mistrza: mylnie, jednostronnie może pojmowała ona zasadnicze podstawy bytu społecznego, ale instynktem serca trafnie odgadła najpilniejsze potrzeby swego narodu. Gdyby ogół narodowy stał na tym poziomie, jaki zajmował nasz mędrzec ze swojém „szkiełkiem i okiem“, gdyby wszyscy tak jak on pojmowali swoje obowiązki obywatelskie i tak je wypełniali, gdyby wreszcie zewnętrzne warunki bytu narodu znajdowały się w stanie normalnym: owe bodźce idealnego zapału byłyby może naówczas zbyteczne; społeczeństwo poszłoby pewnym krokiem po drodze spokojnego rozwoju. Ale niestety, tak się nie stało. Trzeba było nadmiaru idealizmu, aby zrównoważyć nadmiar materyalnych instynktów i gnuśnéj apatyi, trzeba było nadmiaru wiary i zapału, aby nie wpaść w zwątpienie wobec wyjątkowych cierpień i zawodów. Wszelako, jeśli Śniadecki nie pojmował należycie istotnego znaczenia i doniosłości romantycznego idealizmu, nie wynika stąd, aby kierunek jego dążeń był materyalistyczny. Chciał on otworzyć przed narodem skarby wiedzy, chciał nadać nauce polskiéj ścisły i rozumny kierunek. Czyż to materyalizm? Że trafny był kierunek nauki Śniadeckiego, najlepszym tego dowodem, iż cała nowoczesna wiedza idzie w tym samym kierunku. A kierunek ten nie prowadzi do materyalizmu, jak utrzymują niektórzy niezdolni pojąć istotnych jego celów. Rozwój nieustanny, bezgraniczny na całym obszarze przyrody, to fundamentalne prawo dzisiejszéj nauki; z niego wynika idea nieskończonego rozwoju ludzkości, dążenia do coraz wyższych, doskonalszych form bytu. Że idea ta opiéra się na gruntowniejszém poznaniu zjawisk i praw natury, to nie czyni jéj materyalistyczną, ale daje silniejszą podstawę realną. Oparci na téj podstawie, dziś silniéj stoimy na gruncie rzeczywistości, mniéj jesteśmy skłonni do niewczesnéj ideologii. Ale czyż przez to mamy się wyrzekać wszelkich idealnych aspiracyi? Zdrowo i rozumnie pojęte zasady nowoczesnego postępu nie wymagają wcale téj ofiary; owszem, wkładają na nas obowiązek dążenia ciągle naprzód ku wyższym idealnym celom rozwoju cywilizacyjnego. Tylko, że niestety, nie wszyscy je tak pojmują: podobnie jak dawny kierunek romantyczno-idealny wyradzał się często w niedorzeczną i szkodliwą ideologią, tak znów obecnie panujący zwrot realny prowadzi niekiedy do zbyt materyalistycznego pojmowania

życia i jego zadań. Powtarza się tu zjawisko, które zawsze możemy obserwować w rozwoju społecznym: prąd nowych idei, wzbudzony przez postępowe dążenia czasu i unoszący społeczeństwo ludzkie ku doskonalszym formom bytu, wytwarza pewne prądy uboczne, które zbaczają z właściwéj drogi i gubią się w jednostronnych lub fałszywych dążeniach.

Panująca obecnie w psychologii zasada unitarna, uznająca ścisłą zależność wzajemną zjawisk życia duchowego i fizycznego, opiéra się niewątpliwie na głębszém i dokładniejszém zrozumieniu procesów życiowych, na gruntownéme zbadaniu licznych faktów konkretnych; wskutek tego pozwala nam ona lepiéj poznać siły i środki, jakiemi możemy rozporządzać w naszych działaniach, i chroni od wielu zboczeń, wynikających z niedokładnéj wiedzy w tym przedmiocie. Dawniéj zbyt lekceważono stronę fizyczną człowieka i przeceniano samodzielność jego siły duchowéj; stąd dbano tylko o wydoskonalenie życia duszy, poczytując troskę o ciało za rzecz podrzędną, niemal grzeszną. Stąd wynikało istotnie niekiedy ogromne spotęgowanie ducha, ale zarazem, wskutek nienormalnych warunków ich działania, liczne chorobliwe zboczenia psychiczne. Obecnie zasada: zdrowa dusza w zdrowém ciele, sformułowana empirycznie przez starożytnych, znalazła racyonalne uzasadnienie i zdobywa sobie coraz szersze uznanie, czego następstwem są liczne pożyteczne reformy lub dążenie do nich w różnych sferach życia indywidualnego i społecznego.

Ale z drugiéj strony, ileż ta zasada wywołała krańcowych i błędnych poglądów! Niektórzy opierając się na niéj, podnosząc nadmierne znaczenie strony fizycznéj naszego życia, gotowi są niemal przyznać jéj wyższość nad duchową, powołując się ciągle na prawa naszéj zwierzęcéj natury, okazują czasem skłonność podporządkowania im wszelkich zasad moralnych. Ci zagorzali obrońcy zwierzęcości zapominają o tém, że jakkolwiek zapatrywać się będziemy na ścisłą łączność życia fizycznego i duchowego, zawsze ostatnie przedewszystkiém winniśmy mieć na względzie, gdyż jest ono wynikiem wyższego rozwoju ogólnéj sumy sił całego jestestwa naszego; z pojęcia rozwoju, będącego duszą teoryi unitarnéj, wynika hierarchiczne ustosunkowanie wewnętrznych władz naszych. Dbałość o warunki życia fizycznego o tyle tylko jest słuszna, o ile nieprzeszkadza normalnemu działaniu władz duchowych; tam jednak gdzie zachodzi kolizya między jedną i drugą stroną (a taka kolizya nader często się w życiu trafia), tam bez wahania stronie duchowéj należy przyznać pierwszeństwo, choćby na tém fizyczna nasza natura miała ucierpiéć; istotna bowiem treść człowieczeństwa tkwi nie w zoologicznych cechach ciała, lecz

w moralnych przymiotach duszy. Nieuznawanie téj zasady, pod wpływem posuniętego do ostatnich konsekwencyi naturalizmu, prowadzi nietylko do poglądów opacznych w teoryi, lecz nadto do wielkich zboczeń w praktyce. Przeciętna natura ludzka skłonna jest zawsze do ulegania popędom zwierzęcym, skoro więc te popędy poparte są nadto przez zasady rozumowe, muszą oczywiście osiągać ogromną przewagę. Prawda, że nieraz zdarza się widzieć ludzi z idealnemi teoryami, którzy jednak w praktyce nie wahają się folgować swym skłonnościom materyalnym, bo wogóle ludzie posiadają przedziwny dar łączenia w sobie najbardziéj krańcowych sprzeczności, ale bądź-co-bądź, uznanie idealniejszych zadań w życiu jest zawsze pewnym hamulcem na zwierzęce popędy. W epoce panowania idealizmu, sfery: materyalna i duchowa, ściśle są rozgraniczone; wybór dla człowieka, obdarzonego inteligencyą i dobrą wolą, łatwy jest i prosty; skoro jednak pod wpływem teoryi naturalistycznych, granice tych sfer zostaną zakwestyonowane lub całkiem zniesione, przy najlepszéj nawet woli, wskutek zamętu w pojęciach, mogą wyniknąć wielkie zboczenia w postępowaniu w kierunku materyalistycznym.

Drugiém źródłem wielu opacznych sądów teoretycznych, pociągających za sobą szkodliwe skutki w praktyce, jest kwestya wolności woli. Główną przyczyną błędów jest tu fałszywe pojmowanie natury sporu, toczącego się w tym przedmiocie między filozofią idealną a pozytywną.

Spór ten dotyczy właściwie ostatecznych źródeł woli ludzkiéj, nie zaś bezpośrednich jéj motorów: gdy idealiści uważają za źródło jéj jakąś odrębną, *sui generis* siłę metafizyczną, tkwiącą *a priori* w duszy ludzkiéj, szkoła pozytywna podciąga jéj objawy pod ogólne prawo przyczynowości naturalnéj, akt woli poczytuje za skutek całego szeregu faktów, stanowiących łańcuch rozwoju indywidualnego jednostki ludzkiéj. Taki pogląd nie zaprzecza faktycznéj wolności naszéj woli, tylko przypuszcza rozmaity jéj zakres, a to zależnie od zakresu świadomości i ogólnego wyrobienia władz duszy. Oczywistą jest rzeczą, iż człowiek z ograniczonym umysłem, pozostający pod wszechwładném panowaniem namiętności i popędów, w nadzwyczaj słabéj mierze zdolny jest panować nad swymi popędami; skoro jednak umysł posiada rozległą świadomość różnych możliwych dróg postępowania, skoro namiętności przez wpływ kultury zostały ograniczone w swéj wszechwładzy, któż nam zaprzeczy możliwości wolnego wyboru w naszych czynach? Rzecz polega na tém, iż filozofia idealna poczytuje wolność woli za bezpośredni dar, użyczony nam przez metafizyczne przyczyny bytu, gdy nowoczesna pozytywna psychologia

uznaje ją za zdobycz wewnętrznéj pracy ducha, jako ostateczny wynik jego rozwoju.

W związku z kwestyą wolności woli pozostaje kwestya odpowiedzialności moralnéj. Z pozytywnéj teoryi woli nie wynika wcale zasada bezkarności złych czynów, tylko odmienny pogląd na naturę kary. Na dnie dawnego jéj pojęcia leży zasada zemsty, wymierzanéj przez społeczeństwo na wykraczających przeciw jego prawom; psychologia pozytywna poczytuje karę jako sposób oddziaływania na wolę w celu jéj poprawy. Oczywiście, ten pogląd jest bardziéj humanitarny: żąda on unikania środków karnych tam, gdzie można innymi łagodnymi środkami wpłynąć na wolę; z tego wynika, iż doskonałym byłby taki stan społeczny, w którym kary stałyby się niepotrzebne, dlatego iż za pomocą odpowiedniego wykształcenia natury psychicznéj człowieka, usunięteby zostały wszelkie złe skłonności, będące źródłem złych czynów. Skoro jednak ten ideał udoskonalenia społecznego nie został dotąd osiągnięty, a zapewne i w przyszłości nigdy w całéj pełni osiągnięty nie będzie, kary, na równi z innymi środkami poprawczymi zupełnie są uprawnione wobec teoryi przyczynowości psychologicznéj. Co więcéj, jak słusznie zauważył Stuart Mill [1]), tylko ta teorya może je zupełnie usprawiedliwić. Jeśli bowiem czyny ludzkie uważać będziemy za wynik nie motorów pozytywnych, lecz jakiéjś siły metafizycznéj, na którą wpływy realne nie działają wcale, wtedy kara jest nieużytecznem okrucieństwem, aktem ślepéj zemsty i przez nią jedynie może być uzasadniona.

Pomimo jednak tak oczywistych wniosków, wynikających z zasady przyczynowości psychologicznéj, pomimo jasnych w téj mierze zdań najznakomitszych jéj wyznawców, jak Mill, Spencer, Bain, ileż to niedorzecznych słyszeliśmy poglądów, wysnutych z téj saméj zasady, zaprzeczających wszelkiéj możności kierowania naszą wolą, oraz głoszących bezkarność niemoralnych czynów. Szczególnie liczni beletryści szkoły naturalistycznéj nagrzeszyli tu najwięcéj i przyczynili się do wywołania zamętu w pojęciach; ileż to mamy obecnie powieści, dramatów i t. p. utworów, w których głoszone są teorye ślepéj konieczności przyrodzonéj, a zaprzeczona indywidualna siła ducha ludzkiego. Jasném jest, iż przejęcie się podobnymi pojęciami prowadzić musi w praktyce do najgorszych następstw: utrata czystości poczucia moralnego, pomieszanie pojęć złego i dobrego, bierne podda-

---

[1]) Przytoczone u Ribota: „La psychologie anglaise contemporaine.“ Paris, 1881, str. 144.

wanie się popędom, uważanym za konieczność przyrodzoną: oto naturalne konsekwencye stąd wynikające. Krańcowo-materyalistyczny pogląd na naturę ludzką tém jest niebezpieczniejszy, iż schlebia niższym popędom naszym i wrodzonemu lenistwu ducha. Wprost przeciwne im krańcowo-idealistyczne teorye nie zagrażają tak bardzo niebezpieczeństwem nadmiernego rozpowszechnienia w praktycznéj działalności ludzkiéj. Nie tak-bo łatwo opanować potęgą ducha wszelkie popędy cielesne, lub zdobyć się na siłę woli wyższą nad potężne bodźce zewnętrzne, dlatego téż owe teorye najwięcéj znajdują i znajdowały zawsze platonicznych wyznawców, a niewielu wykonawców. Przeciwnie, cóż łatwiejszego jak zgodnie z teoryą, uznającą równouprawnienie duchowych i zwierzęcych skłonności popuścić wodze tym drugim, lub téż, uznając swoję istotę za igraszkę ślepéj konieczności przyrodzonéj, zaniechać wszelkiéj pracy nad własném udoskonaleniem, poddać się bez oporu przypadkowym wpływom zewnętrznym. To téż, o ile tamte zasady zazwyczaj tylko w teoryi bywają głoszone, te wykonywane są często w praktyce przez tych nawet, którzy się do nich otwarcie nie przyznają; ale oczywiście podniesienie ich do godności wyznawanych jawnie teoryi musi się przyczyniać do wzmocnienia uprawnionych przez nie niższych popędów i skłonności.

W związku z pozytywnemi i realistycznemi zasadami filozofii nowożytnéj pozostaje popularna od pewnego czasu teorya pracy organicznéj, która we właściwém świetle ukazuje nam znaczenie działalności jednostki w społeczeństwie, oraz czyni zależnym normalny jego rozwój od dokładnéj i sumiennéj pracy jednostek społecznych w przypadających im sferach. Wprawdzie teorya ta zawsze w praktyce była przez znaczną część społeczeństwa stosowana, ale dopiéro w obecnéj dobie znalazła pełniejsze uświadomienie wśród szerokiego ogółu i oparta została na głębiéj pojętych zasadach filozoficznych. W epoce panowania romantycznego idealizmu, ceniono w młodszém pokoleniu nadewszystko pełnię rozwoju indywidualnego jednostki, poczytując przytém za istotne, jedynie godne szacunku jéj znamiona, objawy wyższego życia duchowego; pracę ekonomiczną, zabiegi dotyczące materyalnych warunków bytu uznawano za rzeczy podrzędne, nie zasługujące na uwagę ze stanowiska wyższéj filozoficznéj myśli. Obecnie, gdy poznano gruntowniéj istotne warunki rozwoju społecznego, gdy zrozumiano, iż ten rozwój zależny jest od całéj sumy warunków życiowych, będących rezultatem działalności produkcyjnéj jednostek, owym lekceważonym dawniéj niższym jéj objawom wymierzona została należyta sprawiedliwość; działalność ekonomiczna, z któréj wynika dobrobyt

materyalny społeczeństwa, słusznie została uznana za konieczny czynnik wyższego jego rozwoju i duchowego udoskonalenia.

Zbytecznėm byłoby rozwodzić się szeroko nad znaczeniem powyższych zasad wśród naszego, szczególniėj, społeczeństwa. U innych narodów znalazły one oddawna zastosowanie w praktyce, choć w teoryi nie były w pełni rozwinięte; warstwa mieszczańska, posiadająca wielkie znaczenie w ich dziejowym rozwoju, a oddana przeważnie zajęciom przemysłowo-ekonomicznym, drogą praktycznego doświadczenia doszła do zrozumienia zasady pracy organicznėj i wyrobiła sobie odpowiednie do niėj uzdolnienia; u nas wskutek przewagi stanu szlacheckiego, z jego wybujałym indywidualizmem i nieudolnością do działalności produkcyjnėj, znaczenie owėj pracy nie mogło być należycie pojęte, gdy wprost przeciwna jėj zasada indywidualizmu romantycznego przyjazny nader znalazła grunt dla swego rozwoju. Wobec tego uświadomienie znaczenia pracy organicznėj bardzo dobroczynny na rozwój naszego społeczeństwa wpływ mieć może; chodzi tylko o to, aby te teorye nie pozostawały jedynie w sferze oderwanėj myśli, ale objawiły się również w działaniu praktycznėm. A jednak i tu tak dobroczynna w swėm zastosowaniu zasada opacznie nieraz bywa pojmowana i staje się źródłem mniėj lub więcėj szkodliwych skutków w praktyce. Ludzie ciasnego umysłu, z przeważającymi skłonnościami egoistycznymi, używają jėj jako środka usprawiedliwiającego ich samolubstwo i obojętność dla wyższych i ogólniejszych zadań społecznych, zamykając się w ciasnėm kółku swych codziennych obowiązków, poczytują za niepotrzebną ideologią wszelkie wychodzące po za to kółko aspiracye i dążenia. A przecież takie pojmowanie tėj zasady wcale się nie zgadza z istotnym stosunkiem jednostki ludzkiėj do społeczeństwa, stosunkiem, którego ona ma być zewnętrznym wykładnikiem. Prawda, iż społeczeństwo, wzięte jako całość, może być upodobnione do olbrzymiego organizmu, w którym każda jednostka wykonywa pewne przypadające jėj funkcye; ale funkcyonowanie tych jednostek nie jest wynikiem mechanicznych bodźców, lecz świadomości celu i środków działania: im zupełniejszy rozwój tėj ostatniėj, tėm jednostka lepiėj spełnia swe zadanie w przypadającėj jėj sferze. Wiemy zaś, iż rozwój świadomości zależy przedewszystkiėm od jėj zakresu, od ilości znajdujących się w niėj stanów wewnętrznych, odpowiadających zewnętrznym stosunkom; jednostka, któraby osiągnęła najwyższy szczyt tego rozwoju, powinnaby ogarniać swym umysłem cały ogół stosunków, wchodzących w skład życia społecznego.

Taki stan jest tylko ideałem niemożliwym obecnie do osiągnięcia w całėj pełni, ale dążenie do tego ideału wynika z natury psychicznėj

człowieka, dlatego nie może on poprzestać na roli bezwiednego kółka w maszynie społecznéj, ale powinien dążyć do ogarnięcia w swém jestestwie jaknajszerszéj miary życia ogólnego; ponieważ zaś z teoryi organicznéj wynika konieczność przystosowania się do pewnéj specyalnéj sfery działania, więc istotne zadanie człowieka, ze stanowiska obecnych pojęć uważane, polega na utrzymaniu pewnéj równowagi między pełnym rozwojem indywidualnym a wydoskonaleniem przymiotów, odpowiadających pewnym wyłącznym obowiązkom społecznym. W poprzedniéj epoce przemagał rozwój indywidualny, obecnie niekiedy występuje silna dążność pochłonięcia indywidualizmu przez wyłączność jednostronnego, zawodowego rozwoju. Przewaga indywidualizmu pociąga za sobą często zaniedbanie najbliższych obowiązków, ale sprzyja rozwojowi uczuć altruistycznych, uzdalnia do poświęceń, niekiedy, co prawda, nadto porywczych i nieużytecznych; przewaga rozwoju jednostronnego wprawdzie sprzyja wydoskonaleniu zawodowemu, ale sprawia nieraz wybujałość ciasnego samolubstwa, obojętność na ogólniejsze zadania. Cecha ta daje się obecnie coraz częściéj dostrzegać; dlatego od niedawnego czasu poczęły się odzywać u nas głosy, zwracające uwagę na niebezpieczeństwo nadmiernego przejęcia się teoryą pracy organicznéj. Jakkolwiek często były to tylko fałszywe alarmy, jakkolwiek wspomniana teorya nie przeżyła się u nas jeszcze wcale, — owszem, pożądane jest bardzo pełniejsze jéj uznanie, a szczególniéj zastosowanie w praktyce, wszelako słuszną jest rzeczą zwracać uwagę na pojawiające się fałszywe jéj zwroty i wyjaśnić sobie w pełni istotnego jéj ducha, który nie wyklucza wcale rozwoju indywidualnego i domaga się, aby jednostka, służąc społeczeństwu w pewnym zakresie, nie zamykała się w nim wyłącznie, ale żyła nadto życiem ogólném i gotową była zawsze, gdy tego dobro społeczne wymaga, poświęcić na jego ołtarzu egoistyczne swoje interesy.

III.

Powyżéj zwróciliśmy uwagę na rozpowszechnione dzisiaj zasady i poglądy, które pojmowane opacznie, lub krańcowo, prowadzą do ujemnych następstw; — teraz zastanowimy się jeszcze nad pewną ogólną cechą stanu umysłowego współczesnego pokolenia, która, jakkolwiek posiada też swoją dobrą stronę, w znacznéj jednak części szkodliwie wpływa na działalność praktyczną. Mam tu na myśli panujący tak wszechwładnie w naszych czasach sceptycyzm, który przebija we wszystkich prawie poglądach naukowych i odzywa się wyraźnie w sferze objawów społecznych. Sceptycyzm jest ważnym czynnikiem roz-

woju umysłowego, bodźcem postępu naszéj wiedzy, który zostaje bardzo zatamowany w epokach bezkrytycznéj, ślepéj wiary. O ile jednak dążność krytyczno-sceptyczna dodatnio oddziaływa na postęp wiedzy, o tyle ujemny wpływ wywiéra na działalność. Czyny są wynikiem przekonania, wiary w możność osiągnięcia przez nie jakiegoś celu, skoro ta upada pod ciosami bezwzględnéj krytyki, braknie istotnych motorów działania: różne sprzeczne prądy umysłowe neutralizują się wzajemnie, wskutek czego następuje zupełna bezczynność, lub też działalność zależy jedynie od przypadkowych wpływów zewnętrznych i niższych popędów; niezrównany typ sceptyka — Hamlet przedstawia absolutną niezdolność do czynu.

Nie było może w dziejach ucywilizowanéj Europy epoki bardziéj sceptycznéj, niż obecna. W wiekach średnich wiara wszechwładnie panowała, wskutek tego postęp wiedzy powolny był bardzo, ale nie da się zaprzeczyć, iż znajdowali się wtedy ludzie z niezłomną siłą charakteru i woli: wiara tworzyła bohatérów, dawała im niekiedy nadludzką niemal siłę i dzielność. W końcu zeszłego stulecia, czyli w tak zwanéj epoce oświecenia, przeciwne duchowi średniowiecznemu dążności racyonalnéj krytyki osiągnęły ogromną przewagę, gmach wiary został zachwiany, ale miano jeszcze przekonanie filozoficzne: wierzono w możność dotarcia do ostatecznych przyczyn bytu na polu wiedzy; wierzono w przyszłe urzeczywistnienie na polu polityczno-społecznéj działalności wielkich ideałów swobody, równości i szczęścia powszechnego. Dzisiaj nauka pozytywna, prowadząc daléj rozpoczętą przez racyonalizm zeszłowieczny krytykę destrukcyjną średniowiecznych wierzeń, jednocześnie ukazuje nam coraz dobitniéj całą bezsilność naszéj wiedzy wobec ostatecznych zagadek bytu, a obok tego zarówno teorya naukowa, jak i praktyka życia, zawody doznane w dotychczasowych dążeniach polityczno-społecznych odejmują nam coraz bardziéj nadzieję urzeczywistnienia na ziemi wielkich ideałów, o których marzyli reformatorowie poprzedniego stulecia. Tak więc obecnie mamy pracować nad rozwojem wiedzy bez nadziei dotarcia kiedykolwiek do najistotniejszéj jéj sfery, mamy dążyć do wszechstronnego udoskonalenia społeczeństwa bez wiary w możność osiągnięcia tego celu: perspektywa niezbyt zachęcająca, wobec któréj niejednemu opadają ręce, niejeden traci wszelką energią w dążeniu do wyższych celów.

Następstwem tego sceptycznego kierunku umysłów jest brak siły moralnéj i energii woli. Stąd powszechne dzisiaj wyczerpanie i anemia duchowa współczesnego pokolenia. Słabe ono, wycieńczone i zdenerwowane; umié myśléć, umié pragnąć i czuć, ale niezdolne chciéć potężnie, walczyć niezłomnie w obronie swych przekonań i zasad, bo te

zasady płoną tylko zimném światłem abstrakcyi, która rozjaśnia umysł, ale nie rozpłomienia serca. A w sercu, nie w głowie, tkwią potężne motory czynów. Psychologia nowoczesna dowiodła, wbrew pojęciom zeszłowiecznego racyonalizmu, iż rozum jest tylko kierownikiem działalności, uczucie zaś jéj bodźcem. Nie do tego dążymy, co pojmujemy, lecz do tego, co odczuwamy, w co wierzymy; gdzie nie ma uczucia i wiary, tam nie ma wytrwałości i siły w dążeniach; wzniosłe idee i aspiracye mogą wprawdzie czasami wybuchnąć słomianym ogniem uniesienia, lecz bez wiary silnéj nie zdołają wzbudzić płomieni twórczego zapału.

„Ktokolwiek jesteś, powiedz mi w co wierzysz, mówi poeta [1]), łatwiejbyś życia się pozbył, niż wiarę jaką wynalazł, wzbudził wiarę w sobie.“ Zaiste wiary nikt sztucznie w sobie nie wzbudzi, nie wypłynie ona z pojęć i zasad rozumowych, lecz musi być wytworem całego życia wewnętrznego duszy, skupienia wszystkich uczuć i pragnień dokoła jednéj podniosłéj idei, przenikającéj całe jestestwo człowieka. Taka wiara rzadkiém jest w naszych czasach zjawiskiem: u jednych miejsce jéj zastąpiło zupełne zwątpienie, lub pesymistyczna obojętność, u innych skurczyła się w ciasne i bezmyślne formułki, sprowadzające gnuśny spokój i słodką drzémkę ducha. Stąd egoizm i oportunizm przejawiają się dzisiaj tak powszechnie w działalności jednostek, warstw społecznych, wreszcie państw całych i narodów, bo egoizm—to objaw elementarnych skłonności natury ludzkiéj, które, wobec zaniku wszelkich wyższych pobudek, wszechwładne w niéj osiągają rządy, a oportunizm — to wynik kompromisu różnorodnych przekonań, z których żadne nie ma dość siły, aby wystąpić jako samoistny motor działania, w połączeniu zaś i naginając się bezwzględnie do zewnętrznych warunków, pozwalają one jako tako pchać taczkę żywota; kierunek oportunistyczny ma swoje dobre strony, wygodny on jest przedewszystkiém dla danéj jednostki, często i ogółowi może przynieść korzyści, chroni od wielu błędów i zboczeń, ale nigdy nie stanie się żywotną i twórczą siłą, gdyż tą wynika tylko z jednolitego nastroju umysłu, koncentrującego w sobie wszystkie wewnętrzne zasoby ducha.

Wobec takiego stanu umysłów nic dziwnego, że wiek nasz, który chlubi się takim postępem pozytywnéj wiedzy i rozwojem środków cywilizacyi materyalnéj, na polu szerszych dążeń społecznych i politycznych nic wielkiego nie dokonał, nie posunął się ani krokiem naprzód ku wielkim ideałom humanitarno-cywilizacyjnym; owszem, reakcya

---

[1]) Krasiński, „Nieboska komedya.“ Część 3.

bezwzględna, tém wstrętniejsza, iż dokonywa się wyłącznie w imię brutalnéj siły i egoistycznych uroszczeń, coraz wszechwładniéj roztacza swe panowanie, przygniatając ołowianém brzemieniem wszelkie szlachetniejsze aspiracye ludzkie i napełniając rozpaczliwém zwątpieniem i czarnym pesymizmem jednostki, spragnione lepszego losu.

Nie bez słuszności téż jeden z najznakomitszych poetów współczesnych przemawia do XIX-go wieku:

Wieku bez jutra, wieku bez przyszłości!
Co nad przepaścią stanąłeś ponury,
Nauczycielu zgrozy i nicości,
Coś wziął ludzkiego ducha na tortury
Wieku zwątpienia, o wieku niewiary,
Jakże ty straszny jesteś dla cierpiących!

Atoli te słowa względną tylko zawiérają prawdę. Prawdziwe są one, o ile stanowią wyraz braku określonych ideałów w dążeniach obecnych, nieprawdziwe, o ile rzucają bezwzględne potępienie na te dążenia. Brak określonych ideałów nie koniecznie świadczy o skrzywieniu, lub zwyrodnieniu dróg rozwoju cywilizacyjnego; często wynika on nieuchronnie z zasadniczych praw rozwojowych. Rozwój, wedle definicyi Spencera, to nieustanne różniczkowanie i całkowanie czynników życiowych: dawne ich formy ulegają ciągłemu rozkładowi, na ich miejsce powstają nowe, wyższe, bardziéj złożone formacye; ale w całéj przyrodzie proces rozwojowy nigdy nie odbywa się z zupełną równomiernością, i w téj postaci, którą przyjmuje w zakresie ludzkiego życia cywilizacyjnego, widzimy w różnych epokach nadmierną przewagę jednéj z dwóch wyżéj wspomnianych stron zasadniczych: różniczkowania, lub całkowania. W średnich wiekach przeważała ta ostatnia strona: pierwiastki cywilizacyjne kształtowały się w określone ideały społeczne i religijne; proces różniczkowania był stosunkowo słaby, a stąd postęp powolny; w dobie obecnéj odwrotnie się dzieje: szybki niezmiernie pochód postępowy cywilizacyi nowoczesnéj, towarzysząca mu czynność rozkładowa krytyki świadczą o przewadze procesu różniczkowania, a stąd wynika brak skrystalizowanych ideałów, brak wiary, nadmiar sceptycyzmu. Ale nie można stąd wnosić, aby ostatecznym wynikiem tego stanu rzeczy miał być zupełny rozstrój i upadek.

Wszędzie, gdzie jest ruch postępowy, gdzie umysł ludzki nie zasklepia się w apatyi i martwocie, ale działa i dąży naprzód,—jest także nadzieja wydobycia się z zamętu zwątpień, błędów i zboczeń, osiągnięcia wysokich celów, streszczających w sobie przeznaczenia człowieka. Faust Goethego zostaje zbawiony, dlatego że nigdy nie

ustawał w dążeniach; aniołowie, unoszący do niebios jego duszę, śpiéwają:

Wer immer strebend sich bemüht:
Den können wir erlösen.

Słowa te dadzą się zastosować do całéj ludzkości, któréj bohatér Goethego jest tak wszechstronnym przedstawicielem: i o jéj zbawieniu zwątpić nie można, pokąd żyje, działa i dąży. Ale w innéın miejscu „Fausta“ powiedziano:

Es irrt der Mensch. so lang er strebt.

I w tém zdaniu zawarta głęboka prawda życia. Błędy i zboczenia nieodłącznie towarzyszą naszéj niedoskonałéj istocie ludzkiéj: stosuje się to zarówno do jednostek, jak i do całych pokoleń i narodów. Błądzimy wszyscy tak w naszych powszednich zajęciach i zabiegach, jak również w rozległych dążeniach społecznych i cywilizacyjnych. Unoszeni przez pojedyńczą falę rozwoju, tracimy z oczu prąd jego główny; kierunek, w którym nas ona unosi, poczytujemy błędnie za istotny i zasadniczy, kiedy tymczasem jest to tylko jakiś uboczny zwrot, wynikający ze starcia niezliczonych i różnorodnych fal wielkiego potoku życia.

Człowiek jest zawsze dzieckiem swéj epoki i swego społeczeństwa. Rozliczne czasowe i miejscowe wpływy, mniéj lub więcéj silnie nań oddziaływając, powodują pewną jednostronność w jego pojęciach i dążeniach. Ale rozwój umysłowy, stanowiący główną cechę życia ludzkiego, polega na coraz większém rozszerzaniu odpowiedniości między wewnętrzném życiem świadomém, a zewnętrznemi warunkami czasu i przestrzeni: im wyżéj rozwiniętą jest jednostka, tém umysł jéj rozleglejsze ogarnia sfery świata zewnętrznego. Następstwem tego jest coraz większa wszechstronność umysłu, wyzwolenie się z pod ograniczającego wpływu warunków miejsca i epoki.

Człowiek, zamknięty w ciasnych granicach natury ziemskiéj, przekracza je siłą swéj myśli, przenika bezmierne obszary wszechświatowe i dochodzi do poznania praw wśród nich rządzących, podobbnie i w zakresie stosunków czasu, zdolny on jest wznieść się ponad pojęcia współczesnéj epoki i z ogólniejszego stanowiska rozważać wiekuisty bieg życia.

Nie możemy wprawdzie całkowicie się wyzwolić z pod wpływów współczesnych, i nie jest to nawet pożądane, mając bowiem działać w określonych warunkach pewnéj epoki, powinniśmy żyć jego życiem, przejąć się jéj duchem. Ale, zdobywszy sobie rozleglejszy punkt wi-

dzenia, możemy w części przynajmniéj uniknąć jednostronności w pojęciach i działaniach, nie pozostajemy na łasce pierwszego lepszego prądu, który nas pochwytuje, lecz jesteśmy w stanie czynić wybór wpośród otaczających nas czynników duchowych, rozróżnić w nich to, co posiada istotną i trwałą wartość, od tego, co jest wynikiem nadmiernéj wybujałości, lub zboczenia pewnego kierunku. Najjaśniéj zaś przedstawią nam się różne dodatnie i ujemne strony współczesnéj nam epoki, jeśli ją porównamy z inną, różniącą się swym charakterem i kierunkiem swych dążeń. Przeszłość jest mistrzynią teraźniejszości. Niezmierny i nieustanny postęp społeczeństwa ludzkiego możliwy jest jedynie przez to, iż zdobycze poprzednich pokoleń stają się dziedzictwem następnych,—chodzi tylko o to, abyśmy z przeszłości brali jedynie to, co zawiéra w sobie niespożytą siłę żywotną. Niestety, nigdy się prawie tak nie dzieje. W zakresie stosunków materyalnych umiémy rozróżnić pożyteczne zdobycze dawnych wieków i na swoję je obrócić korzyść; w sferze duchowéj, albo bezwzględnie odrzucamy wszystko, co nam przekazała przeszłość, albo, powodowani bezmyślną siłą inercyi, z uporem obstajemy przy tych nawet jéj pozostałościach, które dawno już utraciły wszelką żywotność, lub nigdy jéj nie posiadały. Stąd wiekuisty antagonizm dwóch sprzecznych kierunków: z jednéj strony ślepe zacofanie, stojące jak na kotwicy na przeżytych już zasadach i pojęciach, z drugiéj — krańcowy postęp nieopatrznie pędzący w dal, w naiwném złudzeniu, iż od niego dopiéro rozpoczyna się era zbawiennych i pożytecznych dążeń. Czy tak zawsze będzie? Czy nigdy ludzkość nie osiągnie jasnéj i wszechstronnéj świadomości swych dróg i celów? Nie myślę rozstrzygać tu tych pytań, nawiasem tylko zauważę, iż cały dotychczasowy przebieg rozwoju społecznego zdaje się przemawiać za pesymistyczną odpowiedzią. Błądzi człowiek póki dąży, jak powiedziano w „Fauście“, i zawsze pono błądzić będzie. Ale suma jego błędów zmniejsza się wskutek coraz szerszego rozwoju świadomości. Wprawdzie ta ostatnia nie wpływa bezpośrednio na czyny; nieraz widzimy u ludzi rozbrat między pojęciami i postępowaniem; z tém wszystkiém odpowiednie wyrobienie pojęć rozumowych jest niewątpliwie krokiem naprzód w udoskonaleniu całéj natury ludzkiéj, a zatém i tych jéj władz, które są motorami działalności zewnętrznéj; rozwój życia umysłowego jest koniecznym warunkiem postępu społecznego.

W niniejszéj pracy starałem się przedstawić, o ile możności bezstronnie, zasadnicze pojęcia dwóch bliskich wprawdzie epok, ale w których rozwój umysłowy okazuje się w bardzo odmiennych, niekiedy

wprost przeciwstawnych fazach. W zestawieniu tém dotknąłem nielicznych tylko punktów w obudwu prądach umysłowych, rozważałem je w szczupłym zakresie stosunków miejscowych, bo nie chodziło tu o wyczerpanie przedmiotu, lecz tylko o ogólne oświetlenie go. Sądzę wszakże, iż i w tém oświetleniu przedstawiają się dosyć wydatnie charakterystyczne znamiona tych tak odmiennych prądów, które określamy nazwą romantyzmu i pozytywizmu. Na pozór wydają się one absolutnie sprzeczne, pogodzenie ich zdaje się niemożliwém: tam wybujałość porywów duchowych, najwyższa egzaltacya uczucia,—tutaj ścisłe liczenie się z warunkami materyalnemi, trzeźwość myśli i uczuć, granicząca z oschłością. Wszelako głębsze wniknięcie w istotę tych pozornie tak sprzecznych prądów okazuje, iż możliwe jest połączenie ich w jednéj wyższéj syntezie, warunkującéj prawdziwie doskonałe człowieczeństwo. Stać silnie na gruncie rzeczywistości, pojmować i uznawać, prawa przyrody, z pod władzy których wyłamać się nie możemy, a jednocześnie wznosić się duchem ponad ciasną sferę powszednich stosunków, rozwijać jego potęgę w tych niezmiernie rozległych granicach, jakie zakreślone są przez naszę naturę psychiczną: oto istotne zadanie człowieka. Że nie jest ono tylko jakimś oderwanym ideałem, że spełnienie jego możliwe jest w warunkach bytu ziemskiego —dowodem tego nietylko teoretyczny pogląd na naturę ludzką, ale również liczne przykłady dostarczone przez praktykę życia; dużo jednak zapewne czasu upłynie, zanim te pojedyńcze fakty staną się ogólną regułą.

W naszéj pozytywno-realnéj epoce wśród większości społeczeństwa, wyższe dążenia duchowe tracą niekiedy swą siłę, przytłumione przez wybujałość materyalnych dążności, które wynikają z pojmowanych zbyt krańcowo, lub opacznie, zasad nowoczesnego postępu; idealizm romantyczny może stanowić skuteczną przeciwwagę tych jednostronnych zapędów, może służyć za bodziec, wzmagający dzielność ducha. Szczególne zaś znaczenie posiada tradycya romantyczna dla młodzieży współczesnéj, która, jak zwykle młodzież, najbardziéj jest skłonna do krańcowego przejmowania się panującemi kierunkami. A jeśli nadmiar materyalizmu i oschłość uczuć, będące wynikiem téj krańcowości, szkodliwe są we wszelkich epokach życia, tém więcéj szkody przynoszą wiekowi młodzieńczemu, w którym duch ludzki zdolny jest rozwinąć w najpełniejszéj mierze swą wewnętrzną dzielność, wyrobić sobie niejako zapas sił na dalsze życie.

Tradycye filareckie i będące ich wyrazem, natchnione pieśni wielkiego poety stanowią niewyczerpane źródło zapału, wiary i zdrowego idealizmu, tych żywiołów duchowych, które powinny zawsze sta-

nowić znamienne cechy młodości. Nigdy może żywotna siła i dzielność ducha młodzieńczego nie wyraziła się z taką potęgą i prawdą, jak w natchnionéj „Odzie“ Mickiewicza; dlatego, mimo wszelkich różnic w przekonaniach i dążnościach, winna ona zawsze pozostać pobudką i hasłem dla naszéj młodzieży; widząc w niéj nawet pewien nadmiar idealizmu, wynikającego z panujących ówcześnie prądów, musimy uznać podniosły nastrój uczuć i myśli, jaki ją przenika, za objaw najgłębszych i najszlachetniejszych popędów duszy ludzkiéj, stanowiących potężną dźwignią postępu i udoskonalenia moralnego.

Walery Gostomski.





BEZ WYJŚCIA.

Szerokim traktem szosowym, w jednéj z najzamożniejszych okolic gubernii lubelskiéj, toczyła się raźno bryczka, w parę dobrych, pocztowych koni zaprzężona. Siedzący na bryce podróżny z zajęciem rozglądał się po polach, okalających szosę, a niebieskie, duże, czarną rzęsą i brwiami ocienione oko błyskało wyraźnem zadowoleniem, wyraźnem zwłaszcza, ile razy z pól, pyszną, nabitą, wyrosłą oziminą pokrytych, przenosiło się na widniejące już nieopodal szczyty drzew i zarysy budynków najbliższéj wioski.

Dojeżdżali do kresu podróży.

Bryczka z szosy wtoczyła się na polną drogę, a z téj niebawem zakręciła w szeroką aleę, staremi topolami gęsto wysadzaną. Pocztylion uchwycił trąbkę i zadął na niéj jeden z tych dobrze znanych, gruntownie fałszowanych, a jednak miłych uchu podróżnego motywów, bo zwiastujących koniec utrapionéj drogi.

Oko podróżnego biegło tymczasem przed siebie z wyrazem niewymownéj radości i oczekiwania. U końca topolowéj alei paliły się w świetle zachodzącego słońca szyby pobliskiego dworu, błyskając złoto-jaskrawemi ogniami—a czerwona dachówka na okazałéj, prawie pańskiéj budowie, zdawała się uśmiechać gościnną przynętą z pośrodka konarów olbrzymich lip i kasztanów.

Dojeżdżali. Bryczka potoczyła się raźno po zwirze zajazdu i zatrzymała się niebawem przed bramą pałacu.

Młodzieniec lekko zeskoczył, nim jeszcze stary, przygarbiony, o posiwiałéj głowie, służący, zdążył mu nadbiedz z pomocą.

— Jak się macie, mój poczciwy Macieju! — wołał serdecznie, otrząsając się z kurzu podróżny.

— Pan Stanisław! o jak to dobrze, że panicz nareszcie przyjechał; toż to radość będzie z takiéj niespodzianki!

— Państwo zdrowi? są w domu? — pytał młody człowiek, szybkim ruchem zrzucając płaszcz podróżny i doprowadzając śpiesznie do porządku bujną swą, falującą jasną czuprynę i pyłem okryty kapelusz. Z pod kapelusza wybłysło uderzająco białe, szerokie czoło, kontrastujące białością z mocno opaloną twarzą i ciemną linią brwi bujnych, silnym łukiem zarysowanych. Wyraz męskiéj energii piętnował twarz całą i postać wysoką, barczystą, o ruchach elastycznych, pewnych i śmiałych.

— Państwo zdrowi, dzięki Bogu, są w téj chwili w ogrodzie, pod kasztanami, zasiedli właśnie do kolacyi. Czy mam dać znać, że panicz przyjechał?

— Nie, nie, Macieju, ja sam natychmiast tam idę! Weźcie tylko w opiekę mój kufereczek!

I rozpromieniony nadzieją powitania swoich, pośpieszył szybko znaną sobie drogą, pomiędzy klombami róż i gwoździków, których woń lubą, swojską, z rozkoszą wciągał w płuca.

Pod nieprzebitym cieniem starych kasztanów dojrzał stół nakryty i siedzące przy nim grono. Ściągnął brwi uważnie i wyraz lekkiego zawodu przemknął mu po twarzy.

— Jest ich troje, nie są sami! — Tak się cieszył na to pierwsze powitanie w kółku ściśle rodzinném — a ot, jakiś niepowołany intruz się nadarzył! — W mimowolnym egoizmie uczuł żal do niego.

Tymczasem i siedzący przy stole zauważyli nadchodzącego. Wysokie, smukłe dziewczę wybiegło naprzeciw niemu, i głosik dźwięczny, srebrzysty zabrzmiał mu nad uchem, podczas gdy dwoje ramion obejmowało jego szyję.

— Stasiu! to ty nareszcie! niedobry! o jak się cieszę, żeś przybył! o jak się cieszę!

Młody człowiek odwzajemnił serdeczny uścisk, i trzymając jeszcze jéj ręce, rozpromienionym, lecz zdumionym wzrokiem mierzył stojącą przed nim postać młodego dziewczęcia.

— Aniu... ja oczom moim nie wierzę... w tak krótkim czasie co za zmiana!... Urosłaś, wypiękniałaś, słowo daję, gdyby nie te długie warkocze, powiedziałbym, żeś dorosła panna!

— To dobre! tyś chyba zapomniał mojéj metryki Stasiu! Przed trzema miesiącami skończyłam lat siedmnaście... Rozumie się, że jestem dorosłą, tém więcéj... Ale chodź, chodź, nie zwlekaj, ojczulek czeka na ciebie, a z nogą swoją nie może, tak, jak ja, wybiedz na twoje spotkanie.

I ująwszy jego rękę, wiodła go szybko ku reszcie towarzystwa.

— Ojczulku! prowadzę niepoczciwego zbiega! — wołała stając

przed poważnym starcem, który podniósł się był i z otwartemi rękoma czekał nadchodzącego.

— Stasiu! chłopcze drogi! wróciłeś nareszcie! — mówił, tuląc do piersi przybyłego, który z synowskim szacunkiem całował zwiędłą jego rękę, podczas gdy z ust radosne i wzruszone padały mu słowa:

— Wujaszku kochany! jakim rad, jakim szczęśliwy, żem znowu z wami!

— I jam rad, serdecznie rad, że cię widzę, mój człopcze! chociaż odrobinę żalu mam w sercu do ciebie! Powiédz, czyż się godziło, tak o nas zapominać, nie pisać wcale. Myślałem, żeś przepadł w świecie, lub żeś się zakochał? a możem się nie omylił?

— Zkąd znów, wujaszku! ja nie tak skory do tego... Nie pisałem, bom leniuch do pióra, a przytém chciałem nagłym i niezapowiedzianym przyjazdem zrobić państwu niespodziankę... Nie jestże to zarozumiałością z méj strony, jeślim sądził, że ta niespodzianka przykrą wam nie będzie?

Starzec uśmiechnął się i uścisnął go raz jeszcze.

— Kiedyś gotował niespodziankę, to i dobrze, ale poczekaj, będziesz miał odwet... tu — zwracając się do stojącego dotąd nieruchomie świadka przywitania—panowie się nie znają —wyrzekł — mój siostrzeniec Stanisław B., pan Adolf S., narzeczony Ani!

Gdyby piorun z pogodnego nieba przed stopy jego uderzył, nie byłby Stanisław mniejszego doznał wrażenia. Pobladł śmiertelnie na dźwięk usłyszanego imienia i teraz dopiéro podniósł wzrok na stojącego obok młodzieńca.

— Bardzo mi miło poznać — rzekł po chwili cichym i bezdźwięcznym tonem, wyciągając automatycznie rękę, którą w pierwszéj chwili, mimowolnym ruchem, schował był po za siebie. Równocześnie jasne swe, stanowczości pełne spojrzenie oparł na twarzy obcego, a zabłysło w niém coś, niby groźba, niby pytanie. Stojący dotąd nieruchomie młody człowiek, wyciągnął dłoń swą z lodowatym chłodem, było coś dziwnego w tym uścisku dłoni, podobniejszym raczéj do zetknięcia się dwóch wrogich stali, niż do pierwszego ogniwa serdecznych, rodzinnych stosunków.

Obecni wszakże nie zauważyli tego.

— I cóż mówisz na to? dziwisz się, nieprawdaż?—starzec z uśmiechem patrzał na siostrzeńca.—No przyznaj teraz, że za niespodziankę odwdzięczyliśmy ci się niespodzianką?!

Stanisław starał się opanować. Przesunął ręką po bujnych włosach, jakiś wymuszony uśmiéch wywołał na usta, z których pierzchnął pierwotny serdeczny wyraz radości.

— Dziwię się istotnie... porzuciłem Anię jeszcze dzieckiem pra-

wie... Prawda, nie byłem w kraju przez dziesięć miesięcy... to długo... Nie, nie mogę sobie darować, żem pierwéj o tém nie wiedział!...—Patrzył na obcego przeszywającym wzrokiem, podczas gdy starzec, sam zasiadłszy, zapraszał ich gestem, by zabrali miejsca.

— Trudno, mój chłopcze, sam sobie jesteś winien! Czemużeś nie pisał? Nie wiedzieliśmy zupełnie, gdzie się obracasz, donieść ci nie mogliśmy... No, stało się; za to teraz poznacie się lepiéj, bo pan Adolf tym razem na dłużéj do nas przyjechał... Ale proszę, moi panowie, na pogawędkę dosyć jeszcze czasu, a tymczasem kolacya do reszty wystygnie. Oj Aniu! Aniu! zapominasz o obowiązkach gospodyni domu... pamiętajżeż o gościach, moja panienko!

Młode dziéwczę oderwało wzrok od twarzy narzeczonego, na którego szlachetnie pięknych rysach oko jéj spoczywało dotąd z wyrazem zachwytu i dumy.

— Jak on się musi Stasiowi podobać! — myślała w duchu. Daleka od spostrzeżeń i badawczych wątpliwości, a sama przejęta uwielbieniem, nie przypuszczała nawet, by wszyscy podzielać go nie mieli. Była młodą, i z subiektywizmem, młodości właściwym, czuła i myślała.

Teraz, głosem ojca z niebios swoich przywołana na ziemię, zaczęła się krzątać około wieczerzy. Zabrzęczały talerze, szczęknęły noże i widelce. Gospodarz w doskonałym humorze, rad z przybycia gości, częstował, podtrzymując rozmowę, która jęła się toczyć około wypadków, w czasie tak długiego niewidzenia zaszłych. Stanisław, zapytywany, musiał opowiadać o swoich podróżach, i ze zdziwieniem dowiedział się, że już po jego wyjeździe prezes z Anią zdecydowali się na zimę wyjechać do Bruksełli, gdzie trzy miesiące zabawili.

— Było to gorącém życzeniem Ani popracować jeszcze w muzyce pod kierownictwem doskonałego jakiego artysty, a że i tak dla dokończenia jéj edukacyi miałem zamiar przenieść się na czas jakiś do większego miasta, zdecydowałem się na zagranicę, i to specyalnie na Bruksellę, z powodu Wieniawskiego. Ot widzisz, jak dziwnie losy zrządzają... pan Adolf, w Belgii zamieszkały, poznał się z nami przypadkowo, i otóż Ania przed oznaczonym czasem ukończyła edukacyą!... — uśmiéchał się starzec, mówiąc te słowa i ocierając nieznacznie łzę, co zwilżyła piękne, niebieskie jego oko.

Rozmowa, zrazu stekiem pobieżnych, zobopólnych informacyi będąca, przeszła na obojętniejsze tory. Pan domu, zawołany gospodarz, człowiek biorący, mimo słabego zdrowia, czynny udział we wszystkich kierunkach narodowego życia i pracy, przedmiot ten traktował z całą znajomością rzeczy i lubił powracać do niego. Mówiono o kraju i o zagranicy, porównywano objawy ekonomicznego rozwoju u ob-

cych i swoich, każdy dorzucał z własnej obserwacyi garść uwag i zapatrywań. Zdanie Adolfa, który dotąd małomówny, zdawał się rozmyślnie na drugi plan osuwać wobec wynurzeń serdecznych i kwestyi familijnych, głównie wuja i siostrzeńca obchodzących, odznaczało się wielką wytrawnością i bystrością poglądu. Mówił i teraz nie wiele, lecz Stanisław nie mógł temu, co z ust jego usłyszał, odmówić w duchu uznania.

Ania jedna nie zdradzała wielkiego zajęcia wobec rozmowy, zbyt suchéj dla młodéj jéj główki i gorącego serduszka. Czém dla niéj były cyfry, kapitały, rozwoje ekonomiczne i przesilenia?! Siedziała cichutko, zapatrzona w gasnące na zachodzie różowe blaski niebios, i tylko, gdy Adolf głos zabiérał, podnosiła na twarz jego wielkie swe, marzące oczy, rozchylając usteczka, jak gdyby pochłonąć chciała każde jego słowo. Na chwilę wtedy martwy dla niéj przedmiot, nabierał życia, zajęcia, barwności, lecz bladł, skoro tylko dźwięk tego głosu pełnego, melodyjnego, gasł dla jéj ucha.

Tymczasem mijały godziny, mrok zamienił się w ciemność zupełną, prezes przy świetle zapałki spojrzał na zégarek.

— Niepodobna! już jedenasta! nigdy nie byłbym przypuszczał, że już tak późno! ale to tak miło gawędzić z drogiemi sercu i poić się chłodem wieczornym, po takim, jak dzisiejszy, upale! Nieprawdaż Stasiu? Ale ja się ciebie pytam, a ty pierwszy musisz być znużony i śpiący po podróży... Rozejdziemy się pewnie, nieprawdaż, panie Adolfie? Ania rano wstaje, i dla niéj niezdrowo tak długo wysiadywać...

Powstali. Stanisław podbiegł i podał wujowi ramię.

— Pamiętasz o reumatyzmach moich, poczciwy chłopcze! Bóg ci zapłać!... Wiész co, wysełają mnie doktorzy do Teplitz, i to koniecznie, w tym roku. Być może wreszcie, że się i wybiorę, ale chyba dopiéro ku jesieni, gdy sam zostanę...

Weszli do sieni.

— Wybaczysz Stasiu, nieprawdaż, że cię nie odprowadzę na górę, z moją nogą trudno mi chodzić po schodach... Panie Adolfie kochany, pana już wczoraj przeprosiłem...

— Ależ wujaszku drogi, jakżeż można nawet... jam przecie tu, jak w domu! Dobranoc! i serdeczny pocałunek złożył mu na ręku.

Podniósłszy głowę, ujrzał Adolfa, w chwili, gdy małą rączkę Ani przyciskał do ust; blada jéj twarzyczka płonęła rumieńcem. Stanisław odwrócił oczy i zawahał się, zanim śpiesznie, ochrypłym głosem, rzucił kuzynce „dobranoc“.

Stary Maciej czekał z zapaloną świécą.

— Panowie razem na górę? — zapytał.

— Nie, Macieju — odrzekł Stanisław półgłosem. — Mnie głowa boli i przejść się muszę chwilę... powiedzcie mi tylko, który pokój zajmuję, a sam trafię...

— Ten, co zwykle, obok bilardu.

— To dobrze, Macieju, tylko proszę, nie zamykajcie drzwi bocznych!

I w chwili, gdy prezes z Anią przechodzili do swoich pokoi, on cicho wysunął się do ogrodu.

• Noc była ciemna. Stanisław szedł krokiem śpiesznym, mijając klomby ogrodowe i dążąc ku ciernistym zakrętom szpaleru. Żwir skrzypiał pod naciskiem stóp jego, a dłoń co chwila unosiła kapelusza, chcąc snać ochłodzić rozpalone czoło. Wszystkie uczucia, które podczas kilku godzin minionych tłumił pod maską obojętnéj rozmowy, grały w nim teraz wszechpotężnie. Szedł szybko, jakby zamiar jakiś nieprzeparty gnał jego kroki. Wtém naprzeciw siebie dojrzał światełko cygara. Oczy, oswojone z ciemnością, rozróżnić mogły zarys wysmukłéj postaci, zbliżającéj się ku niemu. To Adolf...

W jednéj chwili Stanisław był przy nim.

— Dobrze, że cię spotykam — rzekł krótko — mamy z sobą do pomówienia!

— Wiem o tém, i dla tego cię szukałem.

Głos Adolfa brzmiał głucho, cygaro niedopalone upadło na ziemię.

Stanęli. Choć przegradzały ich nieprzebite ciemności, każdy z nich czuł na sobie magnetyzm wzroku drugiego. Snać pełne uczuć wzburzonych musiały być ich piersi, bo nie łatwo było ustom zdoby się na pierwsze słowo.

— Wytłómacz mi — przemówił nareszcie Adolf głosem, któremu usiłował nadać brzmienie pewności i siły — jakiém prawem, w imię jakiéj zasady; bo ty, jak sądzę, jesteś człowiekiem zasad całe życie, udałeś, że mnie nie poznajesz, wobec przyszłego teścia i méj narzeczonéj.

— Zabraniam ci wspominać tych imion — przerwał Stanisław wyniośle — one od téj chwili nie istnieją dla ciebie! Bogu niech będą dzięki, dosyć jeszcze wcześnie przybyłem... Ja to raczéj zapytam, jakiém prawem ty, człowiek shańbiony, śmiałeś wnieść hańbę swoją pod dach méj rodziny?

Adolf milczał, słychać tylko było ciężki oddech, podnoszący pierś jego nierównem falowaniem i snać wrzała w niéj walka, któréj nie chciał dać wyrazu, któréj wybuch tłumił całą mocą panowania nad sobą.

— Odpowiem, lecz nie tutaj — odrzekł wreszcie cicho i napozór spokojnie. — Zwracam ci uwagę, że téj gęstwiny ogrodowéj wpośród ciemnéj nocy, nie uważam za właściwe miejsce dla rozmowy takiéj, jak nasza...

— Jesteś przezorny... jak zawsze... masz słuszność...—Stanisław mówił z lekką ironią. — Owszem, nie mam nic przeciw temu, możemy przejść do pokoju. Mój położony na ustroniu... żadne niedyskretne ucho nie posłyszy nas stamtąd... Służę...

Szli obok siebie w milczeniu i gdy wychodzili z ciemnych alei szpaleru, księżyc wschodzący, wytaczał właśnie czerwony krąg swój po nad gęstwiny kasztanów i padł jaskrawym blaskiem na te dwie, młodzieńcze, piękne, a tak różne postacie. Białe, szerokie czoło Stanisława świéciło pozorem spokoju, tylko lekko ściągnięte brwi nadawały rysom jego surowy wyraz niezłomnego postanowienia. Adolf posuwał się obok niego napozór równie spokojnie, tylko ręka raz po raz nerwowym ruchem przesuwała się po czole, a gdy oczy, wbite przed siebie, podniósł raz ku tarczy księżycowéj, zdawało się, że gorzała w nich jakaś łuna ognista... Może tylko odbicie czerwonego księżyca...

Cichymi krokami wsunęli się przez otwarte boczne drzwi pałacu i przeszedłszy schody, zmierzali ku gościnnym pokojom długim, słabo oświetlonym korytarzem. W progu pokoju swego, Stanisław zatrzymał się, wpuszczając gościa przed sobą; następnie zapaliwszy świécę, postawił ją na stole, a sam gestem uprzejmym wskazując mu fotel, zabrał miejsce w drugim. Milczeli jeszcze. Stanisław dobył cygarniczkę i ruchem machinalnym spełnił zwykły, światowy obowiązek gospodarza. Widz obojętny mógłby przypuszczać, że to dwóch przyjaciół zasiada do długiéj, poufnéj, serdecznéj gawędki.

Ściskając w palcach nerwowo, wyjęte przed chwilą cygaro, podniósł wreszcie Adolf wzrok ku twarzy Stanisława, który zapaliwszy swoje, zdawał się czekać jego odezwania.

— Przed chwilą — mówił wolno bardzo, wpatrując się w twarz przeciwnika, jak gdyby zmierzyć chciał głębie postanowienia jego i niewzruszoności—wyrzekłeś słowa, których odwołania, lub zmazania zażądam niebawem... Jeślim stłumił pierwszy poryw oburzenia i słusznéj urazy, jeślim wysłuchał ich w milczeniu, to dla tego jedynie, że chcę, że muszę spokojnie je odeprzéć...

— Nie dziwię się, żeś słów moich wysłuchał w milczeniu i nie uważam tego za żaden heroizm — w tonie Stanisława zadrżała lekka ironia — takie słowa z ust moich nie powinny być dla ciebie niespodzianką, zanadto są usprawiedliwione, sam wiész o tém najlepiéj...

Adolf przygryzł wargi.

— Nie wiem, czy jest bezwzględnie szlachetnie Stanisławie — odrzekł głosem, w którym brzmiała tłumiona gwałtowność — robić zarzuty człowiekowi, o którego obecnych losach i charakterze nic nie wiész.

— Jakto nic nie wiem? — Stanisław miażdżył go pogardliwym wzrokiem—jakto? czyż sam nie byłem świadkiem lekkomyślności, spodlenia...

Adolf drgnął i wyprostował się w fotelu; pohamował się wszakże jeszcze i gestem wyciągniętéj dłoni starał się przerwać mówiącemu.

— Pozwól mi dokończyć—nim przerwiesz...—Oceń, że trudno mi spokojnie mówić, i z sądem zatrzymaj się, aż ja powiem swoje... Otóż, chcę cię zapytać, czy jest bezwzględnie sprawiedliwie i szlachetnie, człowiekowi, któregoś nie widział całe długie lat dziesięć, o którego późniejszych kolejach, dodam, i przejściach moralnych, nic nie wiész, rzucać w oczy za pierwszém widzeniem sromotne wspomnienie dawno ubiegłéj przeszłości i piętnować go, nie przekonawszy się nawet, czy piętna wstydu nie zmył oddawna, bez śladu...

— Takich plam nie zmywa się bez śladu...

— Tak mówisz? Więc zasadą twą jest, że nie ma rehabilitacyi dla ludzi, którzy zbłądziwszy, chcą błąd swój naprawić?

— U konfesyonału, być może, wobec świata nigdy!

— Więc wszystkim takim, którzy raz zbłądzili...

— Mówię tu o błędach, kalających honor bezpowrotnie!

— Bezpowrotnie!! Więc wszystkim takim w zasadzie zamykasz drogę poprawy, zamykasz przyszłość całą?! Ależ to zabójstwo moralne!

— Kto mówi o przyszłości... gdzieś.. między ludźmi obcymi... świat jest szeroki... Uważam tylko, że dla takich zamknięty na zawsze wstęp do grona rodzin uczciwych, niepokalanych!...

— Z jaką dumą to mówisz!

— Wolno mi być dumnym! W rodzie moim nie było podłych, i nie będzie, póki ja żyję!...

— Stanisławie! miarkuj twoje słowa! — sztuczny spokój pierzchał z twarzy Adolfa, zalewającéj się falą wezbranych namiętności.

— Któż ci każe te słowa stosować do siebie? — głos Stanisława był niezmiernie chłodny, jak dotąd.

— Wolno ci zastosować je do mnie, jeśli dozwolę, byś ty kiedykolwiek dostał rękę Ani!

— Z ócz Adolfa posypały się iskry, z ust, prawie mimowolnie wybiegły mu wyrazy, drgające jakimś nieopisanym tryumfem:

— A jednak ona mnie kocha! mam słowo jéj i prezesa!

Po bladéj twarzy Stanisława przemknął, pierwszy raz, gorący rumieniec, opuścił wzrok na mgnienie oka, lecz w téjże chwili, jasne spojrzenie topiąc w twarzy Adolfa, przemówił tonem zimnym, ale stanowczym:

— Nie mówiłbyś tego, gdybyś wiedział, jaki stosunek wiąże mnie z wujem. Dla objaśnienia cię powiem, że nietylko jedna krew płynie w naszych żyłach, lecz jedna tradycya, jeden pogląd na życie łączy nas nierozerwalnie. Młodo straciłem ojca, on mi go prawie zastąpił. Przekonania moje i poglądy ja kształtowałem na jego zasadach... Znam go nawskroś i on mnie również, jeśli więc mówię dziś, usuń się, zniknij z ich oczu, odstąp od zamiarów twoich, to mówię ci to w imieniu tak swojém, jak jego, przypuściwszy, że i on przeszłość twoją poznał!

— On przeszłości mojéj nie zna — i nie pozna nigdy, jeśli ty nie zedrzesz z niéj zasłony!...—głos Adolfa zadrżał, czarne oczy nie zniosły widać spojrzenia przenikliwych źrenic Stanisława, bo, jak gdyby zmieszane, opuściły się ku ziemi.

— Czuję to jasno — mówił po chwili walki wewnętrznéj — że w sprawie, tak mnie zbliska, tak żywotnie obchodzącéj, ty jeden szalę losu mego trzymasz w ręku... Tyś mi obelgę rzucił w oczy, na wspomnie któréj krew burzy się w żyłach... Gdybym słuchał natchnienia méj duszy, nie byłoby słów między nami... A jednak... to okropne... ja muszę zapomniéć o niéj na chwilę, ja muszę mówić do ciebie, muszę wykazać ci, że niesprawiedliwym byłeś i krzywdzicielem... muszę, bo mi na sądzie twoim, na oczyszczeniu się przed tobą, więcéj, niż na życiu samém, zależy...

Posłuchaj mnie zatém... ty mnie nie znasz jeszcze, — ty nic nie wiész o życiu mojém... znasz je tylko z owéj krótkiéj, szalonéj epoki, którą dziś krwią i łzami chciałbym zetrzéć, zmazać, unicestwić... Błąd jeden, w latach niemal dziecinnych spełniony, staje mi oto kamieniem grobowym całéj przyszłości, — staje w poprzek nadziejom szczęścia osobistego i widokom pożytecznéj działalności obywatelskiéj... Lecz przypomnij sobie... ty musisz wiedziéć, że natenczas, — w epoce naszéj krótkiéj, uniwersyteckiéj znajomości,—owładnęły mną wpływy niegodne... Byłem młodym bardzo i lekkomyślnym... poddałem im się bez zastanowienia. Pierwszy szał uciech młodzieńczych po klasztorném niemal wychowaniu, jakiego doznałem w domu, otumanił moją głowę... Znałeś tę zgraję, która uplątała mnie w swe sieci, wtajemniczając w zakulisowe pohulanki i karty; nauczywszy gustować w rozkoszach, nauczali i szukać źródła dochodów na nie... I cóż powiem na swoją

obronę?! tego faktu, wiem, że nic nie obroni—nie kuszę się o to... Byłem młodym i lekkomyślnie słabym... chyba tyle powiem...

Okropność!... nigdy nie zapomnę téj nocy, gdyście mnie uchwycili na gorącym uczynku, z talią kart fałszowanych w ręku... Wyparliście się mnie... nikt z was ręki mi odtąd nie podał... Dzisiaj — gdyś mi pod naciskiem towarzyskiéj formy końcem palców rękę dotknął — ta chwila, prawie zatarta w pamięci, stanęła mi w myśli — o! i starczyła za zadosyćuczynienie...

Głos jego, coraz cichszy — wysiłkiem z piersi dobyty, żamiérał w głuchym szepcie—ręce, ściskające poręcz fotelu, drżały — na śniade czoło występowały drobne perełki potu.

— Sądziłem wówczas—ciągnął daléj—że tego wstydu nie przeżyję... nie śmiałem ludziom w oczy spojrzéć... Zaopatrzyłem się w silną dawkę cyanku potasu i nią chciałem nędznemu żywotowi koniec położyć... Ot, noszę ją dotąd, ukrytą w tym pierścionku, jako *memento* owéj chwili... Od samobójstwa powstrzymała mię wszakże myśl o matce mojéj... Matka, wdowa, mnie jedynego miała na świecie, — na myśl o niéj zabrakło mi odwagi, chciałem żyć... dla niéj...

Opuściłem stolicę... Wróciwszy do domu, wyznałem wszystko matce... Święta kobiéta! na cóż powtarzać, ile wycierpiała, ona, która, kochając mnie nad życie, całą dumę, całą nadzieję swą złożyła we mnie... Tyś dumny czystością rodu twojego—i nasz nie ustępował mu w niczém... do owéj chwili...

Lecz czegóż miłość matki nie przebaczy!? Energią ducha swego podniosła ducha we mnie.

„Zmaż zacném życiem błąd twéj młodości, odkup go — Bóg zapomniał, i ludzie zapomną!“ Póty te słowa krzepiące słyszałem, póki nie weszły mi w krew i życie, póki nie stały się treścią i hasłem mojego żywota...

I zdawało się biédnéj méj matce, że Bóg modłom jéj i wysiłkom moim nie poskąpił błogosławieństwa. Przenieśliśmy się za granicę. W Belgii skończyłem z odznaczeniem studya na wydziale górniczym. Miałem trochę szczęścia do ludzi; przełożonych starałem się zadawalniać wielką sumiennością... Dziś już od lat kilku zajmuję tam zaszczytne i wybitniejsze stanowisko... matka, staruszeczka, mieszka ze mną.

Téj zimy w Brukselli poznałem prezesa z córką... Klnę się na sumienie, że nie wiedziałem, iż to rodzina twoja... gdybym był wiedział, byłbym od nich stronił — byłbym unikał w ich osobie tych strasznych... wspomnień... Nie wiedziałem jednak... Stało się... wzajem-

ne uczucie zbliżyło nasze losy... Kocham ją czysto i święcie — i mam przekonanie, Stanisławie, że nie jestem jéj niegodzien!

Podniósł oczy,—a głos jego, silniejszy teraz, niezrównanie dźwięczny, przeszedłszy przez wszystkie tony uczuć, które grać musiały mu w piersiach w czasie téj, gdzieś z głębin duszy wydartéj opowieści, zabrzmiał w końcowych wyrazach całym akcentem męskiéj, pewnéj siebie dumy.

Po chłodnéj zrazu i spokojnéj twarzy słuchającego, szły w czasie opowiadania tego cienie zmiennych wrażeń—fałda na białém czole zarysowała się głębiéj i wzrok jasny, pewny, co chwila z twarzy mówiącego osuwał się na desenie posadzki; nawet głos jego drżał zrazu, gdy przemówił.

— Ty mi wierz, Adolfie, że boleję głęboko nad odpowiedzią, jaką dać ci muszę... Jednakże są w życiu konieczności, — święte, chociaż niekiedy okrutne — są prawa, od których odstąpić nie wolno... Ja w mojém przekonaniu honor rodziny wyżéj stawiam, niż szczęście—ja nie wierzę zresztą w szczęście, gdzie téj podwaliny braknie.

Zresztą—jeśli nie polegasz na mnie — owszem, usunę się z wpływem i słowem mojém, ale idź do wuja, wyznaj mu wszystko—powtórz to, coś mówił do mnie—niech on rozstrzyga!“

— Nigdy!... przenigdy!!... raczéj umrzéć... — gorący rumieniec oblał czoło Adolfa, usta mu drżały.—Stanisławie—mówił, hamując się raz jeszcze—posłuchaj mnie tylko... W twoich jedynie ręku ta tajemnica, dziś już zamarła prawie... Jeśli nie zechcesz wskrzeszać jéj, ani wuj twój, ani ona, nie dowiedzą się nigdy — i będą szczęśliwi, jak gdyby ten cień złowrogi nie był nigdy istniał...

— Mylisz się—odparł Stanisław ponuro.—Gdybym ja był jedynym świadkiem tego, co się stało, być może... lecz przypomnij sobie... było nas dziesięciu, kilku z nich żyje dotąd, może pamiętają... Kto mnie zapewni, że nie odezwą się kiedyś, by plamę rzucić na ród, dotąd nieskalany; by zgnębić hańbą starca, stojącego nad grobem, którego ja, syn prawie, opuściłem, oszukałem, dozwalając spełnić się téj ohydzie!... Nie!... nigdy—to być nie może!...

Powstał, mówiąc te słowa i skrzyżowawszy ręce na piersiach, patrzył na Adolfa, który, chwiejny, uniósł się również i oparty obu dłońmi o blat stołu, przechylony, śmiertelnie blady, topił w twarzy przeciwnika źrenice swych wielkich, jak noc czarnych, przecudnych oczu.

— Ty o nim tylko myślisz, a ona? Czy pomyślałeś o niéj, o jéj złamaném życiu... Nie nazwij tego zarozumiałością, lecz ona mnie kocha... ty nie wiész, jak ona mnie kocha!...

Po twarzy, targanéj rozpaczą, przebiegł promień niebiański, szeroko rozwarte źrenice przymknęły się, zamgliły.

Ten widok złamał chłodną na pozór obojętność Stanisława; ognisty rumieniec zapałał mu na twarzy, usta drgnęły widocznie, głos prawie szorstki dobył się z piersi:

— Dosyć... to nie żaden powód. Nie obawiaj się o nią, młode dziewczyny umieją zapominać...

Wrażenie słów tych i mimika twarzy jak prąd elektryczny podziałały na Adolfa. Teraz on wyprostował się dumnie i gryząca ironia brzmiała w cichym szepcie, jakim zapytał, szukając wzrokiem odwróconych oczu Stanisława:

— Gdy znajdą pocieszyciela... Nieprawdaż? to miałeś na myśli... A więc to jest powód twéj niewzruszoności, nieubłagany Katonie!... Katonem zwali cię koledzy — i ja także uwierzyłem, żeś ty Katonem cnoty i zasady... O zgrozo! Jam zmilczał, słysząc obelgę z ust twoich, bom pewien był, że człowiek honoru i dobréj wiary potrafi zmazać ją odwołaniem, a ty głupią szczerość moją płacisz urąganiem!... Jam się przed tobą ukorzył niemal do prośby, przed tobą odkryłem duszę moją, przed tobą — obłudnikiem... Ja głupi, naiwny, jak dzieciak!... Nie, nigdy, nigdy, nie przebaczę sobie tego!

Piersi jego dyszały, na gładkie czoło występowały dwie wielkie, krwią wezbrane żyły; burza namiętna, rozkuta z więzów opanowywującéj ją dotąd woli, ogarniała całą jego istotę.

— Zasady... ha! ha! wygodny szaniec dla egoizmu... I tą zdawkową monetą tyś chciał mnie oszukać?!... Usunąć mnie w imię honoru rodziny, by zagarnąć po mnie dziedzictwo?!... Lecz nie, nigdy, przenigdy! Jeżeli nie ma być moją—i twoją nie będzie. Nie dam ci jéj... póki jedna kropla krwi płynie w żyłach moich. Nie dam ci jéj...

Szał go ogarniał. Krokiem nierównym, gorączkowym biegał po pokoju, a urywane zdania padały z po za zaciśniętych zębów, jak głuche ryki zranionego zwierza.

Stanisław milczał. Ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma stał, jak przedtém, tylko brew silnie ściągnięta przysłoniła w zupełności prawie jasne oko jego i cień prostopadły rzuciła na alabastrowo blade, bledsze, niż kiedykolwiek czoło. Adolf stanął przed nim pieniący się, nieprzytomny prawie.

— Ty milczysz?... i cóż mi odpowiész?...

— Czekam, byś się upamiętał... Ty mnie nie rozumiész, Adolfie, i krzywdzisz mnie ciężko.

— Nie bluźnij i nie graj komedyi! — syk prawie był odpowiedzią na łagodny ton Stanisława. — Wiem teraz, że ją kochasz; wiem, że

w twojéj mocy odtrącić mnie; wiem, że skorzystasz z przysługującego ci prawa, ale wiem także, że i ty jéj mieć nie będziesz. Nie! nie będziesz, póki ja żyję...—kroplisty pot występował mu na skronie.— Tu nie ma wyjścia — ciągnął daléj z raz jeszcze sztucznie wywalczonym spokojem — ty, albo ja, dla nas potém, co zaszło, nie ma już miejsca na świecie— ty, albo ja, niech los rozstrzyga, na śmierć lub życie...

Zdawało się, że te słowa lały ukojenie na wzburzoną jego, targaną szałem istotę. Stał przed Stanisławem, z falującą piersią, lecz spokojny prawie, wyprostowany dumnie; silne postanowienie starło ciemny rumieniec, posągowo wygładziło rysy. Lecz nagle twarz jego drgnęła znowu kurczowo, brwi zbiegły się w jedną ciemną smugę, a wargi wykrzywił jakiś gorzki, sarkastyczny uśmiéch...

— Ty milczysz Stanisławie... ty może i teraz uważasz, że ujmą dla twego honoru byłoby dać satysfakcyą człowiekowi, którego nazwałeś shańbionym?...

Niewymowna gorycz brzmiała mu w głosie, a oczy z niepokojem spoczęły na zagadkowo marmurowém obliczu przeciwnika.

Stanisław poruszył ręką przecząco.

— Mylisz się — odrzekł. — Nie mogę cię uważać za niegodnego honorowéj satysfakcyi i, skorom cię obraził, chętnie wyzwanie przyjmuję. Na téj drodze wszakże zmyć możemy tylko urazy nasze wzajemne, nigdy zaś umorzyć kwestyi zasadniczéj, która nas różni... Droższy mi nad życie los méj rodziny, i tego narażać nie myśię... Jeśli ci więc zależy na dochowaniu tajemnicy — zgoda, będę milczał, lecz stawiam warunek: dziś po raz ostatni widziałeś Anię, jeśli ty zginiesz— nie ma o czém mówić, jeżeli ja — opuścisz dom ten natychmiast, i na zawsze... Na zawsze...

Wyrazy te, silnie skoncentrowane, brzmiały, jak słowa nieubłaganéj wyroczni.

Adolf pobladł mocno i milczał.

— Nierówne są nasze szanse...—szepnął wreszcie głucho—nawet z po za grobu chcesz mnie pognębić... Trudno, wiem, że jestem w twojéj mocy, i że nie mam nic do stracenia... Zgadzam się zatém... Masz słowo moje, że dotrzymam!

Ostatnie wyrazy wymówił z mocą, tylko błysk nienawiści, jak stal zimnéj i jak stal niezłomnéj, wypłynął z oczu, któremi objął twarz Stanisława.

— A zatém?

— A zatém — przemówił Stanisław wolno i dobitnie — uważam, że droga wytknięta... Powiedziałeś: „na śmierć lub życie“ — i ja powtarzam: na śmierć lub życie... O formę, o świadków, o odkrywanie

ludziom obcym tego, co zaszło między mną a tobą—ja nie stoję—i ty, przypuszczam, również...

Adolf przytwierdził skinieniem.

— Masz broń przy sobie?

Adolf z milczeniem zdjął pierścień z palca i pod pieczęcią herbową ukazał drobną złotą kapsulkę.

— Jest... tutaj...

— Dobrze więc... i ja się z bronią nigdy nie rozstaję... Powiedziałeś: „niech los rozstrzyga“ — i ja powtarzam: niech los rozstrzyga... Za tą ścianą leży sala bilardowa. Wybierzemy dwie kule: kto wyciągnie białą, téj nocy jeszcze, nim słońce wzejdzie... Czy zgoda?

— Zgoda!

Stanisław wziął lichtarz w rękę i cichymi krokami przesunęli się przez ciemny korytarz do leżącéj obok komnaty. Na zieloném suknie bilardowego stołu leżały kule, porzucone tam w nieładzie ostatniéj, niedokończonéj partyi. Stanisław dwie z nich wybrał, a zdjąwszy z marmurowego kominka wielki wazon alabastrowy, wrzucił obiedwie do wnętrza. Trąciły głuchem stuknięciem o siebie i zatoczyły się wirowym obrotem.

Stanisław zagasił świécę.

— Ciągnijmy!

Obiedwie dłonie zanurzyły się równocześnie — i nie dotknąwszy się, wyciągnęły z alabastrowego wazonu swoje losy.

Zapałka, ręką Stanisława potarta o ścianę, rzuciła fosforyczne światło na dwie postaci, w kamiennym spokoju stojące obok siebie, jak dwa posągi z bronzu i z marmuru. W téjże sekundzie żółtawy blask świécy oblał wnętrze ciemnéj komnaty — i w ręku Adolfa kulę... białą...

Teraz Stanisław zadrżał na całém ciele. Twarz, blada dotąd, przybrała barwę woskową, wyciągnął dłoń swą, jakby do uścisku.

— Omyliło mię przecucie—jęknął.—Widzi Bóg, żem myślał, że na mnie los padnie... Adolfie, ja cię proszę, uważajmy tę komedyą za niebyłą!

Rysy Adolfa, skamieniałe dotąd, jakby obojętne, drgnęły bolesnym, gorzkim spazmem. Ta parodya uśmiéchu czyniła je strasznymi.

— I cóż chcesz zyskać twoją jałmużną? czy może prawo urągania mi jeszcze, że człowiek shańbiony shańbić się może powtórnie?...

— Adolfie! ja cię błagam! ja nie pragnę twojéj śmierci... Ty masz matkę... żyj... dla niéj!

Adolf ręką zasłonił oczy. Automatycznie dotąd wyprostowany, zatoczył się ruchem mimowolnym, jak gdyby go zawrót nagły opano-

wał. Lecz trwało to zaledwie przez mgnienie oka. W téjże chwili szorstko odtrącił wyciągniętą wciąż jeszcze dłoń przeciwnika.

— Idź... z wstrętną litością twoją... bohatérze zasad!...

Śmiech szyderski, krótki, urywany, jak łkanie, wyrwał się z jego piersi. Wybiegł.

Stanisław słyszał, jak krokiem szybkim przeszedł do swego pokoju. Czekał przez minut kilka, dla niego długich, jak wieki. Nasłuchiwał w téj ciszy nocnéj każdego szelestu, a słyszał tylko nierówne tętno wzburzonego swego serca.

Nareszcie doszedł uszu jego cichy odgłos drzwi zamykanych i lekkich kroków sunącego po chodniku człowieka. Jeżeli Adolf chciał wyjść z pałacu, musiał minąć drzwi sali bilardowéj,—Stanisław wiedział o tém.

Przy żółtawym blasku świécy dojrzał go, przesuwającego się przez korytarz; twarz miał śmiertelnie bladą, na dłoni, przysłoniętéj do piersi, połyskiwał złoty sygnet.

W jednéj chwili Stanisław był przy nim. Wyciągnął rękę, by go zatrzymać.

— Adolfie!—wołał, już nie chłodnym i stanowczym, lecz pełnym niepokoju i gorączkowego nalegania głosem. — Posłuchaj mnie tylko... — nie zdawał sobie sprawy, że tymi samymi wyrazami zaklinał Adolfa, którymi tenże, przed niedawną chwilą, przemawiał do niego.

Lecz i teraz daremnie. Adolf usunął się przed dotknięciem jego, a śmiertelna nienawiść zabłysła w spojrzeniu, jakiém zmierzył chłodno zmienioną, znękaną jakoś twarz Stanisława.

— Nie ubliżaj mi dłużéj... i zostaw mnie w spokoju.

Zbiegł szybko po wschodach.

Stanisław chwiejnym krokiem powrócił do sali. Na zieloném suknie bilardowém leżały obok siebie obiedwie kule... Dopiéro co przedmiot niewinnéj igraszki, bezmyślnéj rozrywki, a oto przed chwilą narzędzie morderczéj loteryi... Stanisław wziął je do ręki i zbliżył do oczu; wzrok jego natężony zdawał się zapytywać martwego przedmiotu o zagadkę losów ludzkich i o granice rządzących niemi potęg nieubłaganéj logiki i ślepego trafu... Odrzucił kule daleko i zbliżył się do okna. Cudowna noc księżycowa owionęła czarem swych uroków człowieka, ślepego na blaski jéj srebrzyste, głuchego na szmery i dźwięki cichéj jéj, przenikającéj, niezrównanéj harmonii. On w téj chwili widział tylko przed sobą te oczy wielkie, czarne, w głębinach których wyczytywał, w ciągu krótkiéj półgodziny, całą treść dziejów duszy człowieczéj, a widział w nich ten piekielny błysk nienawiści, który dla niego był ostatnim ich wyrazem. W uszach pozostał mu je-

den dźwięk jedynie; te kilka słów, wyszeptanych z odbiciem niewymownéj tkliwości: „matka, staruszeczka, mieszka ze mną.“ Po za tém nie słyszał nic i nic nie widział.

Nagle drgnął, z po za gęstwiny parku wychyliła się dobrze znana mu postać i krokiem spiesznym dążyła przez malenką łączkę ku pobliskiemu laskowi. W świetle księżyca rysował się dobitnie smukły, wytworny wzrost idącego; rozróżnić było można nawet przyciśniętą, jak pierwéj, do piersi rękę. Zdawać się mogło, że coś drogiego bardzo chowa w niéj i tuli do siebie. Znikł w gęstwinie.

Stanisław boleśnie zaciął usta. Nachmurzona brew i oko, błędnie w dal zapatrzone mówiły o walce, toczącéj się w jego wnętrzu. Ten człowiek, o zasadach niewzruszonych i niepokalaném dotąd sumieniu, czuł w całéj istocie swojéj bunt dziwny, nieznany dotąd, naprzeciw temu, co uczynił w przekonaniu, że spełnia najświętszy swój obowiązek. Ręką drżącą przesuwał chwilami po czole, a zbladłe wargi raz po raz poruszały się, cichym szeptem powtarzając rozpaczne pytanie.

— Czyż mogłem inaczéj postąpić?

— Nie było innego wyjścia!... — odpowiadał sam sobie, nie znajdując ukojenia w zimnéj logice rozumu.

Pierwszy to raz przekonania, którym zawierzył, które wiodły go dotąd samego drogą prostéj, nie chwiejącéj się nigdy uczciwości, natrafiły na kolizyą w zetknięciu z człowiekiem, którego życie innymi poszło torami. Jeżeli serce na chwilę uderzyło litością, rozum wszakże, sąd trzeźwy nie zawaha się nawet w obraniu decyzyi... Działał w dobréj wierze i nie oglądając się na następstwa, a otóż los nieubłagany zmusił go, by siłę przekonań swoich krwią przypieczętował — krwią ludzką!...

Wzdrygnął się cały.

— Och, czemuż nie swoją!

I wydało mu się w téj chwili, że te podstawy, na których oparł cały system swoich pojęć, te pewniki niewzruszone, te drogowskazy życiowe,—cały ten kodeks honorowy, święty mu dotąd i nietykalny, że wszystko to bałamuctwo marne, martwa, bezduszna litera, nie wystarczające kryteryum wobec doniosłych moralnie, losy i życie ludzkie na szali ważących zagadnień... Toż on im zawierzył, toż on w imię zasad tych postąpił—i cóż osiągnął? Tam oto gaśnie jedno życie ludzkie, tu łamią się i niszczeją inne, a on sam? posłuszne narzędzie przekonań swoich, spełniwszy, co swoim świętym obowiązkiem mienił, jakąż ma nagrodę? Gdzież to niemylne poczucie własnego zadowolenia, którém przywykł oddychać, jak płuca jego powietrzem rodzinném? Zwątpienie tylko, coraz głębsze, jadem swym wnika mu w duszę, mąci równo-

wagę wewnętrzną, przegryza niewzruszone dotąd podwaliny jego wierzeń, bo wszelkie sofizmaty rozumu głuszy wyraźny, niezachwiany, potępiający głos wewnętrzny: „Mordercą jesteś!“

I poczuł, jak ciemność nagła zalega całą jego istotę moralną, gasły w niéj światła, wytykające mu dotychczas drogę żywota, milkły głosy, których nauczył się słuchać od wczesnéj młodości; próżnia jakaś bezdenna, niema, otwierała się przed nim i strach dziwny zaczął szarpać silne, nieulęknione, męskie nerwy jego. Czuł się bez steru, bez broni, bez tarczy, i słyszał wciąż jeden, nieuciszony, natrętny, okropny głos w wnętrzu swojém:

— Mordercą jesteś!

Ręce załamane zatrzeszczały mu w stawach, postać, zazwyczaj śmiało wyprostowana, pochyliła się, jak pod naciskiem nieznanego dotąd ciężaru, wsparła się o framugę okna.

Mijały godziny. Srebrne promyki księżyca bladły, mieszając się z różowym blaskiem świtającéj jutrzenki, wróble zaczęły świérgotać na dachu, jaskółki wybiegły z gniazdek, rozpoczynając łowy na niebaczne, ruchliwe, brzęczące już w powietrzu owady i muszki.

Stanisław stał ciągle u okna, jak przedtém.

Teraz, z po za dalekiego lasu zaczęła się wychylać olbrzymia, rumiana tarcza słoneczna i pierwszym złocistym promieniem padła na twarz jego wybladłą, o podkrążonych sino oczach, w których widniał wyraz beznadziejnéj, głębokiéj, skończonéj rozpaczy.

— Teraz musi już być po wszystkiém — szepnął głucho, osuwając się mimowolnie na kolana; na boleśnie zagryzione wargi kropelka krwi wystąpiła widocznie.

— Nie zniosę tego... nie potrafię żyć z tém wspomnieniem...

Zwir zaskrzypiał pod oknami. Różowa sukienka mignęła wśród klombów, a dźwięczna nuta wesołéj piosenki doleciała uszu Stanisława. Podniósł się. Śledził wzrokiem wysoką, wiotką postać dziewczęcą z wyrazem niewysłowionéj tkliwości i bólu.

— Siostrzyczka moja biédna... biédne, biédne dziecko...

Łzy, pierwsze łzy, nieznane im goście, napływały do męskich jego źrenic i spadały na kurczowo, rozpacznie zaciśnięte dłonie. Czy kochał ją? Teraz po raz pierwszy stawiał sobie to pytanie, pamiętny słów Adolfa i szału zazdrości, jaki w nim to przypuszczenie wznieciło: pytał, i sam nie umiał znaleść odpowiedzi.

— Toż to dziecko jeszcze — powtarzał, bo zwykł tém mianem nazywać tyle młodszą od siebie kuzynkę.

Jeśli może w głębi serca drzémały niejasne dotąd jeszcze samemu porywy, to walka minionéj nocy wywołała je z ukrycia bezwiedne,

dostrzegalne chyba jasnowidzącéj, bo zranionéj i zazdrosnéj miłości drugiego.

Stał w oknie i patrzał na nią, a w sercu wzmagał się ból nieznośny, przechodzący miarę wytrwania. Równocześnie budziła się w nim chęć szalona zobaczenia jéj raz jeszcze zbliska w całéj ciepłéj krasie swobody i szczęścia, napojenia oczu urokiem świeżéj twarzyczki, nim piętno bólu i zgryzoty wyciśnie na niéj niezatarte ślady... A potém? Co będzie jutro? może dziś jeszcze?... przymknął oczy...

— Muszę ją widziéć! — zawołał, otrząsając się z zdrętwiałości dziwnéj, która na tę myśl przebiegła wszystkie jego członki.

Stanisław, gdy chciał, umiał panować nad sobą, jakim kosztem, o to nie pytał. Pogodny uśmiech igrał mu na twarzy, gdy niespódzianie, z po za krzaku róż wychylił się ku zatopionemu w zrywaniu kwiatów dziewczęciu.

— Dzień dobry Aniu! ranny ptaszek z ciebie!

— Ach, to ty, Stasiu! dzień dobry! — zarzuciła mu ramiona na szyję i serdeczny pocałunek złożyła na czole.

— Co się to stało, że tak wcześnie wstałeś? dotąd nie miałeś tego w zwyczaju! Ale ranne wstanie nie służy ci widocznie... Boże! jak ty dziwnie, jak ty mizernie wyglądasz! co tobie?

Stanisław czuł, że się rumieni pod jasném spojrzeniem dziewczęcia, które w téj chwili z troskliwością kobiety patrzało na niego.

— Ej to nic! Jakoś źle spałem téj nocy i obudziłem się z bólem głowy... To przejdzie... drobnostka...

— Może lepiéj, byś się przespał jeszcze trochę, do śniadania najmniéj ze dwie godziny. Ojczulek nie wstaje tak wcześnie...

— Nie, nie, żartujesz chyba! Tak się cieszę, że jestem z tobą i miałbym spać wracać? jeszcze tego trzeba?

Nie mógł znieść uważnego jéj wzroku i starał się rozmowę odwrócić.

— Ależ Aniu, na miłość boską, cóż za spustoszenie urządzasz? Na co tyle róż i samych pięknych... cały koszyk już narwałaś... co na to powié Majewski!

— Róż dosyć jeszcze zostanie na krzakach, a poczciwy Majesio nic nie powié! Czy myślisz, że on żałuje czegokolwiek dla gości, i jeszcze dla takich!

— Dla gości róże zrywałaś?... — głos Stanisława mimo wysiłku, nie umiał zabrzmiéć swobodnie, zadrżał.

Przelotny rumieniec pokrył twarzyczkę Ani i zmieszana, spuściła oczy, a drobne paluszki jęły oskubywać śliczny pączek herbacianéj róży.

— Wiem, że ty, Stasiu, lubisz róże... i pan Adolf także...

— I pan Adolf lubi róże?... — Stanisław machinalnie wymówił to pytanie, zawahał się, jak przed wypiciem czary z trucizną.

— Czy ty go bardzo kochasz Aniu? — zapytał nakoniec głosem drżącym, lecz uroczyście poważnym. Nie zdołał oczu oderwać od ziemi.

Młode dziéwczę upuściło kwiatek i mimowolnie ręce złożyło na piersiach; wielkie piwne jéj oczy o złotawych odblaskach podniosły się w niebo z wyrazem jakiegoś dziękczynnego zachwycenia, usta zadrżały, brakiem, czy nadmiarem słów, niewiadomo.

— Ty go nie znasz jeszcze, Stasiu, więc pytasz... O, gdybyś ty go znał, tak, jak ja!...

W tym wykrzykniku zabrzmiała cała bezdeń miłości, uwielbienia, wiary i zapału, cały akord najpiękniejszych tonów, jakie tylko na strunach serc młodych bardzo i bardzo świeżych grać umieją zgodnie i czysto.

Stanisław przetarł ręką oczy zamglone, krótki, przyśpieszony oddech podnosił pierś jego, w skroniach tętniały mu pulsa; walczył z falą bólu czy łez, co nabiegała do serca, do gardła, do oczu.

— Jak ty mi dziwnie przypominasz matkę!— wyszepnął wreszcie głucho, opanowywując się trochę.

Ania posmutniała, z niepokojem spojrzała na niego.

— Wszyscy mi to mówią — rzekła—ale dla czego ty Stasiu, powiedziałeś mi to z takim smutkiem i tak dziwnie patrzysz teraz na mnie? A to może i tobie przyszło na myśl to, co i mnie się zawsze przy têm porównaniu nasuwa? Moja biédna matka, tak dobra... piękna, szczęśliwa, kochana, i żyła tak krótko... To musi być okropne, Stasiu, umierać w pełni młodości i szczęścia... O, gdybyś ty wiedział, jak ja pragnę żyć, żyć długo, teraz zwłaszcza, gdy mi tak dobrze na świecie, gdym tak niewymownie szczęśliwa!...

Końcem palców otarła drobną łeskę, co drżała na długiéj, ciemnéj jéj rzęsie.

Stanisław milczał. Wysączał po kropli kielich goryczy, po który sięgnął świadomie; nie chciał, nie śmiał, nie mógł jéj przerwać, widział, że zaślepiona, jak maleńkie dziecię, stoi nad brzegiem otchłani, którą on własnemi rękoma wykopał dla niéj, czuł, że za chwilę runie w nią niedwołalnie, rozbijając na zawsze całe szczęście, cały urok, całą młodość życia... Czuł to, i nie mógł podać jéj ręki, nie mógł jéj ocalić, nie mógł...

— Ja przynajmniéj już na to patrzéć nie będę—myślał z gorzką,

samolubną jakąś rozkoszą, chwytając rękojeść nieodstępnéj broni, jak dłoń przyjaciela, jak deskę ratunku.

Lecz ona zajęta własnemi myślami, nie widziała, ani przeczuć mogła, co się działo w jego duszy. Układając róże w koszyczku, ciągnęła swobodnie daléj:

— Takam rada, Stasiu, żeście się nareszcie spotkali, i że się lepiéj poznacie! Bo ty na dłużéj przyjechałeś, nieprawdaż? Pan Adolf obiecał tydzień pozostać... Ostatnia to bytność jego, za następną już mnie zabierze ze sobą... Mnie tak przykro było, że ty, mój najbliższy krewny i najlepszy przyjaciel nie wiedziałeś dotąd o téj, ważnéj dla mnie, i szczęśliwéj zmianie losu... trudno... podróżowałeś tak długo, a myśmy adresu twego nie mieli... Amatorze podróży! przy następnéj twéj wycieczce będziesz miał dom, jakby własny, w szerokim świecie, i zawadzisz o nas przecież! Patrz, jak się już z tą myślą oswoiłam, że mieszkać będę zagranicą... Może po części dla tego, że już poznałam tamte strony... Wiész, byłam w domu jego, poznałam jego matkę, którą on kocha nad życie i czci, jak świętość... Staruszka to, siwa, jak gołąbek i wątłego zdrowia; pan Adolf pamięta o niéj i pielęgnuje ją, jak najtroskliwsza córka... Mówił mi, a nigdy nie zapomnę z jak głębokim smutkiem, że straciła zdrowie, bo wielkie i ciężkie zmartwienie przeszła w życiu. Teraz jednak zdaje się być szczęśliwą i spokojną... i nie dziwię się... mieć takiego syna... patrzéć na to, jak go wszyscy szanują i kochają... Wiész Stasiu, dla mnie to jeszcze jedno źródło szczęścia ta myśl, że ja, co matki nie znałam, odnajdę matkę, i to taką, dobrą, świętą, już dziś kochaną...

— I nie żal ci będzie kraju, i domu, i ojca?... — Stanisław nadludzkim wysiłkiem, zdrętwiałemi ustami rzucał te pytania. Jak przykuty do miejsca słuchał i słuchał niewinnego szczebiotu, poddając się okrutniéj torturze z dobrowolną jakąś rezygnacyą, z poczuciem, że cieniom innego zadosyć czyni. Teraz do wyrzutów sumienia, do żalu nad losem biednego dziewczęcia, co stało przed nim uśmiechnięte, nieświadome swéj doli, przybywało i wzbierało w sercu jego uczucie bezmiernéj litości nad tym człowiekiem nieszczęsnym, którego młode, odrodzone, serdecznemi nićmi z życiem innych zespolone życie, zgniótł, unicestwił... Odczuwał teraz całe okrucieństwo swoje, i sam cierpiąc srodze, powtarzał w duchu: — Cierpiałeś przezemnie, niechaj i ja cierpię, nim zginę!

— Czy mi nie żal?—podchwyciła Ania.—Zrazu było to dla mnie bardzo, bardzo bolesne, że biédnego ojczulka opuścić będę musiała... Lecz... czyż pojmujesz taki egoizm? dziś przestałam się prawie dręczyć tą myślą, dziś czuję tylko, że jestem bardzo, niewypowiedzianie, nieza-

służenie szczęśliwa, i że chciałabym się szczęściem mojém dzielić ze wszystkimi, z światem całym, a najpierw z tobą, mój drogi, poczciwy braciszku!

Rozpromieniona, uśmiechnięta, różowa wzruszeniem, podniosła oczy ku niemu, i upuszczając koszyczek, chciała mu po dawnemu ręce na szyję zarzucić. Uderzyła ją jednak, jak widmo blada, zmieniona twarz Stanisława.

— Stasiu! — zawołała żałośnie, chwytając go za rękę — tyś chory naprawdę! Połóż się lepiéj... Oczy masz błyszczące, gorączkowe, i jak lód zimne dłonie... to nie dobrze... Zaczekaj... obudzę ojczulka... może znajdzie jaki środek w naszéj domowéj apteczce!

Stanisław usiłował się uśmiechnąć.

— To nic aniołku, to tylko silna migrena!... Wiész co, sprobuję przejść się cokolwiek... mnie to czasami pomaga...

— A więc dobrze, przejdź się i wracaj raźniejszy! Czekamy ze śniadaniem!

Stanisław ujął drobną jéj rączkę i przycisnął do swych ust zlodowaciałych.

— Do widzenia! najdaléj za godzinę!

Uśmiechnęła się, patrząc za odchodzącym i w chwilę potém usiadła w cieniu staréj lipy, by z róż zerwanych układać bukiety. Promień słońca przedarłszy się przez zieleń gałęzi, muskał złoty jéj warkocz i różowy zrąb jéj sukienki. Zatopiona w swém zajęciu, nuciła półgłosem rzewną jakąś piosenkę, spoglądając raz wraz ku szeregowi okien gościnnych pokoi, wychodzących na tę właśnie stronę ogrodu. Nagle umilkła w pół taktu, odgłos wystrzału rozległ się w pobliskim lasku.

— Mój Boże! — zawołała, oglądając się trwożnie — otóż znów polują w naszym lesie! Dobrze przynajmniéj, że tak rano, ojczulek nie słyszy, nie będzie się gniéwał!

T. Lubicz.





STAROŚCINA RAWSKA.

NOWY PRZYCZYNEK
DO ŻYCIORYSU TERESY Z ROSTWOROWA ZAŁUSKIEJ,
ORATORKI POLSKIÉJ.
(1676 — 1759).

P. WŁADYSŁAWOWI SMOLEŃSKIEMU,
HISTORYKOWI,
w przyjaznym upominku poświęcam.

Zanim jaka wybitniejsza postać historyczna wynurzy się z toni niepamięci na widownią publiczną i stanie się przedmiotem ogólniejszego zajęcia miłośników historyi; pierwsze kroki na polu odtwarzania rysów psychicznych takiéj postaci, lub téż wynajdywania szczegółów jéj politycznéj, lub téż społecznéj działalności, nie mogą się odznaczać pożądaną dokładnością.

Z ułamków rozmaitych, nie powiązanych ze sobą nicią łączności dokumentów, trudno jest ulepić figurę całkowitą, formą i rozmiarami do pierwowzoru zbliżoną. Szczęśliwy traf więcéj tu znaczy, niż najmozolniejsze, systematyczne poszukiwania. Częstokroć przy wertowaniu pożółkłych, zębem czasu nadgryzionych dokumentów, gwoli zaspokojeniu bezładnéj ciekawości szperacza, znajdujemy to, czegośmy nawet szukać nie mieli zamiaru, a nie znajdujemy tego, co nas do pożądanego kłębka prawdy doprowadzić miało. Nie należy z tém wszystkiém gardzić najluźniejszą choćby wiadomostką, obejmującą ślad życia i czynów głośniejszéj w dziejach postaci. Bez budowania pospiesznych wniosków, gromadźmy wedle sił i możności cegiełki, dla ułatwienia konstrukcyjnéj roboty przyszłym, szczęśliwszym na polu historycznych badań pracownikom.

I.

Począwszy od połowy zeszłego stulecia, tułają się po rozmaitych zbiorach luźne wiadomości o starościnie rawskiéj, pani głośnéj swego czasu z cnót obywatelskich i niepospolitego krasomówczego uzdolnienia.

Już wyroki sądowe ferowane przez gremium obywateli Rzpltéj, duchownego i rycerskiego stanu, należny hołd zasługom i cnotom téj niewiasty składają w zaszczytnych słowach: *Magnifica Capitanea Ravensis, emeritissimi in Republica nominis et inclytarum in subsequens virtutum persona* [1]).

W wydanéj w r. 1745 przez uczonego Jana Fryderyka Sapiehę, w. kancl. lit., pod firmą Jana Ostrowskiego Daneykowicza [2]) „Swadzie polskiéj i łacińskiéj" (w tomie I-ym na str. 72 i nast.) mieści się mowa polska starościny rawskiéj, wypowiedziana przed trybunałem piotrkowskim w roku 1732-im, jako okaz uczoności i krasomówstwa sądowego.

Jeżeli zważymy, że nie daléj, jak na lat sześć przed wygłoszeniem owéj mowy trybunalskiéj, na sejmie grodzieńskim w r. 1726 po raz pierwszy reasumowano statut Kazimierza Wielkiego z r. 1368-go wzbraniający „damom i matronom różnym" zakładać sobie rezydencye w trybunałach i praktyki między stronami czynić [3]), to, sam fakt dopuszczenia starościny rawskiéj do kratki przemawia za wziętością, jakiéj w kole obywatelskiém dama ta używała i tém większą ku bliższemu jéj poznaniu budzić musi ciekawość.

Niesiecki w „Koronie polskiéj" [4]) wywodzi rodowód Teresy „Rostworowskiéj", chorążanki liwskiéj, od Stadnickiéj. Pierwszym jéj mężem miał być Stanisław Godlewski, kasztelan podlaski, z którym nie miała potomstwa. Po raz drugi wyszła Teresa za mąż za Józefa Załuskiego, starostę rawskiego, ale się to małżeństwo „rozeszło." Niesiecki mianuje starościnę „panią p o b o ż n ą i m ą d r ą."

Janocki w „*Lexikonie* uczonych Polaków," wydanym we Wrocławiu w r. 1755-ym dłuższe wspomnienie rodowodowi i zasługom pani téj poświęca.

Uczony Jan Bernoulli w opisie pobytu w Polsce w r. 1778-ym, przytoczonym w ważniejszych wyciągach w dziele Liskego: „Cudzo-

---

[1]) „Wyr. Tryb. Piotrk." Ks. 355, str. 490 i nast. [2]) F. M. Sobieszcz. w „Encykl. Orgelbr.", XXII, 941. [3]) Vol. leg., VI, 439. [4]) T. III, 883.

ziemcy w Polsce“ [1]), wymieniając uczone Polki, tak się o starościnie rawskiéj wyraża: „Jestto pewnie najosobliwsza ze wszystkich dotąd wymienionych autorek, bo się przed wszystkiemi innemi kobiétami, nawet innych krajów, odznacza tém, że była oratorką [2]).

Mitzler de Kolof w *Acta litteraria* z r. 1755-go powtórzył o starościnie wiadomości przytoczone przez Janockiego. Temi luźnemi notami wyczerpał się cały zasób materyału faktycznego, przekazany nam przez pisarzy XVIII wieku, o jednéj z głośniejszych ówczesnych postaci niewieścich. Zatarła się owa postać w pamięci następnego pokolenia, do tego stopnia, że już w r. 1824-ym Jan Sowiński, wydając dzieło o uczonych Polkach, w galeryi swojéj starościny rawskiéj nie zamieścił.

Odgrzebał ją znowu z pyłu zapomnienia Tomasz Święcki, mecenas, w swoich „Historycznych pamiątkach“ [3]), nazwawszy starościnę rawską „dziwowiskiem wieku, dobrze z prawem obeznaną niewiastą.“

Poszedł za nim Julian Bartoszewicz w artykule „Encyklopedyi Orgelbranda“ [4]) i do szczupłéj wiązanki wiadomości dawniejszych, dodawszy przypuszczenie, iż starościna rawska, Załuska, była prawdopodobnie trzecią żoną Józefa Załuskiego i że zmarła u Dzieciątka Jezus w Warszawie, dnia 23 kwietnia 1759 r. w wieku lat 83, wynurzył życzenie, aby „osobliwe to zjawisko, *hic mulier*, kobiéta, prawnik, mówca,“ stała się przedmiotem bliższych studyów.

Estrejcher w „Bibliografii“ dwukrotnie starościnę rawską [5]), jako uczoną Polkę wspomina, lecz prac jéj naukowych nie przytacza.

Życzeniu Bartoszewicza dopiéro w r. 1881 postarał się uczynić zadosyć Klemens Kantecki w artykule o starościnie rawskiéj, zamieszczonym w „Albumie dla Zagrzebia,“ lecz luźna wiązanka faktów tam podanych, nie oparta nawet na dawniejszych, znanych już z przeszłości wiadomościach, błędna w zasadzie i w szczegółach, w niczém nie uwydatniła nam portretu pani Załuskiéj. Nie podał Kantecki ani chrzestnego imienia starościny, ani daty jéj urodzenia i śmierci, ani prac jéj naukowych, ani też szczegółów jéj wystąpienia przed forum trybunału piotrkowskiego, lecz zanotowawszy, że starościna rawska w r. 1785 bawiła w Kamieńcu Podolskim, osnuł na fragmentach jéj listów, odpisanych jakoby z manuskryptu biblioteki Jagiellońskiéj Nr. 104, moralną fizyognomię swéj bohatérki.

Dwa te wszelako pozytywne szczegóły o pobycie starościny rawskiéj w Kamieńcu Podolskim i o listach jéj, przechowywanych w bi-

---

[1]) Lwów, 1876. [2]) Str. 226. [3]) T. II, str. 554. [4]) T. XXVIII, 242. [5]) T. I, 52, IX, 570.

bliotece Jagiellońskiéj, tracą na wartości, wobec faktu, iż starościna rawska nigdy w Kamieńcu Podolskim nie przebywała [1]), i że w spisie manuskryptów biblioteki Jagiellońskiéj Wisłockiego o listach starościny rawskiéj nigdzie niéma wzmianki.

Uzupełnił następnie Kantecki swe niedokładne zarysy biograficzne w „Tygodniku Illustrowanym“ z r. 1881 w Nr. 285, podawszy w wyjątkach mowę starościny rawskiéj przed trybunałem w sprawie przeciw niejakiemu Wodzińskiemu, lecz i ten nowy szczegół w niczém nie wzbogacił dotychczasowych o działalności pani starościny danych i nie wyjaśnił nawet przebiegu sprawy sądowéj, która do wypowiedzenia głośnéj oracyi trybunalskiéj dała powód.

„Nie wiadomo nam — pisał Kantecki — jaki był wynik procesu pani Rostworowskiéj (?) z Wodzińskim, lecz znając smutne stosunki Rzpltéj w XVIII-ym wieku, zwłaszcza w zawichrzonéj epoce bezkrólewia po Auguście II-im, nie trudno się domyśléć, że piękna i śmiała jéj mowa sprawiła na sędziach korzystne wrażenie, że wyjednała jéj nawet przychylny wyrok, co jednak nie przeszkodziło, że ramię sprawiedliwości nie dosięgło zapewne winowajcy, a trybunał kar okazał się wobec niego bezsilnym. Nieco późniéj, gdy August III bezprawnie zasiadł na polskim tronie, wystarczało Wodzińskiemu oświadczyć się za nim i wejść w stosunki z wszechwładnym Brühlem, aby módz lekceważyć prawo i broić bezkarnie. A byłoby mu to przyszło tém snadniéj, że antagonistka, starościna rawska, jak wiemy, należała do najgorętszych zwolenników Stanisława Leszczyńskiego.“

II.

Nie zadowolnił się tą wątpliwą zdobyczą naukową Kanteckiego utalentowany historyk, Władysław Smoleński i w r. 1881 w tygodniku „Prawda“ [2]) zamieścił notatkę historyczną pod tyt.: „Starościna Rawska“, w któréj, wykazawszy błędy i niedomówienia odkryć Kanteckiego, zebrał w zwartych, lecz dokładnych szczegółach, wszystko to, co dotyczas o starościnie rawskiéj w Niesieckim, Daneykowiczu, Janockim, Mizlerze i Bartoszewiczu się znalazło, przyczém, ze swéj strony, podał nieznaną dotychczas datę wypowiedzenia trybunalskiéj mowy,

---

[1]) Kamieniec, a właściwie Kamieńczyk, w ziemi Nurskiéj, przy ujściu Liwca do Bugu (Baliński, „Star. Pols.“, wyd. 2, t. I, str. 653) był istotnie, jak to zobaczymy następnie, polem działalności pani starościny rawskiéj, lecz go utożsamiać z Kamieńcem Podolskim nie należało.—[2]) Nr. 41 „Prawdy“ z r. 1881.

t. j. dzień 14 października 1732 r. i wynurzył w końcu życzenie, aby skierować poszukiwania ku odnalezieniu rozprawy starościny rawskiéj „o przymiotach i wadach kobiéty polskiéj,“ o któréj dawniejsi biografowie z wielkiemi wzmiankują pochwałami.

Na urzeczywistnienie tego ostatniego dezyderatu Wład. Smoleńskiego, ile się zdaje, długo czekać nam przyjdzie. Podjęte w najbogatszych bibliotekach poszukiwania, nawet w bibliotece petersburskiéj, gdzie, jak wiadomo, cenne zbiory Załuskich pomieszczenie znalazły, jak dotąd, okazały się bezowocnemi. Postarałem się wszelako w jednym przynajmniéj kierunku rozszerzyć zakres wiadomości o starościnie rawskiéj, drogą poszukiwań w tutejszém archiwum główném, obejmującém między innemi księgi wyroków trybunału lubelskiego.

Idąc za datą mowy starościny rawskiéj, przez Smoleńskiego wskazaną, odnalazłem w tychże księgach całokształt sprawy sądowéj między Teresą Załuską a Antonim Wodzińskim, podstolim ziemi Liwskiéj w trybunale piotrkowskim przewiedzionéj, od zawiązku onéj, aż ostatecznego jéj zagodzenia, i tym sposobem przybył nam nowy, tym razem pozytywny materyał, do lepszego scharakteryzowania niepospolicie energicznéj niewiasty.

Treść sprawy w roku 1732-im przez trybunał piotrkowski osądzony i powody wystąpienia Teresy Załuskiéj przed kratki sądowe, dokładnie określa mowa starościny rawskiéj.

Antoni Wodziński, podstoli liwski, sąsiad mówczyni, był człowiekiem niepohamowanéj gwałtowności i rozkiełznanych obyczajów. Nękając swoich sąsiadów i podwładnych, dopuszczał się licznych nadużyć i okrucieństw, za które już kilkakrotnie dekretami trybunału lubelskiego na wieżę *in fundo* był skazany, ale zawsze od kar się wykręcał, bądź pozorną ugodą z pokrzywdzonymi, bądź téż jawném nieposłuszeństwem władzom starościńskim.

Ostatnią jego sprawką było sromotne pobicie biédnego szlachcica, Remigiana Próchnickiego i najazd na lasy starościny rawskiéj z kupą swawolnego chłopstwa, które ludzi Załuskiéj zbiło i pokrwawiło.

Załuska pojechała do Piotrkowa, aby się użalić przed sędziami na doznane gwałty. Tam zabiegł jéj drogę Próchnicki, błagając pomocy. Starościna postanowiła zająć się sprawą własną i ubogiego brata szlachcica osobiście.

Wyrok ferowany dnia 13 października 1732 r. [1]), powołuje się na poprzednie skazania wyrzeczone dwukrotnie przez trybunał lu-

[1]) Wyr. Tryb. Piotr., ks. 355, fol. 499. (Arch. Głów.).

belski w dniach 23 października i 29 listopada 1727 r. przeciw Antoniemu Wodzińskiemu w przedmiocie popełnionych przezeń gwałtów, jako téż na ostatni wyrok piotrkowski z 17 lutego 1731 r., dotyczący komplanacyi pomiędzy Wodzińskim a Remigianem Próchnickim z tytułu tychże skazań zawartéj, a przez Wodzińskiego niedotrzymanéj.

Pozwany o ubliżenie dekretowi wysokiego trybunału, Wodziński przypozwał do sprawy Teresę Załuską, jako obrończynię praw Remigiana Próchnickiego i zarzucił jéj, jakoby swemi staraniami „spraktykowała“ sędziów, t. j. zjednała sobie ich przychylność, ku szkodzie skarżącego. Wzajemnie, starościna rawska, powoławszy się na poprzednie skazania Wodzińskiego, na czyny gwałtu przezeń popełnione i na najazd jéj lasów, ostatnio przez Wodzińskiego dokonany, domagała się ścisłego wymiaru sprawiedliwości przez znaglenie Wodzińskiego do odsiedzenia wyrzeczonych przeciw niemu, jako téż i przeciw jego famulusowi Patockiemu, kar wieży, pod rygorem banicyi i uiszczenia kar wadyalnych starościńskich, dekretami poprzedniemi ustanowionych.

Księga wyroków, obejmująca dekret z roku 1732, w następstwie mowy starościny rawskiéj ferowany, nie obejmuje na wstępie spisu kompletu trybunalskiego, przed którym sprawa się agitowała. Z podpisanych wszakże pod dekretem nazwisk dowiadujemy się, że w komplecie, między innymi, zasiadali: Dobraczyński podstarości i sędzia grodowy krakowski, deputat ziemi chełmskiéj Jaroszewski i sędzia deputat województwa podlaskiego—Grabowski.

III.

Trybunał piotrkowski, po wysłuchaniu obron stron stawających, mając na uwadze nietykalność poprzednich dekretów, które przedstawionemi nowemi dowodami Wodziński wzruszyć usiłował, skazał go przedewszystkiém na zapłacenie grzywien za niepoddanie się ich rozporządzeniom; w rozsądzeniu zaś nowo podniesionych oskarżeń o gwałty czynne i zarzut „spraktykowania sędziów trybunalskich“ starościnie uczyniony, zadekretował, aby Antoni Wodziński i famulus jego, Patocki, pod grozą wywołania wiecznego z granic Rzplitéj, w ciągu dwunastu tygodni przystąpili do odsiadywania kary wieży *in fundo*, piérwszy, przez rok jeden, drugi zaś, przez rok jeden i sześć niedziel.

Niezależnie od tego, w myśl dekretów trybunału lubelskiego z r. 1727 i ostatniego swego dekretu z r. 1731, postanowił trybunał piotrkowski, aby Wodziński opuszczając wieżę, zapłacił za siebie i za

swego famulusa wadya starościńskie [1]) pod zagrożeniem banicyi wieczystéj, w grodzie i urzędzie warszawskim ogłosić się winnéj.

Po odsiedzeniu wieży w Warszawie, obowiązanym został Wodziński w ciągu dwóch tygodni do odsiadywania wieży w Kamieńcu Mazowieckim przez dwanaście niedziel i do zapłacenia stronie pokrzywdzonéj grzywien.

Co się zaś tycze wzajemnych skarg Wodzińskiego i starościny rawskiéj, trybunał skazał Wodzińskiego na natychmiastowe uiszczenie kary wadyalnéj, wszelkie zaś manifesta, protestacye, wezwania przed jakimbądź urzędem w kraju przeciwko starościnie rawskiéj wystosowane, niemniéj uczynione jéj zuchwale i w najgorszéj wierze [2]) zarzuty, o spraktykowanie sądu, jako na żadnéj prawnéj podstawie nie oparte, dobréj sławie i czci niewzruszonéj starościny Załuskiéj szkodzące, trybunał skasował i unieważnił, nakazawszy usunięcie ich z ksiąg. Stanowiąc ten ostatni rygor, trybunał piotrkowski z urzędu poświadczył, że wszystkie powyższe zarzuty nie mogą w niczém naruszać dobréj sławy i czci nieskalanéj pani starościny rawskiéj, osoby głośnego imienia i zasług niepospolitych w Rzplitéj i nakazał co do tychże zarzutów wiekuiste zachować milczenie [3]).

IV.

Takie pozyskawszy zadośćuczynienie, starościna rawska postanowiła pilnować najściślejszego tym razem wykonania dekretów trybunalskich, przeciw Wodzińskiemu ferowanych.

Ponieważ dekreta te zastrzegły, aby skazany z chwilą opuszczenia wieży uiścił na rzecz starościny rawskiéj określone wadyum, dlatego też 3 stycznia 1734 r., w czasie wynikłego po śmierci Augusta II bezkrólewia [4]) zjechała Teresa Załuska do Warszawy i zgłosiwszy się

[1]) *Vadium capitaneale*, według praw polskich, znaczyło zagrożenie zapłatą pewnéj sumy na przypadek nieuczynienia zadość wyrokowi, lub na przypadek uczynienia jakowego gwałtu w tak zwanych przechwałkach, inaczéj, odpowiedziach. Dutkiewicz: Prawa cyw. str. 37. [2]) *Impertinenter et malevole.*

[3]) „Declarat; eosdemque nil bonae famae et intaminato honori illibatae fidei Magnificae Capitaneae Ravensis, emeritissimi in Republica nominis et inclitarum in subsequens virtutum personae nullicumque laesioni subjectae semperque digna et clara gerens nocere debere censet et declarat, quinimo illaesum honorem et intaminatum perpetue hac in causa existenti neve relinquendo, imponit, ac indicit silentium". [4]) In tempore moderni interregni.

do miejscowego urzędu grodzkiego, oświadczyła, iż gotową jest wzmiankowane wadyum starościńskie od Wodzińskiego przyjąć i z odbioru go pokwitować [1]).

Ze strony Wodzińskiego nikt nie stanął. Teresa Załuska przedstawiwszy urzędowi grodzkiemu osnowę dekretów, zażądała wniesienia swego manifestu do ksiąg i ogłoszenia podstolego liwskiego, Antoniego Wodzińskiego, za banitę.

Urząd grodzki, w spełnieniu tego żądania i w zastosowaniu się do dekretu trybunalskiego, wydelegował woźnego, Franciszka Gąsowskiego i opatrzywszy go stosowną plenipotencyą, upoważnił do opublikowania przeciw Wodzińskiemu kary banicyi.

Zlecenie to po za obrębem urzędu grodzkiego wykonaném zostało.

Woźny Gąsowski, w obec licznie zgromadzonego tłumu różnéj kondycyi osób, donośnym głosem obwieścił dekret wywołania Wodzińskiego z terytoryów Rzplitéj, o czem téż w obecności starościny rawskiéj urzędową złożył relacyę [2]).

Relacyę tę starościna własnoręcznym opatrzyła podpisem:

Teresa z Rostworowa Załuska [illegible]

V.

Nie poprzestała starościna rawska na formalném jedynie zadośćuczynieniu, lecz pragnąc upokorzyć podstolego Wodzińskiego i zemścić się na nim za doznane krzywdy, zażądała od Tomasza hrabiego z Tęczyna Ossolińskiego, nurskiego i kamienieckiego starosty, delegacyi burgrabiego, celem wykonania dekretu piotrkowskiego na gruncie dóbr skazanego banity.

Jakoż, opatrzony jéj plenipotencyą, szlachetny Andrzej Madaliński udał się z wydelegowanym burgrabią Aleksandrem Ciechalskim na

[1]) Parata erat et est hocce vadium capitaneale, ad mentem decreti levare, recipere, de levato et recepto quietare.

[2]) Magnificum Antonium Wodziński subdapiferum Livensem perpetuo esse banitum, et de Regno Poloniae, Dominiisque eidem Regno annexis proscriptum, hic in curia Regia Varsaviensi extra stubam in praesentia multorum diversae conditionis et status hominum protunc congregatorum et adstantium, alta sua, praeconica et sonorosa voce, publicasse et ad notitiam omnium indubiam sufficienter ut juris et moris est deduxisse, de quo praesentem fecit Relationem. Akta Grodu Warsz. Relationum, ks. 16, str. 264.

grunt dziedzicznego miasteczka Wodzińskiego, Łochowa, i tam, w dniu 16 października 1740 r., w obecności woźnego przysięgłego Wojciecha Tchórznickiego, ufundował jurysdykcyą celem zajęcia dóbr skazanego [1]) na satysfakcyą nieuiszczonego przezeń wadyum starościńskiego, dekretem trybunału z r. 1732 ustanowionego.

W trakcie między opublikowaniem wywołania z kraju Wodzińskiego, a wykonaniem tego dekretu na gruncie jego dóbr, zaszły w kraju ważne polityczne przewroty. Stronnictwo króla Stanisława Leszczyńskiego, po nieudanych usiłowaniach konfederacyi dzikowskiéj, w obronie jego praw zawiązanéj, rozbitém zostało. Leszczyński pozbawiony pomocy Francyi, zmuszony został do podpisania w styczniu 1736 r. aktu abdykacyi i wyjechał z nieliczną garstką swoich stronników do Lotaryngii.

Zwycięski elekt August III, uwolniony od groźnego przeciwnika, podjął starania celem uspokojenia umysłów w kraju i zwołał sejm pacyfikacyjny do Warszawy, gdzie też dnia 25 czerwca zawartym został między królem a sejmującemi stanami układ, potwierdzający wszelkie akta bezkrólewia i ogłoszono amnestyę powszechną, z wyłączeniem z niéj czynów rabunku i gwałtu podczas bezkrólewia spełnionych.

Skorzystał z téj amnestyi Wodziński i uważając się za ułaskawionego, wniósł do grodu warszawskiego protestacyę przeciw ogłoszonemu aktowi banicyi.

W chwili téż, gdy burgrabia Ciechalski zjechał na grunt jego majątku celem wykonania dekretu banicyi, zarządca dóbr Łochowo, Marek Wojcicki, zadyktował do protokółu protest w słowach:

— Nie wiem o żadném prawie Jéjmości (Załuskiéj); samego téż (Wodzińskiego) niemasz. Słyszałem, że miał zapisać manifest przeciwko temu dekretowi. Egzekucyi nie dopuszczam i proszę o remissę do trybunału piotrkowskiego [2]).

W obec tego protestu, który, na zasadzie praw Rzplitéj, był wystarczający dla zatamowania egzekucyi, burgrabia od zajęcia dóbr odstąpił [3]) i spisawszy protokół, odesłał strony spór wiodące do trybunału, z zachowaniem dla osądzenia tego sporu terminu peremptoryjnego.

Niezwłocznie téż Antoni Wodziński, za pośrednictwem woźnego Marcina Konopki, wniósł do grodu właściwego pod datą 25 października 1740 r. i zaoblatował pozew przeciwko Teresie Załuskiéj, starościnie rawskiéj wydany, osnowy następującéj:

---

[1]) Ad peragendam executionem. [2]) Wyroki Tryb. Piotr. Ks. 364, str. 336.
[3]) Ab executione supersedit.

„August III z Bożéj łaski Król Polski etc. Tobie Tereso z Rostworowa, Załuska, starościno rawska, z mężem swym Józefem Załuskim rozwiedziona małżonko, polecamy, abyś przed Trybunałem Koronnym Piotrkowskim, w dniu kiedy sprawa niniejsza z rejestru terminów peremptoryjnych do osądzenia przypadnie, osobiście na instancyę j.-wielmożnego Antoniego Wodzińskiego, dawniéj podstolego, obecnie zaś stolnika Ziemi Liwskiéj, stawiła się i w zastosowaniu się do remissy od egzekucyi na gruncie dóbr Łochowo zaczętéj, w grodzie właściwym Królestwa ogłoszonéj, przed Trybunał nasz koronny wywołanéj, pod karami w prawach Rzplitéj zagrożonemi odpowiedziała na skargę powoda w przedmiocie następującym: iż niezadowolona krzywdą i szkodą, bez żadnego słusznego powodu skarżącemu wyrządzoną, lecz powodowana nienawiścią i chęcią wyegzekwowania sumy tysiąca florenów polskich sobie na zasadzie dekretu z r. 1732, tytułem wadyum starościńskiego w roku 1734 w grodzie warszawskim zasądzonéj, w epoce właśnie, gdy powód w rozerwanéj Rzplitéj [1]) jako rotmistrz Ziemi Liwskiéj pełnił funkcyę rotmistrzowską [2]) i własnym kosztem, z narażeniem życia własnego walczył (co tobie, jaśnie wielmożna Starościno, jako w jego sąsiedztwie mieszkającéj, dobrze było wiadomem), pozyskałaś kondemnatę przeciwko niemu i z wykonaniem jéj w milczeniu dotychczas się wstrzymywałaś; obecnie zaś, niepomna na osnowę uchwały pacyfikacyjnéj, w myśl któréj, wszelkie skazania przeciw osobom w boju pozostającym skasowanemi zostały, poważyłaś się za pośrednictwem urzędu burgrabiowskiego zejść na grunt powoda, z ominięciem Sądu Trybunalskiego Piotrkowskiego, aby tém przyczynić niezmierne szkody powodowi na majątku i honorze, i dlatego winnaś uledz karom za niesłusznie spowodowane i spowodować się mogące szkody, do wysłuchania zaś dekretu stawić się winnaś pod karami w prawie zagrożonemi. Dan w Piotrkowie dnia 25 października 1740“.

W dniu 24 listopada 1740 roku z pozwu powyższego odbyła się w trybunale koronnym w Piotrkowie sprawa, do któréj starościna rawska ani osobiście, ani przez obrońcę nie stawiła się.

Po czterokrotném, przy osobistém stawiennictwie Wodzińskiego, przywołaniu Teresy Załuskiéj, trybunał, mając na uwadze nieobecność pozwanéj, kondemnatę przeciw Wodzińskiemu poprzednio zadekretowaną ze wszystkiemi skutkami zniósł i unieważnił, pozwaną zaś starościnę skazawszy na *lucra*, kondemnatą dotknął i na wywołanie wieczyste z kraju skazał. Dekret banicyi przez woźnego trybunalskiego, publicznie w przedsionku sądowym, w obec nagromadzonego ludu

---

[1]) Dismembrata Respublica. [2]) Rothmagistratus.

wszelkiego stanu i kondycyi ogłoszonym został, a osnowę jego przesłano do właściwych starostów i urzędów grodzkich, celem bezwłocznego wykonania.

VI.

Pan stolnik Wodziński tryumfował. Udało mu się nietylko upokorzyć starościnę Załuską, ale i uwolnić siebie łatwym środkiem kondemnaty od wszelkich następstw nagromadzonych skazań.

Kto inny, widząc bezowocność dotychczasowych impetycyj przeciw nienawistnemu przeciwnikowi podjętych, możeby dał za wygraną. Ale ze starościną rawską niełatwa była sprawa. Nie napróżno nazywano ją *hic mulier*. Dowiodła ona i w obecnéj sprawie, że nosiła głowę na karku nie od parady i że czując się na siłach do prawowania się z możnym stolnikiem, nie opuści tak łatwo zdobytéj przewagi.

Pomocą w téj nowéj kampanii przeciw Wodzińskiemu podjętéj była dla starościny znajomość prawa, a zwłaszcza téj jego części, która, powszechnie poczytywana za kruczki prawne, odgrywa rolę pionka na szachownicy, zręczne posunięcie którego częstokroć o losie partyi stanowi.

Otrzymawszy wiadomość o kondemnacie przez Wodzińskiego pozyskanéj, postarała się starościna o kopię wyroku i z niéj przekonała się, że skazanie nastąpiło z rejestru niewłaściwego.

Dla objaśnienia tego ostatniego punktu wystarczy przytoczenie, iż w trybunale Rzplitéj każdy rodzaj spraw miał swój właściwy rejestr, t. j. sądził się porządkiem wokandy. Sprawy naglejsze sądziły się przed innemi. Do nich należały np. rejestra *arianismi*, *terminorum tactorum*, *directi mandati*. Do spraw mniej nagłych należały np. remissy, apelacye od sądów ziemskich, etc. Ponieważ każdemu zależy na śpiesznem załatwieniu swéj sprawy w sądzie, używano rozmaitych sposobów, aby sprawę odleglejszą, w rejestrze ordynaryjnym, t. j. zwyczajnym figurującą, przenieść do terminów spraw nagłych, zwłoki niecierpiących.

Pomocnymi tu byli woźni trybunalscy, w ręku których spoczywała wokanda, a nierzadko nawet i deputaci trybunalscy, t. j. sami sędziowie.

Kitowicz w „Pamiętnikach“ [1]) z właściwym sobie humorem opisuje kruczki, do jakich niejednokrotnie uciekały się strony, aby z obej-

---

[1]) Wyd. Raczyń. T, I, 235.

ściem praw stron wcześniéj pomieszczonych docierać do śpieszniejszego sprawiedliwości wymiaru.

Pomysłowi procesowicze gubili się w wyborze najwłaściwszych ku temu środków.

„Aby sprawa bardzo daleka doszła najprzód—pisze Kitowicz—starali się u możniejszych, przed nią wyższe wpisy mających, o pozwolenie spuszczenia ich *per non sunt*, co znaczy, jakby tych osób, których sprawa przywołana na stół, nie było przytomnych, ani kogo z należących do niéj plenipotentów. Ująwszy tym sposobem, ten, co przy ławce zasiadał, możniejszych pacyentów (klijentów), o mniejszych nie dbał. Kazał wołać sprawę po sprawie, nie zastanawiając się nic na głos odzywających się przytomnych, ale zapisując w wokandzie i ogłaszając, *non sunt*, *non sunt*, aż póki nie nadeszła ta sprawa, któréj dojście było przyobiecane. I już się niebożęta pacyenci nie opierali, ale zepchnięci z góry na dół, swoje wpisy przenosili, a poniesioną zwłokę w sprawiedliwości *in gratiam* dalszych względów chętnie, albo niechętnie ofiarowali. Podobnym sposobem otrzymywano kondemnaty na tymże trybunale. Nasadzono na pacyenta jakich importunów, którzy go w stancyi zabawiali, patrona zależącego od niego zaproszono na konferencyą, lub jego dependentów, gdzie na ustroniu wymyślonemi interesami przytrzymano; tymczasem sąd z porządku przywołał rejestr, w którym była sprawa; tak ów nieborak pacyent, który kilka niedziel dybał na swą sprawę, w jednéj godzinie został okryty kondemnatą, jakby nieprzytomny. Takie kondemnaty wypadały także bez najmniejszéj winy sądu i chytrości strony przeciwnéj".

Opowiada następnie Kitowicz o innego rodzaju dowcipnych sztuczkach klientów, aby sprawę z rejestru ordynaryjnego przenieść nieprawnie, a mimo to według wszelkich form prawnych do rejestru śpieszniejszego.

Rejestr spraw taktowych mógł być np. codziennie brany do sądzenia; rejestr zaś *directi mandati* każdéj godziny, nawet podczas rozpoczętéj innéj sprawy. Do rejestru *directi mandati* należały sprawy karne, gdy sprowadzano więźnia okutego w kajdany, którego sprawa wymagała natychmiastowego załatwienia.

Otóż, gdy kto np. o ekspulsyą z dóbr lub inny jaki gwałt obwiniony, wpisanym został do rejestru ordynaryjnego, taktowego, a chciał się wcześnie osądzić, wówczas, patron jego, w zmowie z patronem strony przeciwnéj, sprowadzał do sądu człowieka niewinnego, okutego w kajdany i wnosił illacyą, aby w sprawie téj świeżo sprowadzony aresztant do więzienia był przyjęty. Marszałek sądu bezzwłocznie pisał

odezwę do instygatora, aby sprawę tak pilną wpisał w rejestr *directi mandati* i tym fortelem pozyskiwał się pożądany pośpiech w sprawie.

Z tego widzimy, jaką ważność miały rejestra sądowe w wymiarze sprawiedliwości.

Kiedy w r. 1726 na sejmie Grodzieńskim wniesiono projekt reformy trybunałów, sejmujące stany, mając na względzie nadużycia, jakie się działy w sądach przy porządkowaniu i przywoływaniu spraw, najwyraźniéj uchwaliły porządek rejestrów, nakazawszy „aby z którego regestru według prawa zaczęta sprawa, w tymże regestrze kończyć się ma“ [1]).

Ta właśnie uchwała sejmowa posłużyła starościnie rawskiéj jako skuteczny środek do obalenia wyroku przez Wodzińskiego przeciw niéj pozyskanego.

Sprawdziwszy, iż wyrok ten zapadł z niewłaściwego rejestru *poenalium*, zamiast z rejestru spraw taktowych t. j. naglejszych, do którego sprawa z natury swéj należała, i z którego poprzednio przeciw Wodzińskiemu zyskanym został dekret, wniosła starościna skargę do sądu o kassatę ferowanego dekretu. Termin ten odbył się dnia 11 lutego 1741 w trybunale piotrkowskim, który mając na względzie pozyskanie przez stolnika Wodzińskiego, dekretu przeciwko starościnie rawskiéj z rejestru niewłaściwego, wyrok ten skasował i do pierwotnego stanu obie prawujące się strony przywrócił [2]). Karę zaś za niewłaściwe wpisanie sprawy do rejestru niewłaściwego przez stolnika Liwskiego zasłużoną trybunał umorzył.

VII.

W tym stanie sprawy, obie strony, znużone długotrwałą walką, postanowiły wszelkie spory i procesa ostatecznie w drodze polubownéj zakończyć.

Jakoż, stawiwszy się dnia 24 listopada 1741 przed księgami zapisów trybunału piotrkowskiego, zadyktowały kompromis, aby celem rozsądzenia wszelkich sporów i akcyi swoich sądowych, fundowania jurysdykcyi, naruszenia granic, obelg czynnych, słownych i gwałtów, wybrany sąd, w osobie podkomorzego ciechanowskiego, Adama Krasińskiego i arbitrów przez każdą stronę wybrać się mających, dnia 4

[1]) Vol. leg. T. VI. str. 220 (wyd. Ohr.). — [2]) Cassata suprascripta cassatione et condemnatione, uti ex regestro incompetenti super Magnifica capitanea Ravensi obtenta, restitutaque causa in integrum, eandem ad Regestrum competens, ubi causa coepta est, remittit. Wyr. Tryb. Piotrk. Ks. 365, str. 408.

czerwca 1741 na gruncie dóbr Kamionna, osądził i ostatecznie według swego najlepszego uznania załatwił [1]).

Kompromis ten, podpisami własnoręcznemi starościny rawskiéj i stolnika Wodzińskiego opatrzonym został.

Od téj chwili nazwisko starościny rawskiéj znika zupełnie z widowni wokand trybunalskich. Zażywając niezakłóconego niczém spokoju, oddała się starościna Załuska zajęciom gospodarskim i literackim, tłómacząc dzieła włoskie i francuskie na język ojczysty, oraz pisząc rozprawy oryginalne, które, ku istotnéj szkodzie dla piśmiennictwa, światła dziennego nigdy ujrzéć nie miały. Sądząc po stylu świetnym i błyskotliwym, ujawnionym we wspaniałéj mowie przed trybunałem i po niezwykłéj erudycyi, prace starościny rawskiéj nie musiały należéć do kategoryi „robótek damskich“, o których z grzeczności jedynie pisarze XVIII wieku wzmiankowali. Teresa Załuska dożyła sędziwéj starości i zmarła w r. 1759 dnia 23 kwietnia. w Szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie.

Przeciwnik jéj, Wodziński, nauczony powściągliwości względem starościny rawskiéj, wynurza się jeszcze kilkakrotnie z toni wyroków sądowych. Ostatnie skazanie awanturnika nastąpiło w roku 1753. Odsiedziéć musiał rok wieży za zadanie nieszlachectwa niejakiemu Jakóbowi Czaczkowskiemu [2]).

Dalsze jego losy wiadomemi nam nie są.

VIII.

Dla uzupełnienia niniejszego szkicu z sądowego życia z połowy XVIII w. może nie zawadzi dorzucić kilka szczegółów do życiorysu rozwiedzionego małżonka Teresy Załuskiéj, Józefa Załuskiego, starosty rawskiego. Z Bartoszewicza wiemy jedynie, że pan starosta był synem Hieronima, kasztelana rawskiego [3]).

Trudno wobec zupełnego braku informacyi dociec przyczyn rozwodu jego z panią Teresą, która, jak utrzymują, była trzecią z kolei

---

[1]) Quia ipsi, ad decidendas finaliterque resolvendas et disjudicandas causas et actiones suas judiciarias, tam ex causa juris fundorum, et granitierum, quam ex causa facti, honoris et violentiarum promanantes, in mutuis actoratibus et reatibus habitas, et in judiciis Tribunalitiis Regni Petricoviensibus dependentes, terminis et processibus contentas, in superarbitrum et supremum judicem Magnificum Adamum Krasiński Succamerarium Ciechanoviensem una cum Magnificiis Arbitris a parte quavis per binos locandis, quos partes sibi eligere et conducere voluerint inscribunt, eligunt et constituunt. Zapisy Tryb. Piotr. Ks. 49, str. 209.

[2]) Ks. Czerskie Grodz. Perpetuitatis Ks. 29, str. 366. Arch Głów. Król. — [3]) Enc. Org. T. XXVIII, 243.

jego małżonką. Byłby wdzięczném polem do domysłów antagonizm przekonań politycznych, obojga małżonków, gdyby z listów staróściny rawskiéj, ogłoszonych w wyjątkach przez Kanteckiego (o ile są autentycznemi), wykazała się sympatya żony do króla Stanisława Leszczyńskiego, a antypatya w tym kierunku ze strony jéj męża. Tymczasem, listy staróściny płoną zapałem nieudanego przywiązania do teścia Ludwika XV, a działania starosty również są nacechowane bezgraniczném poświęceniem dla sprawy Leszczyńskiego.

Nie wdając się zatém w bezowocne dociekania, pozostaje tylko na podstawie autentycznych dokumentów rękopiśmiennych wyjaśnić, że starosta rawski, jako partyzant Leszczyńskiego, zaciągnął się do szeregów Steinflichta, jenerała szweckiego w służbie Stanisława i z nim razem w r. 1735 przebywał w Prusach Królewskich, gdzie nastąpiło spotkanie z Jerzym Ożarowskim i uknutym został plan dywersyjny napadu na Saksonię, dla odciągnięcia z granic Rzplitéj wojsk saskich [1]).

Pomimo porażki zadanéj jenerałowi saskiemu Birholcowi, opór partyzantów Leszczyńskiego złamanym został przez jenerała Weissenfelda. Cofnęli się oni do Królewca i uznawszy bezowocność dalszéj przeciw Augustowi III. walki, gromadnie na jego stronę przechodzić zaczęli.

Z Królewca téż w dniu 13 grudnia 1733 napisał starosta rawski do podkanclerzego koronnego Jana Małachowskiego, z którym przedtém w zażyłych pozostawał stosunkach, list, z oświadczeniem gotowości poddania się Augustowi [2]).

Pobudką tego kroku było uznanie niemocy własnéj do dalszéj walki, bardziéj jednak działał tu interes osobisty podratowania zniszczonéj wojną domową fortuny i chęć wypłynięcia na szerszą widownię, przy pomocy ulubieńca Augusta III, Jana Małachowskiego, który właśnie za zasługi swoje, przy elekcyi wyświadczone, podkanclerstwo koronne otrzymał [3]).

„Jeżeli kiedy — pisał Józef Załuski — niedościgłe wyroków boskich mogły się pokazać dyspozycye, to w teraźniejszéj konjunkturze, i każdy przyznać może, że co komu Bóg przeznaczy, już tego nikt nie przeinaczy. Byliśmy dotychczas opacznéj nadziei, że w dobrym zamiarze (*rectissima intentione*) ułożone projekta nasze na przeszłéj elekcyi w obraniu sobie króla Polaka pomyślnym skutkiem się uwieńczą (*felici terminabuntur coronide*), przy aprobacyi Najwyż-

[1]) Szujski: Dzieje, IV, 310. — [2]) Rękop. bibl. Jagiell. Nr. 3739. Karty 7 i 8.— [3]) Jul. Bartosz. „Enc. Orgelbr. T. XVII. 880.

szego, przez którego królowie panują (*per Quem Reges regnant*); przydane do tego wszelkie wymyślne ludzkie usiłowania (*humanitus conatus*) i applikacye w utrzymaniu tego, że (*prosperabuntur*) uwieńczone będą szczęśliwszym sukcessem ile, bez krzywdy drugiego (*sine injuria alterius*). Że zaś tego wszystkiego przeciwne (*contrarios*) widziemy następstwa (*eventus*), i oczywistą w tym wolę Bożą przeciwną, a zatym osądziwszy, że nie ma rady przeciw Panu (*non est consilium contra Dominum*), i ja skłaniam ku czci (*in adorationem*) tego pana, któregoście obrali (*quem vos colitis*), które ustnie przełoży *lator praesentium* (oddawca niniejszego). Nie wątpię o wspaniałości serca pańskiego, że słusznéj zażyć kompassyi nad ciężką ruiną moją, która nietylko przez Generała Zagrayskiego doszczętne (*funditus*) zrabowanie w klasztorze jezuitów rawskich, ale téż całéj fortuny zniszczenie woła o sprawiedliwość i miłosierdzie do respektu Pańskiego. Nie wątpię bynajmniéj, że pokazana innym w podobnym wypadku (*in simili passu*) łaskawość Pańska i mnie nie zawiedzie (*denegabitur*), w czym i samego W. M. W. M. Pana Kochanego Dobrodzieja błagam łaskawéj protekcyi, ile (w téj obecnéj godności) *in hoc gradu praesenti* pierwszéj admissyi, którego jako szczerze memu Dobrodziejowi winszuję, tak upewnić mogę, że się tak z tego cieszę, jak gdyby mnie samego to szczęście potkało. Supplikuję kochany Dobrodzieju *cura ut bene valeam* (staraj się, abym się miał cało) według dawnéj łaski i przyjaźni Twojéj. Ponieważ zaś insze potencye zabierają się do uspokojenia, chciejże W. M. W. M. Pan pomyślić i o naszym, które upewniam, że *coalescet* (przyjdzie do skutku) wkrótce, *salvis salvandis* (przy zachowaniu tego, co zachować należy), *in quem finem* (w którym to celu) życzyłbym przysłać do nas do wyrozumienia *desideriorum nostrorum* (życzeń naszych), które, wątpić nie trzeba, że *pugnant pro bono publico* (dążą do dobra publicznego), że tego promocya powinna być *ab utraque parte* (z obojga stron), w jednéj Ojczyźnie żyjących: to *in plena confidentia* (w całém zaufaniu), jako memu Dobrodziejowi dawnemu *defero* (donoszę) i proszę, aby zostało w tajemnicy (*ut sit sub rosa*), co piszę. Będę ja tu nadsłuchiwał dalszych intencyi i dyspozycyi W. M. P. P. i upewniam, że *non deero* (nie zaniecham) szczerą applikacyą, proszę, żebyście w tym tam byli łaskawi, o co *per latorem praesentium* proszę, a teraz jak najprędzéj rezelucyi wyglądam, kończąc tym, żem jest etc.“

IX.

W odpowiedzi na list Józefa Załuskiego, Jan Małachowski, figura w dziejach Rzpltéj niepomiernéj doniosłości, przesłał Załuskiemu

wynurzenie wielkiéj radości, a odpowiedź ta, napisana stylem niepospolicie jędrnym i dla dziejów owéj epoki nie będzie obojętną [1]).

„Mogę już sobie powrotu szczęśliwych ojczyźnie obiecywać momentów—pisał Małachowski—kiedy dawna przywraca się powoli braterska konfidencya, za co i ja partykularnie W. M. M. Panu dziękując, odzywam się z dawną affektu mego kontestacyą, żadną czasu interwencyą niezmienioną. Oddaliła była *sensus differentia* (różnica poglądów) jednego od drugiego, zamknęła korespondencyi wrota, ale teraz już je Bóg sam otwiéra, kiedy swoją wielowładną ręką, umyka *obices* niesłusznéj zawziętości i odbiéra sposób przez generalny traktat wieszać się unoszącym umysłom na tych nadziejach, które zawsze od tylu wieków każdemu były zawodne. Osadzony na tronie polskim król JMć August III, Pan Miłościwy, mocą Boską, ale *mediante* (za pośrednictwem) wolnego narodu *sensu et assensu*, Polak, bo królewicz polski, Polak, bo przez indygenat domowi książąt saskich przyznany, Polak, bo przez tęż potencyę, która i za ś. p. ojca jego jako i teraz stawając *aemulum* za Piasta polskiemu narodowi wytykany, Polak, bo possessyą przez konstytucyą roku 1726 ugruntowany, Polak, bo przy wielkich cnotach swoich nie pamięta krzywdy swojéj i zemsty nie zna. Dla całéj tedy Polski jest wielkie szczęście mieć Pana wszystkich cnót *compendium*, dla W. M. M. Panów, że osobę Jego Pańską *praeit* (poprzedza) *clemencya*. Życzę tedy W. M. Panu, ażebyś bez dłuższéj tergiwersacyi powracał do Polski, *in adorationem* tego Pana, którego my dotąd zmarszczonego nie widzieliśmy czoła. Upewniam, że będziesz mile przyjęty i kiedy dasz dowód szczeréj ku Panu życzliwości i dawne swoje ku ugruntowaniu całości ojczyzny odnowisz prace, pójdzie Jego Królewska Mość, Pan nasz Miłościwy trybem ewangelicznego gospodarza, który płacę pracownikom *in vinea*, choć i późno przychodzącym oddał równą, co i pierwszym. Przy tym świętym Panie, naśladujemy i my kościół Boży, który jednego dnia *sine solennitatum differentia* odprawuje fest SS. Piotra i Pawła; nie znać tu będzie u nas *neo-convertum*, (nowo-nawróconych), od dawno Panu służących, byle tylko nie wracać się znowu do kamieni, *ad lapidandos sanctos*.

„Nie przysięgaliśmy nigdy amnestyi nie dawać, albo na ruinę braci naszych powstawać. Nie konfiskowano dóbr, nikomu honorów nie odbiérają, po umarłych tylko wakanse biorą. Czego się tedy obawiać, przystąpić *ad corpus Reipublicae*? Wesołe czoło Pańskie i ręce do uściskania i odbłąkanego brata u nas wszystkich otwarte. Namieniasz Waszmość M. Pan o jakimsiś wysłaniu dla porozumienia *desideriorum*

---

[1]) Rękop. Bibl. Ossolińskich we Lwowie, Nr. 307, str. 138.

W. M. M. Panów, tego nie mogę *propinare* Dworowi, bo jeżeli słychać *pertinatiam ad animositatem*, to żaden z nas partykularniejszych na to się nie ruszy. Jeżeli dla słuchania propozycyi partykularnych u Dworu naszego nic wymuszonego być nie może, ale wszystko wyproszone, jeżeli *in publicis* co się niezda, nie jest to dzieło *particularium* poprawiać, co *ad totam Rempublicam* należy. Jest na to sejm, wolny głos *in tuto*; próba tego niedawna, że *etiam passiva vox* zatamowała publiczną obradę [1]).

„Nie grożono nikomu wyrzuceniem z okna, każdy tylko *indolebat* .... *sorti Reipublicae.* Cokolwiek scyssya skrupułów narobiła, przysięga na koronacyi Pańska w Krakowie znieść je powinna, bo to zwyczajnie *in similibus.* Za Stefana, Zygmunta Trzeciego, Augusta Wtórego *Reipublicae* było *remedium.* W czymże podobne *invisa* dotąd *opera nostra* nie są wiadome, posyłam zebrane *in fasciculo.* Rada moja z prawdziwego affektu pochodząca, nie insza *in hoc passu* być może tylko W. M. M. Pan chciéj wszystkim perswadować, aby odstąpiwszy *ab anterioribus actis*, przystąpili *ad Rempublicam.* Może to być *per declarationem in scripto* i podpisem wszystkich i podać potym do Grodu któregokolwiek *per oblatam.* *Sacrificium hoc*, że *voluntarium*, *gratum erit Domino*, a dla W. M. P. P. *honorificum*, a *in quantum* drudzy odrzucą tę radę, to W. M. M. Pan przyjeżdżaj *ad devinctissimos* obudwu pieczętarzów, bez ceremonii. Im prędzéj złączysz się z nami, tym prędzéj zniewolisz serce Pańskie i zażyjesz z nami błogosławieństwa *S-ae Sedis Apostolicae*, z którym J. M. X. Nuncyusz jedzie, *et in horas speratur.*“

Rady téj usłuchał starosta rawski. Pospołu z licznymi królewieckimi rozbitkami powrócił do kraju, gdzie wraz z dojściem sejmu pacyfikacyjnego w d. 25 czerwca 1736 r. do skutku, rozpoczął się szereg festynów dworskich w Warszawie i Dreznie, dokąd liczny zastęp magnatów za Augustem III pociągnął.

Od téj chwili działalność starosty rawskiego cichnie na kartach roczników krajowych z owéj epoki.

Józef Załuski zmarł w dobrach swoich Gostomiu, o 12 mil od Warszawy oddalonych, w d. 28 sierpnia 1742 roku [2]).

Alexander Kraushar.



[1]) Mowa tu o zerwaniu przez stronnictwo Leszczyńskiego sejmu pacyfikacyjnego, zwołanego przez Augusta III-go na dzień 27 września 1735 r. Szujski: „Dzieje“, IV, 311. — [2]) Jul. Bartoszewicz: „Encykl. Org.“, t. XXVIII, 243.

Z BELETRYSTYKI ZACHODU.

III.

(Jan Richepin, poeta, dramaturg i powieściopisarz.—Rzut oka na jego piśmienniczą działalność.—*Le Cadet*, ostatnia jego powieść).

Jan Richepin, poeta, dramaturg i romansopisarz, wydał świeżo nową powieść: *le Cadet.* Utwór ten, noszący tak samo jak wszystkie jego dawniejsze utwory cechę niepospolitego talentu, jest, bez najmniejszego wątpienia, najcyniczniejszym płodem dzisiejszéj literatury francuskiéj. Nigdy jeszcze pióro szanującego się pisarza, co z rzemiosłem pornografów nic wspólnego mieć nie chce, daléj nie poszło. Wśród społeczności, co się już ze skandalami otrzaskała, wśród piśmiennictwa, co wystawiło jako dogmat, że dzieło sztuki troszczyć się nie potrzebuje nietylko o moralność, ale po prostu o obyczajność, wśród téj nawet zdenerwowanéj społeczności i tego rozkiełznanego piśmiennictwa, nowa powieść p. Richepin wywołała rodzaj osłupienia. Mówi się o niéj półgębkiem, a pochwały cieniuje zastrzeżeniami. Bracia po piórze, którzy oddawna psuli zuchwałego pisarza, dytyrambicznemi pochwałami i posadzili wśród wieca literackich przodowników, wyrzucają mu po przyjacielsku tym razem, że go zmysł analizy uniósł po za szranki wytknięte przez tradycye naturalizmu: i naturalizm już bowiem ma swoje tradycye! Nietylko że taka krytyka nie sprzeciwi się powodzeniu téj powieści, ale owszem, zaostrzy ciekawość. Nie zdziwiłoby nas bynajmniéj, gdyby przed upływem roku *le Cadet* liczył wydania na tuziny.

Wobec takiego stanu rzeczy, nie ma doprawdy powodu pomijać pobożném milczeniem książki, o któréj rozprawiać będzie przez długie miesiące cały świat literacki. Chociaż nie łatwo mówić o niéj w spo-

sób, coby nie obraził przyzwoitości, postaramy się to uczynić. A czynimy to przedewszystkiém ze względu na wybitne stanowisko, jakie p. Richepin potrafił już zająć wśród rzeszy młodych pisarzy współczesnych. Postawiliśmy sobie jako zadanie w tych pogadankach literackich, przesunąć przed oczami czytelników sylwetki przedniejszych osobistości literackich i uważamy za właściwsze szukać ich raczéj pomiędzy wschodzącemi gwiazdami, aniżeli pomiędzy już oddawna wsławionymi i ogadanymi autorami.

Zanim przejdziemy do charakterystyki ostatniego utworu p. Richepin, zdaje się nam właściwém określić dotychczasową piśmienniczą jego działalność i naszkicować jego fizyognomię.

Pomiędzy wyższemi szkołami paryskiemi najpoczcześniejsze miejsce należy się szkole Normalnéj; kwiat młodzieży kształci się tam na profesorów i literatów. Ci z nich, którzy nie przeszli przez naukową dyscyplinę téj szkoły, a co się mimo tego wybili na jaśnię, zwykli żartować z „normalczyków" i wyrzucać im pedantyzm, spaczenie umysłu przez sztuczny klasycyzm Hellady i Rzymu. Zarzuty to przesadzone, ale zaprzeczyć się nie da, że wszystkie osobistości literackie, co wyszły z tego pierwszorzędnego zakładu naukowego, zaczerpnęły w nim istotnie tradycye humanitarne, że forma ich, na najdoskonalszych wyćwiczona wzorach, bywa nieposzlakowana, że w organizmie ich wyrabia się systematyczność, ład, metoda i że ciążą mimowiednie do téj cywilizacyi, z któréj wyssali krew najżywotniejszą. Jan Richepin był także uczniem szkoły Normalnéj, a jeżeli zerwał stanowczo z jéj duchem i jeżeli innym dzisiaj hołduje bogom, to nie można nie dopatrzéć w wykwintnéj, wyrafinowanéj jego literackiéj formie jawnych śladów tego chrztu pierwotnego. *Auch er war in Arkadien geboren*, a choć mu się podoba pluć na nią piołunową goryczą, zdradza zawsze, że się pierwéj karmił miodem Hymetu.

Debiut jego w r. 1876-ym był hałaśliwy. Tom poezyi pod tytułem *Chansons des Gueux* wywołał żywe wrażenie. Znawcy literatury podziwiali prawdziwe mistrzostwo formy, zapał młodzieńczy, burzliwą fantazyę i przebaczali mu chętnie dzikie wybryki, jarmarczną hałaśliwość, bo widzieli w niéj po prostu sztuczną pozę, a przebaczali mu ją tém chętniéj, że byli w stanie dojrzéć rodzaj parafrazy słynnych wzorów klasycznéj poezyi i że mieli nadzieję zwrotu w innym kierunku: niebawem ten mętny trunek miał się wyburzyć i po nad mułem do przejrzystéj ułożyć powierzchni. Ale zdanie to znawców nie było podzielane przez władze sądowe. Wytoczono mu proces o obrazę moralności i skazano na miesiąc kozy! Wyszedł z niéj z systematyczną nienawiścią do organizmu społecznego normalnego, i w warstwie mie-

szczańskiéj, średniéj, widział odtąd swych osobistych nieprzyjaciół. W zbiorze tych potępionych poezyi opiéwał żebraków, łotrów, całe śmiecie towarzyskie, apoteozował łachmany i brud moralny. Powierzchowny czytelnik mógł się dać oślepić i ogłuszyć młodemu poecie, ale przy bliższém zastanowieniu widoczném się staje, że były to po prostu ostatnie podrygi romantyzmu i że nie było potrzeby brać ich bardzo do serca. Odczytując obecnie, po kilkunastu upłynionych latach, ten tom poezyi, skoro już wiemy do czego autor ich jest zdolny, musimy dziwić się oburzeniu, które to kwilenie dziecinne wywołało.

Nie da się wiele powiedziéć o następującym zbiorze jego poezyi noszącym nazwę *les Caresses.* W formie wykwintnéj, ale bez żadnéj istotnéj oryginalności, śpiéwa on miłość, ale miłość czysto materyalną, zmysłową. Są tam porywy namiętności, dość jednostajnéj zresztą, ale brakuje jego ideałowi miłosnemu wszystkich innych stron. Nie podejrzewa nawet czułości, duchowego zlania się dwóch serc kochających, tęsknoty, melancholii. Ryk samca jest faktem niezaprzeczonym, ale poświęcać mu trzysta stronic druku, podzielić opiewające go poezye na cztery księgi noszące nazwy miesięcy kalendarza rewolucyjnego, *Floreal*, *Termidor*, *Brumaire* i *Nivôse*, to dużo, to bardzo dużo!

Udowodniwszy w pierwszym swym poetycznym zbiorze, że jego społeczne sympatye ciągną go do włóczęgów, żebraków, rabusiów i wszystkich wydziedziczonych, pokazawszy w drugim, jakie są jego erotyczne skłonności, stanął nareszcie p. Richepin z trzecim, gdzie zamierzył wypowiedziéć w formie poetycznéj swoje religijne i filozoficzne zapatrywania i opinie. Tom ten wydany przed czterema laty pod nazwą *les Blasphèmes.* Było widoczném, że autor chciał wywołać wrażenie piorunujące, że mu się wydało przedsięwzięcie jego bohaterskiém, że się wzniósł do rzędu Tytanów. W przedmowie już uprzedza, że znajdują się w jego dziele, *des sévères pensées*, że rozpoczyna bluźnierstwami cykl wielkich poematów i że jako następne ogniwa tego łańcucha wyda „Raj Ateusza“, „Ewangelię Antychrysta“ i „Śpiewy wieczyste“. Dotąd żaden z tych poematów, którymi byliśmy zagrożeni, nie wyszedł. Zamokły widocznie strzały w apolinowym kołczanie. Nie ma doprawdy przyczyny żałować niedotrzymanéj obietnicy. „Bluźnierstwa“ już dały wystarczające wskazówki o tendencyi poety. Filozofia jego ogranicza się i sprowadza do urągania i do plwania na wszystkie formy religijne. Nie ma nic oryginalnego, nic postępowego w tém zapatrywaniu: jest to poprostu powrót do czystéj negacyi XVIII wieku, ale pozbawionéj wszelkiéj delikatności, wszelkiego dowcipu. Poeta pokazuje pięść niebu i jako dowód, że w tym niebie nie ma Stwórcy, to tylko jest w stanie powiedziéć, że nie spada zeń piorun,

coby go zabił odrazu. Nie można się spodziéwać odeń żadnego głębszego rozumowania, ani sceptycyzmu, przez który wszystkie śmielsze umysły przechodzą, ale na którym się nie zatrzymują, ani racyonalizmu; są to poprostu wykrzyki spienionego furyą waryata, jednostajne w swéj gwałtowności; nic więcéj. Rzuciwszy swe przekleństwo religiom we wszystkich ich formach historycznych, w ostatnich ustępach, nazwanych *les dernières idoles*, poeta przeklina tak samo wiarę w rozum, w przyrodę, w postęp ludzkości.

Pomiędzy poezyami wchodzącemi w skład „Bluźnierstw“ jest jedna, *la Chanson du sang*, w któréj p. Richepin daje nam klucz do swéj etyki, ba, więcéj jeszcze, do całego swego organizmu, cielesnego zarówno jak duchowego. Krew pierwotna, jaka w nim przemawia, to nie krew naszéj aryjskiéj rasy, ale krew turańska; jest on potomkiem Hunnów, cyganów, żółtoskórych azyatów. Fizycznie jest on istotnie krzepki, nerwowy i muskularny zarazem, wysoki i rozrosły, o piękném ciemnoskórém obliczu, o oczach czarnych, o zębach tygrysich, a na wielkiéj jego głowie jeży się czupryna kędzierzawa, powikłana, fantastyczna. Mógłby posłużyć rzeźbiarzowi za model do azyatyckiego Herkulesa. Z téj powierzchowności oryginalnéj, p. Richepin jest dumny, w niéj dopatruje głębokiéj rasowéj przyczyny, dla któréj on, potomek paryasów, nie może z cywilizacyą aryjską się pogodzić; zawsze będzie jéj urągał, zawsze będzie buntownikiem. W dwóch jeszcze utworach, o których powiemy słówko poniżéj, tę samą wypowiadał rasową zależność od Turańczyków.

Ostatnim z rzędu poetyckim utworem jego jest *La Mer*. Autor zniknął raz na kilka miesięcy z koła swych znajomych i przepadł bez wieści. Mówiono, że się zagłębił w pustynie afrykańskie, kiedy istotnie wszedł jako żeglarz na statek morski i pracując ciężko razem z załogą rybackiego okrętu, przypatrywał się zbliska morzu i życiu tych, co się po jego uwijają falach i życiu tajemniczemu co się ściele w jego głębinach. Owocem tych osobistych spostrzeżeń jest ten tom poezyi o morzu. Jak i w poprzednich zbiorach, tak i w tym są utwory dziwaczne, widocznie obliczone na wywołanie podziwu, jak np. *Lithanies de la mer*, ale są i inne, prawdziwie piękne, pełne polotu i zapału. Richepin, zawsze nadęty, retoryczny, po raz piérwszy tutaj pokazał, że może być naiwnym i pełnym prostoty. Najlepszą za to otrzymał nagrodę: niektóre z jego pieśni zostały pochwycone przez majtków i wzbogaciły ich oryginalny, tradycynie przekazywany śpiewnik.

Te cztery zbiory poetyczne nie pozwalają wprawdzie lekceważyć go jako poetę, ale nie pozwalają także policzyć go pomiędzy mistrze. Technika jego wiersza jest efektowna, ale pod względem techniki

poezya francuska tak olbrzymie uczyniła postępy za wpływem Wiktora Hugo, Teofila Gauthier i szkoły parnasyjczyków z Teodorem Banvilem na czele, że Richepin za innymi pozostał w tyle. Pod względem treści, ani swą fantazyą, ani natchnieniem nowych szlaków poezyi nie otworzył. Poezya w któréj nie ma ani źdźbła uczuciowości, wdzięku, z któréj wykluczone jest drganie serca, nie może nigdy przeniknąć na dno społeczności. Konwulsyjne szamotanie się i wycie dzikiego zwierzęcia wywołują, jako niespodziane, zrazu rodzaj podziwu, ale gdy przechodzą w manierę, nawet i na nie liczyć już nie mogą.

Jako dramaturg, Richepin po kilka już razy sił swych próbował i nie bez powodzenia. Dosadny, energiczny, lubujący się w stanowczych przeciwieństwach, talent jego zdawał mu się tę drogę wskazywać. Inni poeci w przeważającym u nich liryzmie znajdowali przeszkodę nieprzezwyciężoną prawie, u niego nie liryzm ale akcya górowała, a akcya, to dusza produkcyi teatralnéj. Z czterech sztuk, które dotychczas odznaczyły się na scenie, jedna *la Glu*, przerobiona z powieści tego samego tytułu, jest napisana prozą; trzy inne, *Nanah-Sahib*, *le Flibustier* i *Monsieur Scapin*— wierszem. Wiersz jego pełny, dźwięczny, często efektowny, jest sceniczny, i nie widzimy żadnego innego dramaturga we Francyi dzisiejszéj, któryby się lepiéj umiał posługiwać tém trudném narzędziem.

Pierwszy z rzędu dramat *Nanah-Sahib*, wystawiony był w roku 1883 na wielkiéj scenie teatru Porte-St.-Martin. Jest to melodramat podług znanéj recepty, a jedynie forma poetyczna, oryginalność obranéj przez autora miejscowości — Indye—wspaniałość wystawy i dekoracyi, oraz gra takich artystów, jak Sara Bernhardt, pozwoliły na chwilowe złudzenie co do istotnéj wartości utworu. Prawdziwéj oryginalności nie ma w téj sztuce; przeciwnie, obracamy się wpośród znanych typów. A więc jest urocza Djelma, oblubienica Nanah-Sahiba, książęcia służącego Anglikom i źle widzianego przez naród, jest Simron, nikczemny parya, zakochany w Djelmie i oddający w ręce jéj ojca, Tippo-Rai, skarb podziemny; są sceny w więzieniu, jest bunt przeciwko najezdnikom, jest scena zazdrości Djelmy przeciwko białéj Angielce, i jest nakoniec, jako apoteoza w czarodziejskiéj sztuce, stos płomienny, na którym, wśród fantastycznych skarbów, pali się dwoje kochanków, Djelma i Nanah-Sahib. Jest widoczne, że tego rodzaju melodramat nie pchnie kulejącéj sztuki dramatycznéj na nowe szlaki. Paryż widział w niéj przez parę miesięcy *great attraction* dla tego, że Sarah Bernhardt, wówczas u szczytu swéj renomy, była poetyczną Djelmą, że kronika bulwarowa ogłosiła *urbi et orbi* miłość jasnowłoséj artystki do śniadego poety szczepu turańskiego, i co główne, że poeta, że Richepin

sam wystąpił na scenie w roli Nanah-Sahiba. Jako azyatycki książę, był zaprawdę, bardzo malowniczy, jako aktor miał sceny piękne w swéj dzikości. Ekscentryczność ta zabawiła świat bulwarowy, a gdy się ciekawość stępiła, sztuka zeszła z widowni i zapomnianą została. Wątpimy, ażeby ją kiedy wznowiono.

Dwa następne utwory sceniczne p. Richepin są daleko delikatniejszéj natury. Napisane dla repertuaru Komedyi Francuskiéj, grane przez najlepszych artystów, przed wyrafinowaną publicznością domu a raczéj świątyni Molièra, starały się podnieść swój dyapazon do téj wysokości i w wielkiéj części im się to przynajmniéj udało.

Pomiędzy typami komedyi molierowskich, jednym z najpopularniejszych jest Scapin, ów sługa cyniczny, podstępny, co się przed żadnym figlem i psotą nie zatrzymuje, aby pomódz swemu młodemu panu w jego miłosnych i pieniężnych przedsięwzięciach. Niemoralność Scapina znika wśród fajerwerkowéj jego wesołości i pomysłów błazeńskich, śmiejemy się, i jesteśmy rozbrojeni. P. Richepin wpadł na myśl udatną. Przedstawia nam tego samego Scapin'a, ale już nie jako sowizdrzała młodego, ale jako statecznego *Monsieur Scapin*, osiadłego, jako porządnego mieszczanina, żonatego z molierowską Doriną, także swego czasu przewrotną pokojówką, zamożnego ojca dorosłéj córki. Zachowawcze instynkta przyszły mu wraz z latami i dostatkiem, a węzeł téj lekkiéj komedyi jest w tém, że jego własna córka rozkochuje się w powabnym Florestanie, a Scapin jest wywiedziony w pole przez Tristana, sługę, co się u niego właśnie nauczył fortelów i wybiegów. Jest to *un pastiche*, lekki, barwisty i może zadziwiać, że wyszedł z pod pióra, do tak wdzięcznych rysów nie przywykłego. Jąk w wyżéj wzmiankowanym melodramacie słychać było echa Turańczyka, tak w *Monsieur Scapin* nie trudno dopatrzéć nici porwanéj, ale na nowo związanéj ze szkołą Normalną.

Le Flibustier, ostatnia ze scenicznych prac p. Richepin, grywana od dwóch lat często w Komedyi Francuskiéj, napisana została przez autora pod wpływem tego morza, do którego się był zbliżył tak poufale czas jakiś. Treścią téj dobrze zbudowanéj komedyi trzyaktowéj jest namiętne przywiązanie do morza Legoëna, starego bretońskiego marynarza w XVII stuleciu, a pogarda dla zajęć lądowych. Czeka on od lat wielu powrotu swego wnuka Piotra, co jako majtek odpłynął, i chce go ożenić ze swą wnuczką Janiką. Następuje właśnie obrót rzeczy przeciwny: nie Piotr powraca, ale inny majtek, jego brat ślubny, Jacquemin i jemu się oddaje serce Janiki. Gdy potém, niespodziewanie powraca Piotr, następuje kolizya, zakończona małżeństwem sympatycznych kochanków: Piotr, jako przeniewierzający się morzu

i postanawiający żyć na stałym lądzie, nie wart lepszego losu! Nić i tu jest wątła i intryga żadna prawie. Ale tyle delikatnych rysów, takie malownicze tło téj atmosfery marynarzy, tyle za serce chwytającéj prostoty, że sztuka ta zyskała poklask szczery. Zasługuje nań istotnie. Jeżeli jest oznaką, że jéj autor jaśniéj zadanie swoje zrozumiał już obecnie, to można mu pomyślny wystawić horoskop.

Chociaż i w poezyi i jako pisarz sceniczny p. Richepin w ciągu ostatnich lat czternastu działalność swoję zaznaczył, to jednakże nie ma wątpienia, że przedewszystkiém jest znany i popularny jako powieściopisarz. Tak samo, jak innych pisarzy, i jego przywabiła i usidliła ta forma twórcza, w któréj najwierniéj i najdokładniéj odmalować się daje życie społeczne. Nazwano powieść epopeą nowożytną i definicyi téj, gdy się do wnętrza jéj przeniknie, nie brakuje prawdy. Różne są prowincye w tém rozległém państwie, i każdy pisarz może z łatwością wybrać sobie te, w których berło dzierżyć ma ochotę. Co do p. Richepin, to chociaż już sporą ilość powieści napisał, nie da się wszelako powiedziéć, gdzie się stale osiedli. Zaglądał tu i owdzie, tu i owdzie sił swych próbował, pisał powieści realistyczne, fantastyczne, poetyczne, naturalistyczne, psychiczne, i t. d. Nigdzie nie był pospolitym, wszędzie forma jest staranna i wyszukana, ale nietrudno będzie zrozumiéć, dla czego dotąd nie napisał arcydzieła, i dla czego nie napisze go prawdopodobnie nigdy. Arcydzieła mają skrzydła do podobłocznego lotu, skrzydła duchowe: jego zmysłowy materyalizm stale do ziemi przykuwa. Nie do ziemi nawet tylko, ale do jéj błota przedewszystkiem.

Nie możemy przypisywać wielkiego znaczenia jego powieści *la Glu*, która przerobiona na melodramat, miała wielkie powodzenie na popularnéj scenie *Ambigu comique*. Jestto znany temat kobiéty upadłéj, nikczemnéj wszetecznicy, która na lep swój chwyta starych i młodych, wycieńczonych używaniem i nowicyuszów. Autor zrobił ze swojéj Fernandy fizycznie ohydnego potwora, a mimo tego ma ona być czarodziejską Circe. Odświeżył to tło wyszarzane, stawiając swój dramat na wybrzeżach poetycznéj Bretanii i obierając za ostatnią tragiczną ofiarę awanturnicy, młodziutkiego, pobożnego, zabobonnego rybaka. Zetknięcie się téj natury pierwotnéj z ową tak nawskróś jéj przeciwną, wywołuje katastrofy. Jeżeli skomplikowane postaci wyższego towarzystwa wyglądają w powieściach p. Richepin nieraz, a w téj szczególniéj, jako karykatury, to trzeba przyznać, że z wielką malowniczością i siłą zarazem stawia natury ludowe, prostacze. Marie-des-Anges, stara bretonka, i Gillioury, teorbanista bretoński, są naszkicowani tak silnie, iż się ryją raz na zawsze w pamięci. P. Richepin,

który skromnością nie grzeszy, uwiadomić nas nie omieszkał, że niektóre sceny i epizody téj powieści, a między innemi ta, gdzie Marie-des-Anges, dla ocalenia swego wnuka, zabija wszetecznicę, należą do najświetniejszych kart literatury, że są godne Corneille'a. Dla nas jest widoczne samochwalstwo w tym sądzie. *La Glu* nie potrafi gwałtownością, którą autor zawsze bierze za siłę, pokryć braku istotnéj oryginalności działających osób i naturalnego rozwoju wypadków.

Miarka, la fille à l'Ourse, jest, prawdę powiedziawszy, najlepszą z dotychczasowych powieści p. Richepin. Dał tu folgę swemu poetycznemu temperamentowi, a obrawszy za bohaterów cyganów—Romani—to plemię, od którego z dumą ród swój wiedzie, pisał powieść tę istotnie sercem. Czyta się ją jak czarodziejską baśń jaką, a czyta bez najmniejszego znużenia, bez słabnącego interesu. Sceny nieprawdopodobne, romantyczne wymysły splecione są kunsztownie ze szczegółami tak prawdziwego realizmu, że się i pierwsze mimowolnie za prawdziwe uważa. Stara cyganka, fanatycznie przywiązana do swego plemienia, Vougne, i wychowująca swą wnuczkę, Miarkę, w wierze o jéj królewskiém przeznaczeniu—niedźwiedzica co karmi niemowlę i staje się jéj strażniczką i opiekunką, postać Gleud'a, chłopca-idyoty, co do młodéj cyganki przylgnął niewolniczo—prześladowania, cierpienia, ucieczka, śmierć i pogrzeb staréj cyganichy, a nakoniec jako apoteoza pojawienie się bandy cyganów pod przywództwem ich poetycznego króla i jego zaślubiny z Miarką—wszystko to stanowi tkaninę pstrokatą, jaskrawą, w któréj może więcéj jest szychu, aniżeli prawdziwego złota, ale bądź co bądź, przez rozlaną w niéj poezyę, przez wiejące z niéj ciepło, powieść ta żadnego wykształconego czytelnika obojętnym zostawić nie może. Ale bez śmieszności panu Richepin obejść się trudno. Gdy ta powieść jego wyszła niedawno w ozdobnéj ilustrowanéj edycyi, czyż potrzebujemy dodawać, że w wizerunku okazałego króla cyganów, w owym idealnym Romani, znaleźliśmy wierną podobiznę samego romansopisarza. Uprzedza nas, że jest cyganem, ale próżność daje do zrozumienia, że jest królem cyganów.

Jeżeli można uważać Miarkę, córkę niedźwiedzicy, jako powieść poetyczną, albo jako poemat w prozie, to za to *Madame André* jest najwyższym wysiłkiem, jaki autor zrobił w kierunku psychicznego studyum. Nie da się zaprzeczyć, że stoi ona po nad całą rzeszą tuzinkowych powieści i że tylko prawdziwy talent mógł postawione tam zadanie przeprowadzić. Wysoce realistyczny jéj nastrój nie wyklucza ani pomysłowości, ani fantazyi, ani polotu. Pani André, bohaterka powieści, młoda wdowa i matka małéj córeczki, zrywa ze światem i wyrzeka się własnego dziecka, aby się poświęcić całkowicie młodszemu

od siebie o lat dziesiątek Lucyanowi Fardolle, poecie i romansopisarzowi. Ten jéj kochanek jest istotą słabą, bez energii, idzie jedynie za popędem swych instynktów, i autor przeprowadził analizę tego charakteru ujemnego z logicznością nieubłaganą. Kobiéta za to jest istotą wyjątkową, wybraną. Nie ma poświęcenia, któregoby się ulękła, usługi, któréjby swemu ukochanemu nie oddała. Ona to pisze pod jego natchnieniem z początku, a potém niezależnie od niego, powieści i sztuki, które Lucyana okrywają sławą i dają dostatki. Jeżeli gdzie można mówić o niemoralności tendencyjnéj, to w tym utworze, gdzie związek dwóch istot, związek występny, oparty na zdeptaniu macierzyństwa, jest otoczony aureolą świętości, podniesiony do apoteozy. Autor prowadzi swych bohaterów przez rozmaite perypetye do dość zwyczajnego końca, do opuszczenia téj idealnéj ale starzejącéj się kobiéty przez słabego i egoistycznego młodzieńca, a jego koniec jest w dostatkach przy boku młodéj i kochającéj go żony, wśród prozy życia i zgasłego talentu. Są w téj powieści charaktery naszkicowane barwnie i dosadnie, analiza duchowéj strony obu głównych figur nie zostawia nic do życzenia. Karykaturalne opisy świata powszedniego, mieszczańskiego, nie rażą nawet, gdyż stoją na drugim planie. Całość zostawia wrażenie trwałe. Zarzuty odnosić się muszą do niektórych fizyologicznych stron, traktowanych z tém lubowaniem się w sprosnościach, jakie jest właściwością naturalizmu i do tego zepchnięcia macierzyństwa w kobiécie do rzędu drobiazgów nic nieznaczących. Jest w tém oschłość serca i jednostronność nie do darowania. Sam autor zresztą przyznał się do tego błędu w ostatnich czasach. Wydając tom noweli, noszący tytuł *les Morts bizarres*, utwór w rodzaju Edgara Poë albo Hoffmana, poświęca je swemu synkowi, niemowlęciu jeszcze i prosi to dziecię o przebaczenie, iż był w stanie, pisząc swą powieść *Madame André*, lekceważyć uczucia rodzicielskie, których siłę obecnie uznaje.

Z téj przedmowy oraz z dwóch innych powieści, nad któremi bliżéj się tutaj zastanawiać nie mamy potrzeby, można było wnosić, że w atmosferze duchowéj p. Richepin nadeszła nareszcie chwila pogodnego spokoju, że nastąpił przełom i że uspokojony, pozyska równowagę i że pogląd jego na świat okolny będzie oświecony odtąd najwyższém światłem—sprawiedliwości i miłości do ludzi—nawet gdy ci ostatni należą do rasy aryjskiéj. Nie bez zdziwienia tedy stwierdzić trzeba, że ostatnia jego powieść, ów *le Cadet*, który nam dał powód do obecnego krytycznego przeglądu, jest jeszcze napisany całkiem pod wpływem tego chronicznego u niego, a stronniczego poglądu na naturę ludzką.

Nigdy autor nie rozwinął większego talentu pisarskiego, jak

w tym bezecnym utworze. W całéj pierwszéj części chwyta nas zręcznie w swe sidła. Niepodobna być bardziéj malowniczym i poetyczniejszym, niż w otwierających powieść opisach krajobrazu, gdzie się ów dramat bratobójstwa ma rozegrać. Pikardya, u granic belgijskich, nie używa sławy pięknego kraju. Autor, który zakątek ten zna dobrze i raz po raz doń powraca, tak głęboko jednak wniknął w piękność téj okolicy, w jéj melancholiczną jednostajność i tak plastycznie opisał tę ziemię żyznych pastwisk i strumyków wieloramiennych, że się czar jéj pojmuje bez trudu. A liczne krajobrazy, w których sobie pióro jego podoba, nie są bynajmniéj zbytecznėm *hors d'oeuvre*, jak to ma miejsce zazwyczaj w powieściach Zoli, lecz służą tutaj do wyjaśnienia węzła istniejącego między tą ziemią a jéj mieszkańcami, gorącego, namiętnego przywiązania, jakie ona w nich budzi, i z góry już tłómaczą zbrodnie, jakie ten i ów popełnić jest gotów, aby ją sobie przywłaszczyć, aby ją posiąść. Teatrem dramatu jest Moulin-Joli, młyn należący do podupadłych dóbr szlacheckich i gdzie gospodaruje Dezydery Randoin, potomek zubożałego rodu, więcéj wieśniak aniżeli szlachcic, natura zacna i serdeczna w gruncie, ale szorstka na zewnątrz i pozbawiona wszelkiego poloru. Twarda praca nad ziemią, bezustanne starania o utrzymanie rodzinnéj gleby i zaokrąglenie takowéj, stępiły wszelkie inne jego władze umysłowe lub uczuciowe. Jedno tylko głęboko zakorzenione w sercu jego żyje przywiązanie do młodszego brata, Amabla, który oddawna schedę swą stracił, strwonił i żyje zdala w Paryżu, próbując swych sił w poezyi, w teatrze, w malarstwie, w dziennikarstwie, w polityce. Niezdolny do twórczości, a pełen zarozumienia, przyciśnięty ostatnią nędzą, powraca ów Amable Randoin do rodzinnego gniazda, gdzie go jak marnotrawnego syna wita brat starszy z wylaniem, ale będąc pozbawiony towarzyskiego taktu, drażni na każdym kroku wydelikatnioną naturę młodszego, a przez roztoczenie swoich dostatków wzbudza w nim zazdrość. Bardzo ściśle analizując charakter Amabla, autor pokazuje jasno, przez jakie stopnie zazdrość ta przechodziła i jak szybko dochodzi do przeświadczenia, że skoro Dezydery całą fortunę zachował, zatém zagrabił mu całą. Myśl, że on, od lat wielu ratowany braterskiem poświęceniem utracyusz, jest istotnie ofiarą egoizmu i przewrotności swego starszego, kiełkuje i dojrzewa w jego mętnéj duszy. Chęć zgładzenia tego brata i powrócenia do „swojéj“ własności, staje się jedynym celem jego działania od chwili, gdy mu została podsunięta przez włóczęgę-żebraka, Borgnot, postać straszliwą a naszkicowaną po mistrzowsku. Ale autor nie tracąc z uwagi, że Amable jest w gruncie charakterem słabym, nie od razu pcha go do zbrodni: jesteśmy świadkami jego walk wewnętrznych, wa-

hania, reakcyi, tryumfów, jakie on sam nad sobą odnosi. Pod wpływem lepszego natchnienia żeni swego brata z młodą panienką i zdaje mu się, wmawia w siebie samego, że gdy wzrośnie nowe pokolenie, to będzie synowców swych kochał jak własne dzieci i przestanie ziemi ich pożądać. Ale związek małżeński pomiędzy starym Dezyderym a młodą Anaïs zostaje bezpłodnym i wkrótce powstaje w sercu Amabla zmysłowa miłość do swéj bratowéj. Ulega jéj w przeświadczeniu, że dając potomka swemu bratu, staje się jego dobroczyńcą. Niepodobne są do opisania sceny tego pożycia we troje i niepodobna do streszczenia kazuistyka, jaką się Amable posługuje, aby nietylko swą ohydę usprawiedliwić, ale widzieć w niéj dowód swéj moralnéj wielkości. Miłość, jaką pała do Anaïs, każe mu jeszcze bardziéj nienawidzieć brata i jeszcze bardziéj śmierci jego pożądać. Tymczasem wątła dziecina umiera i śmierć jéj wywołuje w sercu słabéj matki wyrzuty sumienia, powrót do religijności i do wiary małżeńskiéj. Amable tracąc kochankę, jest przyprowadzony do wściekłości i rozmyśla już nad sposobem zgładzenia brata, który „zabrawszy mu majątek, zabrał mu żonę“. Wojna niemiecka, z któréj ciężko pokiereszowany, oszpecony, powraca Amable, wlewa nowy jad goryczy do jego serca. Ta ziemia ubóstwiana została zbezczeszczoną przez najezdnika, a w obronie jéj, cichy Dezydery nie tylko krwi nie wylał, ale parlamentował z wrogami. Do nienawiści łączy się pogarda i korzystając z szatańską przebiegłością ze wszystkich okoliczności, które zbrodnię na kogo innego zwalają, zabija brata strzałem z karabinu. Borgnot, ów włóczęga, straconym zostaje, a Amable Randoin dochodzi nareszcie do posiadania tego majątku, téj ziemi, któréj tak wyłącznie i tak fanatycznie pożądał. To ubóstwienie ziemi stanowi epilog powieści. Kazirodca i bratobójca, żyje bez żadnych wyrzutów sumienia, w odosobnieniu, jak żubr w kniei, oddając się myśliwstwu, chełpiąc się nieledwie ze swéj zbrodni, przebiegając od rana do nocy swe pola, łąki i lasy. Zostawia glebę odłogiem, nie chcąc aby się wycieńczała rodzajnością. Jestto monomahia straszliwa w swych objawach i autor nie wahał się doprowadzić jéj logicznie aż do ostatnich podrygów konwulsyjnych.

Wiernie oddana treść powieści nie jest jednak w stanie ani dodatnich, ani ujemnych jéj stron wyświetlić. Jesteśmy w obawie, że czytelnik gotów nas będzie oskarżyć, iż niepotrzebnie wyciągamy z rynsztoka utwór lepszego losu nie godny. A jednakże tak nie jest. Są tu zalety niezmierne, olbrzymie. Mówiliśmy już o malowniczości krajobrazów. A jak odmalowane są charaktery! Z jak skrupulatną uwagą, z jaką czujnością autor idzie za każdém drżeniem serca swych bohaterów, jak nam rozwija logicznie, zrozumiale ich popędy, instynkta, jak

cały mechanizm, wszystkie jego kółka i sprężyny funkcyonują prawidłowo! Opowiedziany pobieżnie, charakter Amabla jest potworny, fantastyczny, niemożliwy. Gdy się z nim obcuje i idzie krok w krok za całkowitém wykolejeniem zmysłu moralnego, rozumié się to przeistoczenie ról, to wyidealizowanie przez zabójcę swego czynu i jego apoteozę. Równie plastycznie nakreślone są charaktery Dezyderego, Anaïsy, a nawet na drugim planie stojące postaci Borgnot'a i staréj służącéj, Marceliny, posiadają wydatność nadzwyczajną i takie indywidualne życie, że ich niepodobna brać za czysto fikcyjne wytwory.

Do tych zalet niezaprzeczonych wypada jeszcze dodać zalety stylu i języka. Pod tym względem mistrzostwo Richepin'a jest prawdziwie godném podziwu. Język jego wykarmiony na starych wzorach, na Amyocie, Rabelais i Montaigne'u jest jędrny i malowniczy. Archaizmów w nim tyle, że się nieraz sztuczną mozajką być zdaje, gdyby natychmiast jego pełnia, obfitość wyrazów, elastyczność zwrotów nie przypominały nieśmiertelnego proboszcza z Meudon, i nie pokazywały w p. Richepin jego ucznia bezpośredniego. Prowincyonalizmów nie szczędzi także pisarz i nie myślimy téj metody pochwalać, ale trzeba przyznać, że gdy się wczyta w ten język, to owa oklepanka powtarzana przez niedouczków o ubóstwie francuskiego języka, o jego martwocie i bezwzględnéj niemożliwości odradzania się, wydaje się jeszcze bardziéj, niż zazwyczaj pozbawioną podstawy i prawdy.

Ale ani pierwszorzędne zalety języka, ani psychologiczna wartość charakterów nie zdołają zmyć z tego utworu jego pierworodnego grzechu. Nietylko że autor nie troszczy się o przestrzeganie moralności, ale zdaje się jéj istnienia nie podejrzéwać. Zaczynamy wierzyć, że nie należy do naszéj rasy. Jest w nim istotnie duch pogański, ale nie pogaństwo to artystyczne w czci bałwochwalczéj dla piękna, ale zwierzęce, bestyalne. Bezwstyd jego zdaje się siebie samego nieświadomy, i rozpościéra się jawnie, bez żadnych zastrzeżeń, bez żadnych osłon. Patologiczne szczegóły najwstrętniejsze i całkiem w powieści nie na miejscu, kazałyby nieraz rzucić książkę jako utwór potworny, gdyby się nie czuło, że autor sam nie zdaje sobie z téj potworności sprawy i że afrodyzyanizm jego nie jest bynajmniéj tendencyjny, na skandal obrachowany. Jeden z najdelikatniejszych krytyków, Anatol France, nie potępia go za tę metodę, i w tych wybrykach wyobraźni dzikiéj widzi jasną, świetlaną dobroć i panteistyczne uwielbienie natury we wszystkich jéj objawach. Gdy go porównywa do pijanego Herkulesa, przypomina nam to porównanie uczynione przez innego, równie bystrego krytyka, Juliusza Lemaitre. On w Janie Richepin widzi cyrkowego jeźdźca, arlekina pstrokatego i żadnemu jego dziwactwu się nie

dziwi. Umyślny czy instyktowny, mniejsza o to, ale niezaprzeczenie istnieje u tego pisarza całkiem inny pogląd na życie, na prawa i obowiązki człowieka, całkiem inne *criterium* tego, co my uważamy za cnotę, albo za występek. Nie można mu nawet wyrzucać, że jest taki cyniczny i wyuzdany: czuje się, że innym być nie może, że mu brakuje naszéj soczewki w obserwacyjnym teleskopie.

Szkoda zaprawdę, że pisarz tak hojnie przez naturę obdarzony, tak pełen żywiołowéj siły, w tak poważnéj i wpływowéj wychowany i umodelowany szkole, został poganinem, bałwochwalcą i czystym empirykiem, że się w latarni jego żadna idealniejsza nie roztliła iskierka, a szkoda tém większa, że za jego podmuchem, bezwątpienia nie jeden młody pisarz pójdzie. Naśladowcy, jak wiadomo, wad się i usterek modelu przedewszystkiém czepiają: będzie tedy z siemienia tego więcéj chwastów, niż kwiecia. Na realistyczny kierunek literatury ciśnięte będzie nowe przekleństwo, a zaiste nie realizmu to wina, że jednostronnie spaczony i wykoszlawiany bywa przez różnorodnych, nawet turańskich przybyszów.

Ten.





ŻYCIE PARYŻA
PRZED STU LATY.

Hippolyte Gautier. *L'An 1789.* Delagrave 1889. — Albert Babeau. *Paris en 1789.* Firmin-Didot 1889.

Bez pretensyi do ścisłości zupełnéj, a z wielu względów wcale zasadnie możnaby określić historyą nowożytną, jako historyą miast stołecznych. Jeśli zaś gdziekolwiek definicya taka byłaby na szwank narażona, to najłatwiéj zapewne dałaby się obronić w zastosowaniu do Francyi nowożytnéj. Profesor Freeman czyni gdzieś zajmujące zestawienie historyczne stolic europejskich. „Berlin, Madryt, Kopenhaga, Petersburg (można tu również dobrze zaliczyć Warszawę) są to wszystko miejscowości dowolne, w czasach późniejszych, dla kaprysu lub wygody, obrane na ośrodki administracyjne państw już istniejących... Wiedeń, jako miasto, nic nie miał do czynienia z powstaniem t. zw. cesarstwa... podobnież Londyn bynajmniéj nie stworzył Anglii, ani nawet decydowal o jéj losach“. Dwa tylko miasta zajmują w historyi stanowisko zupełnie wyjątkowe: Rzym i Paryż. Obiedwie te stolice stworzyły dopiéro państwa je otaczające. Jak niegdy Rzym ukuł jednolitą rzeczpospolitą z mozajki plemion łacińskich, zaludniających półwysep, tak znów Paryż był owym potężnym odczynem, co z mieszaniny bezkształtnéj elementów galskich, germańskich i rzymskich wydobył nowy francuski. Kiedy zaś w najbliższéj przeszłości dziwna wola losu zrządziła upadek obydwóch miast w jednym czasie, uwaga świata gorączkowo zwróconą była nie na miasto wieczne i święte, lecz na oblężony grzeszny, a zawsze sympatyczny, Babilon nadsekwański [1]).

Niedawne święto historyczne ponownie skierowało oczy oświeconego ogółu na stolicę francuską. Jakkolwiek było dla gospodarzy

[1]) E. A. Freeman. Select hist. Ess. 1873, p. 105 sq.

i gości zarówno, upozorowaniem raczéj, niż istotną treścią uroczystości, stało się ono wszakże niemniéj pobudką do żywszego zainteresowania się jedną z najciekawszych epok dziejowych. Żelazna wieża i pałac przemysłu nie potrafiły zasłonić w zupełności skromnego muzeum historycznego w salach tuileryjskich. Zaś ze szczególną starannością i zajęciem jęto odtwarzać samą widownią główną wielkich a osobliwych wydarzeń, jakie każda niemal świéża data kalendarzowa przywodziła i przywodzi na pamięć. Cenne monografie zeszłowiecznych stosunków społecznych i obyczajowych wielkiego miasta tłumnie cisną się przed oczy [1]). Skorzystamy tu z najbardziéj wyczerpujących i posiłkowani arcydziełem sztuki rytowniczéj, pod podwójném przewodnictwem pełnego smaku artysty i wytrawnego badacza, spróbujemy przenieść się na krótką chwilę do Paryża z przed stu laty. Wycieczce takiéj nie powinno braknąć urozmaicenia; a może też czytelnik, który zechce dotrzymać nam towarzystwa, potrafi oprócz rozrywki znaleść po drodze temat do uwag ogólniejszéj natury.

I.

Przedewszystkiém rzućmy okiem na miasto samo. Wiadomo, jak wiele ma do zawdzięczenia Ludwikowi XIV. Uważał on za niewłaściwe, aby jego stolica zachowała charakter miasta obronnego, uważał za ujmę dla swéj godności pierwszego w świecie monarchy otaczające Paryż mury i nakazał je znieść. *„La ville sans pair devient la ville sans peur“*, mówili Paryżanie. Przez ten krok Ludwik XIV przyczynił się biernie bardziéj do uświetnienia Paryża, niż przez wszystkie wspaniałe gmachy, jakie z rozkazu jego wzniesiono. Odtąd nieskrępowany ruch budowlany wzmaga się z każdym rokiem: według Mercier'a od 1758—1788 r., wystawiono w Paryżu 10,000 nowych domów. W tak naturalném i powszechném zjawisku niemniéj jednak uwydatniają się wyraźnie odrębności stanowe. Arystokracya opuszcza swe hotele w dzielnicy Marais, wyparta stąd przez zamożne mieszczaństwo, i zabudowuje przedmieście Saint-Germain, które podziśdzień zachowało swój charakter wielkopański. Finansiści osiedlają się w dzielnicy Saint-Honoré. Poborcy generalni i wyżsi urzędnicy państwowi wznoszą piękne gmachy na placu Vendôme, z pieniędzy czerpanych w głębinach kas skarbowych. Masy robotnicze skupiły się na przed-

---

[1]) Podnieść tu należy wspaniałą „Collection de documents relatifs à l'histoire de Paris pendant la Revolution“, wydawaną pod patronatem Rady municypalnéj paryskiéj.

mieściu Ś-go Antoniego, kiedy przedmieście Saint-Marcel stanowiło przytułek dla najnędzniejszych już szumowin wielkomiejskich. Za Ludwika XVI agitowano nawet za zniesieniem wałów pozamiejskich, służących do kontrolowania poborów celnych i rogatkowych, lecz napotkano na opór poborców generalnych i rządu [1]).

Z tém wszystkiém w najżywotniejszych swych dzielnicach środkowych zachowało miasto ponury wygląd średniowieczny, który miał przetrwać aż do czasów najnowszych. Jak wiadomo, decydujące zmiany pod tym względem zaszły dopiéro za drugiego cesarstwa, kiedy pod kierunkiem Haussmanna, a troskliwą, choć nie bezinteresowną opieką rządu, ponownie rozwinęła się gorączka budowlana, tym razem zupełnie chorobliwa. „Dorastające pokolenie nie domyśli się może, że Paryż dzisiejszy został z gruntu przebudowany w téj jedynie myśli, aby uniemożliwić raz na zawsze dawne barykady z kamieni brukowych na ciasnych ulicach miasta“ [2]). Mniéj przewidująco, a więc i mniéj systematycznie budowano przed stu laty. Naokoło starożytnéj Sorbony i wieżyc gotyckich Notre-Dame, dziwnie odbijających od modnych zabudowań, otaczających Palais-Royal, tłoczyły się wąskie uliczki średniowieczne o dziwacznych zakrętach i nazwach. Warto zaznaczyć, że nazwy te przechowały się przez wiele wieków jedynie drogą tradycyi ustnéj; dopiéro od r. 1728 poczęto za przykładem miast włoskich, umieszczać na rogach ulic tablice, ze stosownemi napisami. Mnóstwo tu przewija się postaci i obrazów charakterystycznych. Licznie są rozstawione stoły „pisarzów publicznych“, gdzie za 12 sous od sztuki piszą się podania do króla; niebrak nigdy interesantów z prostego ludu, co tym trybem starożytnym myślą poszukiwać sprawiedliwości. Hałaśliwą i barwną zgrają uwijają się werbownicy pułków królewskich, żywa przynęta dla niedoświadczonych gapiów; ohydne to rzemiosło średniowieczne kwitnie w najlepsze, gdyż przy braku pieniędzy zaciągi przychodzą z trudnością. Moc nieprzebrana żebraków, szczególnie na Pont-Neuf, na stopniach posągu Henryka IV; zamiast kantyczek śpiewają piosenki na cześć „dobrego króla“ i w przerwach proszą o jałmużnę „dla miłości Henryka“. Wogóle postać pierwszego Burbona od niejakiego czasu nader stała się popularną: w r. 1787 tłum gwałtem zatrzymywał powozy na Pont-Neuf, pasażerowie musieli wysiadać i składać głęboki ukłon przed posągiem Henryka.

Na ciasnych i źle brukowanych ulicach ruch kołowy, nader żywy,

---

[1]) Obiegał z tego powodu płaski, lecz charakterystyczny dla usposobienia umysłów kalembur: „*le mur murant Paris rend Paris murmurant*“.

[2]) Maine, Pop. gov. 24, 25.

bardzo był utrudniony i z niebezpieczeństwem dla przechodniów, témbardziéj, że w świecie eleganckim prześcigano się nawzajem w chyżości kabryoletów, na sposób angielski zaprzężonych. W dodatku biegnące szalonym pędem pojazdy poprzedzały zazwyczaj olbrzymie charty duńskie, strącając z nóg przechodniów; Rousseau kiedyś, podczas przechadzki, obalony został na ziemię przez psy wielkiego pana. To też śród pierwszych broszur rewolucyjnych napotykamy „Petycyą piechura“, gdzie autor domaga się zniesienia drogą prawodawczą wszelkich powozów czterokołowych; jedyny wyjątek czyni na rzecz kobiét i osób wiekowych, z tém wszakże zastrzeżeniem, aby woźnica chodził obok pieszo, trzymając cugle w ręku. W istocie uznać należy, że zbyt mało miano względów dla pieszo chodzących śmiertelników. W kwietniu 1789 r., książę Orleański w otoczeniu konnéj świty, służby, obławników, wpadł galopem na przedmieście Montmartre, tratując wszystko po drodze i szczując psami jelenia po przez plac Vendôme i pryncypalne ulice Saint-Honoré i Ludwika XV.

Oryginalne nad wyraz zjawisko przedstawiały wielkie procesye tradycyjne, przeciągające rokrocznie, przy licznym udziale gawiedzi, przez środkową część miasta, którą oglądamy w téj chwili. Kawalerowie Grobu Zbawiciela z wielką wystawnością oprowadzali co rok stu niewypłacalnych dłużników, uwolnionych z więzienia po zaspokojeniu wierzycieli przez zakon. W innym poważniejszym obchodzie, odbywającym się co lat trzydzieści, ukazywali się ludowi więźniowie, wykupieni u piratów algierskich i tunetańskich, drogą składek publicznych, zbieranych przez oo. Trynitarzy i zakonników Łaski Pańskiéj. Ostatnia taka procesya odbyła się w r. 1785, uczestniczyło w niéj 313 więźniów, których okup wynosił 700,000 liwrów. „Mimo postępów ducha filozoficznego w klasach wyższych, masy ludowe pozostały chrześciańskie“, powiada w inném miejscu uczony nasz przewodnik [1]). Jeszcze w kilka lat późniéj w samym dniu pamiętnym 31 maja 1793 r., dniu urzędowego zainaugurowania teroryzmu, podróżnik niemiecki, Schmidt, w dzielnicy targowéj widzi tłumy, klękające pobożnie przed procesyą, prowadzoną przez duchowieństwo konstytucyjne [2]). Tegoż lata Amerykanin Morris w Seine-Port pod Paryżem, ogląda liczne procesye dla wymodlenia deszczu i odwrócenia posuchy. Pilnie uczęszczano do kościołów, stawiano się do spowiedzi, przestrzegano postów piątkowych; gdy w r. 1787 nie przerwano w niedzielę robót miejskich, arcybiskup Paryża zaniósł do ministeryum skargę na zarząd municy-

[1]) Babeau. La ville sous l'anc. régime. 1880. Liv. VIII. Ch. III. 471.
[2]) Schmidt. Tabl. de la révol. franç. T. I. 350.

palny. Jeśli niekiedy bez należytego skupienia przysłuchiwano się kazaniom, darząc księży aplauzem, jak aktorów, była w tém wina nietyle audytoryum, ile kazalnicy; modni mówcy, jak np. ksiądz Maury, późniejszy kardynał, zarzucili mowę ognistą Bossueta i językiem filozoficznym deistów angielskich rozprawiali oględnie o „prawodawcy chrześciaństwa“. Kilkadziesiąt kościołów parafialnych, ze starożytną katedrą Notre-Dame na czele, do stu pięknych kaplic stało otworem dla pobożnych. Oprócz tego liczono w obrębie miasta trzynaście opactw i około dwustu klasztorów, których dochody jeszcze w r. 1790 sięgały 3 mil. liwrów, a których skład— męski zwłaszcza—rekrutował się przeważnie z warstw średnich i niższych [1]). Wszakże duch wieku silnie przenikał za mury klasztoru. Dnia 17 lipca 1789 r. podczas wjazdu do Paryża, zauważył król na ulicach, śród oczekujących go wzburzonych tłumów, wielu kapucynów z muszkietem na ramieniu. W roku następnym przeszło połowa zakonników opuściła cele, korzystając z prawa, dozwalającego zrzeczenia się ślubów. Był to jednak wynik dawniejszéj i głębszéj tendencyi, nieprzychylnéj życiu klasztornemu. Przez cały przeciąg wieku XVIII nie założono w Paryżu ani jednego klasztoru; w dawnych, liczba mieszkańców spadła o dwie trzecie prawie, olbrzymie refektarze stały pustkami. Zbyteczne były gwałtowne dekrety, wnioskuje stąd Babeau, gdyż bez nich, naturalnym biegiem życia nowoczesnego, uskuteczniłaby się przemiana klasztorów na instytucye dobroczynności publicznéj. Dla wyjaśnienia zjawisk, tak sprzecznych napozór, należy pamiętać o znaczeniu, pierwszorzędném tradycyi w sprawach religijnych; jakkolwiek rzadsze się stają energiczne przejawy czynnéj wiary, formy zasadnicze pozostają drogie i nietykalne. Zdaniem wybitnego historyka i psychologa, trudniéj dla ludu obejść się bez dzwonów, niż bez księży [2]).

Mocniéj i godniéj trzyma się duchowieństwo na innych, bardziéj zaszczytnych stanowiskach. W obszernym szpitalu Hôtel Dieu, gdzie rocznie do trzydziestu tysięcy chorych znajduje opiekę, w rozległych zabudowaniach Salpêtrière, gdzie mieści się siedm tysięcy nieszczęśli-

---

[1]) Klasztory żeńskie miały ustaloną w Europie sławę wzorowych zakładów wychowawczych. Wszakże w obszernym, zbyt obszernym życiorysie Heleny Massalskiéj, pomimo usiłowań autorki, pragnącéj w najlepszém świetle przedstawić niesympatyczną swą bohaterkę, znajdujemy mało budujące szczegóły o życiu wewnętrznêm najmodniejszego podówczas klasztoru l'Abbaye aux Bois, gdzie biskup umieścił swą synowicę. L. Perey (panna Herpin z Genewy) Hist. d'une grande dame I, 62, 83, 124.

[2]) Taine. La reconstr. de la France. I. (w Rev. des deux mond. 1889. T. XCII. 267).

wych, chorych, dzieci, starców i obłąkanych, w licznych innych zakładach dobroczynnych, istniejących przy klasztorach, widzimy pod przewodnictwem i przy udziale duchownych, wykonywaną przez braciszków i siostry zakonne najprzykrzejszą a niezbędną służbę społeczną. W przytułku Saint-Gervais, pochodzącym jeszcze z XII w., a utrzymywanym i obsługiwanym przez zakonnice, co noc paręset biedaków bez dachu otrzymywało pożywienie i nocleg. Podczas mroźnéj niezwykle zimy 1788/9 roku arcybiskup paryski Leclerc de Juigné, z osobistych środków śpiesząc z pomocą nędzy, zadłużył się na pół miliona franków, po wyczerpaniu wszelkich zasobów pieniężnych, jakie miał do rozporządzenia. W liście pasterskim, jaki w owym czasie wystosował do paryżan, energicznie nawołując do datków dobroczynnych, pięknie uwydatnia prawdziwe przejęcie się wzniosłem swém posłannictwem. Nieprzeparta dążność dośrodkowa w społeczeństwie nowożytném, występująca nawet w centralizacyi nędzy i dobroczynności w wielkich miastach, obecnie i na tém polu kierownictwo powierzyła państwu; ze szczególną więc bezstronnością wypada oceniać zasługi kościoła w tym względzie i wielką pomoc, jakiéj dziś jeszcze z téj strony oczekiwać należy.

Uwagi analogiczne nastręczą się nam na wstępie do jednéj ze szkółek elementarnych, jakich kilkaset znajdowało się w Paryżu w ostatniéj ćwierci zeszłego wieku. Były one (szczególniéj przeznaczone dla dziewcząt) przeważnie w zależności od arcybiskupa i kapituły. Średnie zakłady naukowe pod względem liczby i zamożności nietylko nie ustępowały, lecz nawet przewyższały dzisiejsze. Pomimo zamknięcia w 1762 r. stukilkudziesięciu kolegiów jezuickich, w roku 1789 w dziesięciu kolegiach paryskich pobierało nauki 5000 wychowańców, a więc w stosunku procentowym do ogółu ludności dwa razy więcéj, niż wykazuje statystyka r. 1886; w dodatku połowa uczęszczających słuchała wykładów bezpłatnie, znaczna część korzystała ze stypendyów i konwiktu, liczne były wszelkiego gatunku zapomogi i odznaczenia [1]). W zażaleniach mieszczan paryskich z r. 1789 między innemi domagano się, aż „zmniejszenia nadmiernéj ilości szkół bezpłatnych i burs w kolegiach, za których przyczyną wyludniają się warsztaty, więcéj przynoszące pożytku społeczeństwu, niż tłumy pismaków i gryzmołów, nic nie posiadających oprócz pióra swego lub pędzla“. Inaczéj, mówiąc językiem dzisiejszym, uskarżano się na „proletaryat inteligencyi“.

---

[1]) Tak w r. 1781 otrzymał *sieur de* Robespierre w kolegium Ludwika 600 liwrów nagrody, „za wzorowe prowadzenie się i postępy w naukach“.

Ustalony ostatecznie za poprzedniego panowania charakter Paryża, jako najpierwszego ogniska cywilizacyjnego, przyśpieszył rozkwit miasta pod względem przemysłowym i handlowym. Rozwój ten przemysłu odbywał się wprawdzie w kierunku niezupełnie zdrowym, przeważnie w dziedzinie wytwarzania przedmiotów zbytku. W wielkich fabrykach szkła, porcelany, kobierców, papieru i obić papierowych, popieranych przez królową, książąt krwi i wielkich panów a niekiedy przez nich zakładanych, nowy system wytwórczości kapitalistycznéj, wymagający znacznych nakładów i skupiający masy robotnicze, wyradza nieznane dotąd niedogodności i tendencye. Pierwsze poważniejsze rozruchy w kwietniu 1789 r., zaszły w patronowanéj przez króla papierni Réveillona, zatrudniającéj przeszło 400 robotników. Natomiast w sferach rzemieślniczych przechował się duch rutyny, tradycyi i pokoju. Przeszło pięćdziesiąt korporacyi cechowych, każda ze swoją izbą syndykalną, godzącą niesnaski wewnętrzne i doglądającą interesów cechu, ostało się po dawnemu, mimo wszelkich starań Turgot'a. Że się im dobrze działo, najlepszym tego dowodem wysokie opłaty, ściągane od majstrów, a bez wielkiego szemrania punktualnie wnoszone: najwyższe, wymagane od perukarzy i cyrulików, dochodziły 3600 franków. Ważne zmiany dokonywają się w stosunkach handlowych; zapożyczony z Anglii system przedsiębiorstw spółkowych wydaje się być objawieniem dla licznéj rzeszy łatwowiernych i chciwych. Śród powodzi powstałych w krótkim czasie przedsiębiorstw akcyjnych i spółkowych, wyróżnić należy stowarzyszenia ubezpieczeń od pożaru, do których niebawem weszła większość kamienic paryskich. Wszakże wkrótce nad przedsiębiorczością biorą górę dążenia spekulacyjne. Rej tu wiodą Szwajcarzy, którzy zamiast jak dawniéj, ofiarą krwi na polu bitwy, woleli raczéj akcyami na giełdzie dorabiać się pieniędzy francuskich. Panowie Necker, Thélusson, Hottinger i wielu innych trzęsą światem finansowym; za powrotem Neckera do władzy, w sierpniu 1788 r., akcye banku dyskontowego, założonego w r. 1776, podnoszą się natychmiast w kursie z 3300 do 4200 fr. Osoby najwyższego towarzystwa, nawet damy dworu królewskiego nie wahają się rzucać w odmęt przedsięwzięć spekulacyjnych [1]), wznawiając niejako minione czasy regencyi. Obok tych anomalii, podnieść wypada działalność wzorową i miarkującą jurysdykcyi konsularnéj, instytucyi starodawnéj a jednak żywotnéj, cieszącéj się rosnącym wciąż autorytetem. Ten trybunał handlowy, składający się z sędziów, obieranych przez handlujących ze swego grona na początku każdego roku, zasiadał trzy

[1]) Mallet Du Pan. Mém. et coresp. 1851. T. I. 134 (w r. 1787).

razy w tygodniu, odsądzając do siedmdziesięciu spraw w ciągu jednego posiedzenia. Bajeczna tu była szybkość i taniość procedury w porównaniu z postępowaniem cywilnem zwyczajném, a winniśmy zaznaczyć, że stosunek taki do chwili dzisiejszéj w zasadzie pozostał bez zmiany.

Zanim opuścimy starą dzielnicę, pozostaje nam do obejrzenia jeden jeszcze z najważniejszych organów życiowych miasta, poniekąd nawet Francyi całéj. Stajemy przed potężnym gmachem pałacu sprawiedliwości, „Kapitolem Francyi“, jak nazywa go de Thou, niegdy siedzibą królów, teraz wielkich magistratur sądowych i administracyjnych. Z resztkami baszt zmurszałych od strony rzeki a zabudowań gotyckich na skrzydłach, z fasadą, na miejscu dawnéj, zniszczonéj przez pożar, w stylu pseudoklasycznym wystawioną, był ogromny ten gmach niejako symbolem procedury dziwacznéj, z tradycyi rzymskich, miejscowych zwyczajów i ordonansów królewskich ulepionéj, a zarazem saméj instytucyi o charakterze mieszanym sądowym, administracyjnym i politycznym, jaką w sobie mieścił. Parlament, jako czynnik polityczny, nigdy nie cieszył się wielką popularnością, i słusznie; jeśli niekiedy chwilowo stawała po jego stronie opinia publiczna, jak to miało miejsce po raz ostatni w maju 1788 r., przy aresztowaniu w łonie zgromadzenia radców d'Esprémenil'a i Goislard'a, działo się to więcéj ze ślepéj niechęci dla rządu, niż z przychylności dla instytucyi przeżytéj i egoistycznéj. W pięciu wydziałach, na jakie rozpadał się parlament, zasiądało stukilkudziesięciu sędziów, do 400 prokuratorów; są to stanowiska intratne, przechodzące z ojca na syna, lub téż nabywane od właścicieli za drogie pieniądze: urząd sędziego trzymał się w cenie około 30,000 fr., za miejsce wiceprezesa płacono ½ miliona. Łatwo stąd wyrozumieć, jak uciążliwe były dla stron koszta procesu. Przy parlamencie było zapisanych przeszło 600 adwokatów, obok niezliczonéj rzeszy obrońców wolnopraktykujących; nigdy nie widziano podobnego przeludnienia palestry, kiedy zarazem nieliczne tylko postaci Target'a, Treilhard'a, Tronchet'a przerastały poziom pospolitości charakteru i talentu. Wygłodzona ta zgraja, zbrojna w dyalektykę zawodową, miała wkrótce ciężko zaważyć na szali gotujących się wypadków. Notaryusze, w liczbie stu przeszło, przypisani byli przy trybunale pierwszéj instancyi, mieszczącym się w ponuréj fortecy Châtelet, pochodzącéj podobno jeszcze z czasów rzymskich.

Wypada w tém miejscu rzucić téż okiem za mury więzienne; zajrzyjmy tedy do osławionéj Bastylii. Przerażała ona wciąż jeszcze groźnym wyglądem zewnętrznym, jakkolwiek stała się względnie wcale znośném miejscem zamieszkania. Gnębiony przez długie lata Latude,

wyraża zadowolenie zupełne z pożywienia. Uwięzieni w Bastylii „*hommes de lettres*“ mieli sobie wyznaczone od rządu 10 liwr. dziennie na stół i utrzymanie; niejeden bardziéj wstrzemięźliwy unosił stąd uciułany w ciągu kilku lat kapitalik. Lochy podziemne, w istocie straszliwe, opróżnione staraniem szlachetnego Malesherbes'a, stały pustkami od początku panowania Ludwika XVI-go. Po wzięciu Bastylii 14 lipca znaleziono tam wszystkiego siedmiu więźniów: dwóch obłąkanych, czterech fałszerzy monety i hr. de Solages, trzymanego w zamknięciu na skutek życzenia rodziny, z powodu hulaszczego życia. W innych więzieniach również działo się niezgorzéj; charakterystyczny przykład pod tym względem stanowi lord Massarcene, anglik nader zamożny, który, nie chcąc płacić długu, zdaniem jego niesłusznie zasądzonego przez trybunał francuski, z iście angielskim uporem odsiaduje przez lat 19 w wieży La Force, skąd dopiéro w r. 1789 zostaje uwolniony; zajmował on w więzieniu wygodny apartament, dokąd spraszał przyjaciół na biesiady, utrzymywał przez cały czas tancerkę opery paryskiéj, z którą wreszcie wziął ślub na miejscu, w kaplicy więziennéj.

Natomiast postępowano sobie z dawną nieludzkością przy wykonywaniu kar cielesnych, pomimo wymownych protestów Beccarii i Woltera. W środku miasta na placu Grève wieszano i łamano kołem przestępców; tłumy otaczały zawsze miejsce tracenia, okna z widokiem na szafot odnajmywano po trzy franki od „przedstawienia,“ katowi po zręcznie dokonanéj egzekucyi hucznie przyklaskiwali widzowie. Hodowano tu niejako w tłumach zarodki instynktów krwiożerczych; z góry już daje się przewidzieć obojętność dla straszliwych rzezi, jakie niebawem na tém samém miejscu odbywać się miały. Kościół, który w téj materyi najwięcéj dobrego mógł zdziałać, który niegdy w osobie św. Augustyna powstawał na karę śmierci, oddawna zrzekł się był dobroczynnéj swéj misyi w tym względzie; niekiedy nawet, owszem, ostrząc zapamiętale miecz sprawiedliwości. Nieliczne tylko pozostałości średniowieczne świadczyły o minionych czasach, kiedy prawo rozbrajane bywało przez miłosierdzie chrześciańskie. Niektóre klasztory i opactwa miały przywiléj azylu; niewielka dzielnica, licząca około 4,000 mieszkańców, przytykająca do wieży Temple, jako znajdująca się pod protektoratem wielkiego przeora Francyi, również dawała schronienie ściganym przez prawo, szczególnie dłużnikom niewypłacalnym. Stąd mieszkania były tu zawsze nader poszukiwane i w wysokiéj cenie, do czego zresztą przyczyniał się inny jeszcze przywiléj téj dzielnicy, w któréj obrębie wolno było zajmować się swobodnie rzemiosłem osobom nie należącym do cechów.

Na tém zamykamy pierwszą, zmudniejszą połowę naszéj wędrówki, w przekonaniu, że wiele rzeczy ciekawych całkiem pominęliśmy, na inne ledwie zdążyliśmy rzucić okiem. Zaznaczmy więc tylko w ogólności, że w najważniejszéj, historycznéj części Paryża toczyło się życie mieszczańskie spokojném, tradycyjném korytem. Z drugiéj strony, ze stanowiska doby dzisiejszéj okazuje się, że dla wielu stosunków życiowych cały wiek miniony przeszedł jakby bez wpływu. Chléb, oraz odzież warstw niższych kosztuje dziś w Paryżu tyle właśnie, co przed stu laty, przeciętnie ta sama prawie spożywa się ilość mięsa i wypija wina, w szpitalach nader nieznaczne nastąpiło zmniejszenie śmiertelności. Konkludujmy tedy z panem Babeau, a wbrew większości dziejopisów francuskich — i niefrancuskich, że postęp społeczny odbywa się nie w jednym ciągu, lecz bezustannemi zawrotami i spoczynkami, że w zbiorowiskach społecznych „nie choroba jest regułą, lecz zdrowie“ [1]). Będzie to morał bardzo ogólny, wyprowadzony ze zjawiska zupełnie konkretnego.

II.

Przerzućmy się teraz z Paryża starożytnego, mieszczańskiego, do właściwego Paryża schyłku XVIII w. Będziemy tu w licznem towarzystwie turystów cudzoziemskich, którzy gęstą a łakomą czeredą obsiedli tę niewyczerpaną krynicę najwykwintniejszych uciech umysłowych i zmysłowych. W różnobarwném tém towarzystwie oglądamy ks. Henryka pruskiego, króla Gustawa III, w. księcia Pawła (późniejszego cesarza) z małżonką, historyka Karamzina, Mozart'a, Humboldt'a, Franklina, Morris'a, Artura Joung'a, Alfierego i wielu innych. Niejedną też postrzegamy znajomą twarz polską, niestrudzonego wojażera Jana Potockiego, Ogińskiego Michała, J. U. Niemcewicza, Jana Śniadeckiego, Kajetana Węgierskiego, nie licząc mnogich eleganckich postaci światowców i dam warszawskich. Wszyscy zgodnie uderzają w hymn pochwalny dla gościnnego miasta, we wszystkich językach daje się słyszéć parafraza przysłowia średniowiecznego: „*Parisius-paradisus*“ [2]). Podążajmy za nimi, nie spuszczając ich z oka, a tym sposobem najlepiéj poznamy wszelkie zakątki paryskiego „raju.“

---

[1]) „La ville,“ Introd. VII. Paris, 515, 516.

[2]) „*Cette ville étonnante*, pisze Ogiński, który siedm razy bawił w Paryżu, *réunit à tous les autres avantages celui de ne pas faire apercevoir aux voyageurs aucun changement, en quelque temps, qu'on s'y trouve et quelsque soient la forme du gouvernement et la mode d'administration, qui y existent*“. Michel Ogiński, „Mémoires“ (ed. 1826), II, 364. Wyjmujemy głos ten z wielu innych, jako będący w związku z powyżej wypowiedzianemi uwagami.

Główny punkt zborny dla cudzoziemców stanowią obszerne ogrody i sale Palais-Royal'u. Kiedy ks. de Chartres, — późniejszy Filip Egalité,—dla zwiększenia niestarczących nigdy dochodów, przebudował swą posiadłość i wyciął piękne kasztany, ulubione przez paryżan, gradem posypały się pamflety i karykatury [1]); wkrótce jednak miał uczynić ze swego pałacu główne narzędzie popularności i wpływu politycznego. „Palais-Royal, to forum Francyi", pisze w r. 1789 Kamil Desmoulins w liście do ojca, gdzie kreśli barwny obraz burzliwych scen, jakie się tu odbywają. Wprawdzie z rozporządzenia książęcego wzbroniony jest wstęp dla „osób w liberyi, w czapce lub bluzie, dla żaków, włóczęgów, psów i robotników." Mimo to, w godzinach popołudniowych, tysiączne tłumy, zalegające ogrody pałacowe, nadają im w istocie charakter forum ludowego. Wieczorem obdarzeni stentorowym głosem mówcy, stając na stołach, odczytują najgwałtowniejsze pisma i broszury, odnoszące się do wypadków dnia. Niekiedy dzieją się tu rzeczy niesłychane: już od początku 1789 r. zabawiano się rzucaniem do basenów przy wodotryskach złych patryotów, innym razem jakąś hrabinę publicznie ochłostano za nieostrożne odezwanie się o Neckerze. Wreszcie tutaj miała wybłysnąć pierwsza iskra płomienia: ze stołu w Palais-Royal miał 13-go lipca przemawiać Desmoulins do tłumów.

Dla uzupełnienia obrazu dodajmy, że pod wspaniałemi arkadami pałacu mieszczą się najświetniejsze w Paryżu wystawy sklepowe, najpierwsze jadłodajnie, teatrzyk, wystawa obrazów, wielka sala koncertowa. Nie brakło téż rozrywek mniéj niewinnéj natury. Skory do porównań klasycznych, Karamzin, nazywa Palais-Royal „wyspą Kalypsy;" w istocie pełno tu zawsze nimf rozwiązłych, szczególnie niebezpiecznych dla niedoświadczonych przybyszów. Pełno téż zawsze młodych cudzoziemców, tracących tutaj dobytek ojcowski na szulerce i rozpuście. Jak się tam działo, dowiadujemy się z drastycznemi szczegółami z ciekawego opisu przygód „Polaka w Paryżu," wydanego w r. 1787 „dla nauki biédnych współziomków." „Część przemyślnych obywatelów téj stolicy — powiada w końcu żałośnie autor — założyła sposób swój do życia na ślepocie i bezrozumie Polaków" [2]).

---

[1]) Na jednej figuruje książę w stroju gałganiarza, zbierającego łachmany; poniżej napis: „*je cherche des loques à terre*" (*locataires*). Szczególnie żałowano słynnego „*arbre de Cracovie*", pod którego rozłożystemi gałęziami zbierali się literaci paryscy. Kiedy je ścięto w r. 1781, wystosowali doń długą odę w „Corresp. secrète pol. et littér.", XII, 71—73.

[2]) „Polak w Paryżu, albo dwa tygodnie bytności hrabiego *** 1787" (u Dufour'a), 476.

Z kolei zajrzyjmy do teatrów, po całéj Europie rozsławionych, a więc przedewszystkiém do Wielkiéj Opery, mieszczącéj się od 1781 roku w nowym gmachu, dzisiejszym teatrze Porte-Saint-Martin. Gdy przy przeniesieniu powstały wątpliwości, co do wytrzymałości nowéj sali, urządzono dla sprawdzenia przedstawienie bezpłatne,—pomimo że sala oczywiście była przepełniona, nie zawaliła się jednak; dopiéro po téj dziwnie praktycznéj i prostéj próbie zdecydowano się rozpocząć nazajutrz przedstawienia dla szlachetniejszéj publiczności. Wielka Opera to chluba Paryża, magnes dla przyjezdnych: anglik Rigby, niemiec Storch, rosyanin Karamzin, prześcigają się dla niéj w wyrażeniach zachwytu. Zachwycała tu publiczność śpiewaczka Saint-Huberty, na cześć któréj, po występie jéj w „Dydonie“ Picciniego, zakochany artylerzysta królewski pisze jedyny swój czuły madrygał; któż przewidywał naówczas w uczuciowym młokosie cezara? [1]). Dawano najczęściéj wspomnioną „Dydonę,“ „Aspazyę“ Grétrego i inne opery, osnute na tematach klasycznych. Nasz Polak, zasmakowawszy oczywiście w lekkiéj muzyczce pasterskiéj dawniejszego zakroju, uskarża się na „owo cudackie i dziwaczne ułożenie muzyki nieforemnéj i hucznéj, bez gustu i czułości.“ Podobnież Węgierski, w listach z Ameryki, wyraża niezadowolenie z muzyki, a natomiast z rozkoszą wspomina pierwszą tancerkę Opery, pannę Guimard [2]). W balecie królowali dwaj Vestrisowie, ojciec i syn, zwani „bogami tańca,“ szczególniéj ten ostatni, którego uczony Karamzin porównywa raz z Cyceronem, drugi raz z Syryuszem. Komedye dawano w *Théâtre Français* (w gmachu dzisiejszego Odeonu); tutaj uwieńczono w r. 1778 Woltera umiérającego, tutaj święciły tryumfy utwory niebezpieczne Beaumarchais'go. Oklaskiwała w osobie Figara arystokracya wesołego dowcipnisia, reszta widzów—wyobraziciela dążności ku równouprawnieniu; nikt w sprytnéj postaci cyrulika nie poznał cynicznego typu przyszłego karyerowicza politycznego, co na wybuchu namiętności społecznych miał robić dobre interesy. Na téjże scenie, w rolach tragicznych święcił pierwsze tryumfy młody Talma; wprowadzał tu za biletami gratysowemi przyjaciela swego Bonaparte'go, którego wówczas nie stać było na

---

[1]) Madrygał ten, nieszczególny zresztą, bardzo się podobał w swoim czasie; wspomina o nim pani d'Oberkirch, jako utworze *„d'un bel esprit, un officier d'artillerie, qui se pique de poësie.“* „Mémoires,“ II, 378. Podany w „Oeuvres littér. de Napoléon“ (wyd. T. Martela, 1888), I, 49.

[2]) Siemieński: „Portrety liter.“ Mentorem Węgierskiego w świecie zakulisowym był zrujnowany hulaka baron de Staël, mąż głośnéj autorki. Jak zapewnia powołany „Polak w Paryżu,“ aktorki Opery odzywały się doń łamaną polszczyzną, jakiéj często miały sposobność się uczyć u „hrabiów“ warszawskich.

zbytki, a wielkiego amatora teatru [1]). Słynny tu z burzliwego usposobienia parter, który, począwszy od r. 1788, tak stał się pochopny do aluzyi politycznych, akcentowanych przezeń z niesłychaną śmiałością, że dyrekcya widziała się zmuszoną do największéj oględności w doborze repertuaru. Doszło do tego, że pod koniec niepodobieństwem było dawać nawet niewinną „Athalię.“ Ostrożność taka nie na wiele się zdała, niebawem wypadło całkiem ją porzucić i w listopadzie 1789 r. „na żądanie publiczności“ wystawiono tragedyę Maryi-Józefa Chénier'a „Karol IX,“ otwarcie rozdmuchującą namiętności polityczne. Zresztą nawet dystyngowana publiczność Wielkiéj Opery, zaszczycanéj zwykle w piątki obecnością pary królewskiéj, nie odznaczała się powściągliwością. Jak opowiada pani d'Oberkirch, rozsądna i uważna obserwatorka, hr. d'Artois, brat królewski, po głośnym pojedyku z ks. de Bourbon, zostaje wieczorem w Operze „przyjęty z nadzwyczajnym chłodem przez publiczność“ i podobnież przez kilka lat zrzędu jest traktowany, wmieszany w tę sprawę ks. Orleański; natomiast ofiarę skandalu, panią de Bourbon, witają ostentacyjne oklaski [2]). Zaczynała się tym sposobem czynnie objawiać opinia publiczna. Jak dalece polityka przeniknęła do widowni teatralnéj, okazało się podczas zaciekłego sporu „Gluckistów“ i „Piccinistów“: stojący na czele pierwszego obozu d'Alembert, Arnaud, Suard okrywali się protektoratem królowéj, kiedy w przeciwnym Marmontel i Laharpe, chętnie potrącając strunę patryotyczną, gromili w partycyach Gluck'a dążenia austryackie.

Nieszczęśliwa ta „polityka,“ oznaka wzmagającéj się fermentacyi umysłów, nie przestanie nas prześladować nawet za uświęconemi progami Akademii francuskiéj. W r. 1789-ym, obok Malesherbes'a i księdza Maury'ego zasiadają na fotelach akademickich wolnomyślny Bailly, przyszły prezes konstytuanty, zjadliwy Chamfort, przyszły kierownik Mirabeau, republikanin Condorcet, przyszły prezes konwentu. W sierpniu tegoż roku ksiądz Barthélemy, nowokreowany akademik w swéj mowie recepcyjnéj „inauguruje w Akademii język parlamentarny,“ czyniąc wyraźne aluzye do burzliwych zajść niedawnych [3]). Oddawna już wyrocznia w sprawach literatury, zyskała sobie Akademia, przez porzucenie tradycyjnéj zaskorupiałości, większy jeszcze niż dotychczas wpływ i powagę. Matkowała licznym akademiom prowincyonalnym (za wyjątkiem lyońskiéj), „cnotliwym córom,

---

[1]) Zabawny ten epizod opowiada Stendhal, „Journal“ (1888). 49.

[2]) „Mém“, I. 26, 75, 88.

[3]) Sainte-Beuve, „Caus. du lundi“, VII, 172.

o których nigdy nic nie mówiono“ [1]); każda z nich obiérała sobie w jéj łonie protektora, na którego ręce, w dowód lennéj zawisłości od zgromadzenia „nieśmiertelnych,“ przesyłała rokrocznie swe prace. Mniejszą popularnością w kraju, lecz natomiast bardziéj zasłużonym rozgłosem europejskim cieszyła się Akademia nauk, gdzie napotykamy świetne nazwiska Lalande'a, Lavoisier'a, Laplace'a. Nigdy też nie mieścił w sobie Paryż świetniejszéj plejady uczonych w dziedzinie nauk ścisłych. Jan Śniadecki, który dwukrotnie (w r. 1781 i 1787) dla studyów bawił w Paryżu i pilnie uczęszczał na wykłady w Kolegium francuskiém, nachwalić się nie może głębokiéj nauki Lalande'a i Cousin'a, u których słuchał astronomii i rachunku całkowego, ani też serdecznéj życzliwości, z jaką byli dla młodego swego słuchacza; bywając często w domu poety Delille'a, profesora literatury francuskiéj w témże kolegium, miał sposobność poznać tutaj d'Alembert'a, Condorcet'a, Laplace'a i pozyskać sobie ich względy. Nie umieli paryżanie cenić własnych skarbów naukowych; w kolegium miał Śniadecki sześciu zaledwie towarzyszy, w liczbie których wymienia jednego Holendra, innego Hiszpana [2]). Natomiast piękne sale, „Lyceum“, założonego przez książąt i finansistów, natłoczone były wielkoświatowém audytoryum; z większém przejęciem, niż zrozumieniem, słuchano wykładów fizyki przez Monge'a i chemii przez Fourcroy — i bawiono się niezgorzéj: wstęp był tu dozwolony dla dam. W nauce, jak we wszystkiém, upatrywano jedynie modną rozrywkę; obok doświadczeń fizykalnych, uprawiano magnetyzm pod kierownictwem Mesmera i poszukiwano kamienia filozoficznego za wskazówkami Cagliostra. Eleganckie towarzystwo z „Lyceum“ spotykamy powtórnie, w niemniejszym tłoku, u wróżbiarzy Dubuisson'a i Martin'a, którzy z kart niechybnie przepowiadają przyszłość [3]). Należy stanowczo się zastrzedz przeciw utartemu mniemaniu o bezwarunkowym i głęboko sięgającym wpływie wiedzy ścisłéj na ducha francuskiego w końcu XVIII w. Jak mało postąpiono wówczas w przyswojeniu sobie ducha i metody nauk przyrodniczych, miało niebawem uwydatnić się rażąco w podejmowanych nieoględnie i po dyletancku wielkich eksperymentach politycznych.

Również stare, jak Akademia francuska, bo na niéj od czasów

---

[1]) Słowa Woltera o akademii Soissońskiéj—nie krakowskiéj, jak twierdził złośliwy ks. Jezierski. a za nim powtórzył Kraszewski, „Trzy rozbiory“, II, 249.

[2]) Baliński: „Pam. o Śniadeckim“, I, rozdz. II, V.

[3]) O posiedzeniach „magnetycznych“ u księżnéj de Bourbon ciekawe szczegóły u pani d'Oberkirch, I, 357—363, II, 214 i nast. „O wróżbiarzach“ u Mercier'a „Nouveau Paris“ (1796), t. II, 150 i nast. Sława Martin'a tak była ustaloną, że w trudnych wypadkach zgłaszała się do niego po poradę zakłopotana policya.

Molière'a wzorowane, niemniéj może głośne, a niezawodnie większego jeszcze na społeczeństwo wpływu, były salony literackie Paryża. Szczególna ta instytucya towarzyska, stanowiąca poniekąd wytwór charakterystyczny ducha francuskiego, doprowadzona w swoim rodzaju do doskonałości, tém do pewnego stopnia była dla wieku XVIII-go, czém dla dzisiejszego jest czasopiśmiennictwo peryodyczne. Salony paryskie zeszłego wieku mają całą historyę i wcale zajmującą. Po salonie aktorki Lecouvreur, gdzie do 1730 r. zbiérali się Wolter, Fontenelle, Dumarsais i inne wielkości literackie i naukowe, odziedziczył gości i sławę salon pani de Tencin, uświetniany w dodatku obecnością Monteskiusza. Od 1760 r. margrabina Du Deffand potrafiła zaćmić inne współzawodniczki, pozyskawszy dla swego salonu sławnych cudzoziemców, przeważnie anglików; tutaj spotykało się Hume'a, Walpole'a, Sterne'a, Gibbon'a. Czyniła jéj żywą konkurencyę była jéj dama do towarzystwa, panna de l'Espinasse, u któréj bywali do 1776 roku d'Alembert, Turgot, Diderot i inni. Wielkim rozgłosem cieszył się salon pani Geoffrin, bogatéj fabrykantki luster, osoby płaskiéj, niesmacznéj, „drogiéj mamuni“ Stanisława Augusta, którego odwiedziła w Warszawie i z którym przez lat kilkanaście prowadziła najniesmaczniejszą w świecie korespondencyę [1]). W niedziele i czwartki, schodziło się aż do 1789 r. liczne grono niedowiarków w „synagodze“ Holbach'a. W piątki dobrane towarzystwo zbiérało się w salonach popularnego Neckera. Nawet w okolice podmiejskie Paryża, do wdowy po Helwecyuszu w Auteuil, do Beniamina Franklina w jego ustroniu w Passy, zjeżdżano na filozoficzno-polityczną pogawędkę. W żywych i dowcipnych rozprawach nie oszczędzano żadnéj istniejącéj instytucyi społecznéj, prześcigano się w zjadliwych uwagach o Wersalu i Rzymie, układano fantastyczne plany nieokreślonych a radykalnych reform. Tak więc, według wyrażenia znakomitego pisarza, w antresoli swobodnie bawiono się ogniem, nie bacząc, że w piwnicach mieszczą się zapasy prochowe, które za pierwszą iskrą cały gmach wysadzą w powietrze. Obok tych salonów „wojujących“ zachowały wykwintne arystokratyczne pewną wyniosłą odrębność. Przyjęcia u księżnéj de Bourbon, de Grammont, hrabiny de Boufflers, marszałkowéj de Beauveau, nosiły charakter dworski raczéj niż akademicki. Strona obyczajowa tego błyszczącego świata, skazanego na doszczętną zagładę, tylekroć z taką dokładnością była odtwarzana, że nie ma powodu

---

[1]) De Moüy: „Corresp. du roi Stan. Aug. et de M-me Geoffrin,“ 1875. Skromna korespondentka zestawia siebie z Sully'm, króla z Henrykiem IV. Miewała u siebie dużo gości polaków.

dłużéj się na tém miejscu nad nią zatrzymywać. Dawny libertynizm kwitł daléj w najlepsze, upozorowany modną uczuciowością; za przykładem niezrównanego księcia de Lauzun [1]), przedstawiciele najpierwszych rodów Francyi szukali odznaczenia w awanturach miłosnych i rozrzutności szalonéj. Kiedy się czyta u świadków naocznych żywe opisy zabaw karnawałowych z r. 1789, wydają się te wesołe obrazy jednym dziwnym anachronizmem i dopiéro uprzytomniać sobie potrzeba, że to ostatnie zapusty ostatnich spadkobierców wielkiéj, a strwonionéj do ostatka puścizny historycznéj.

.Upadek „salonów" był przygotowany przez importowane z Anglii upodobanie do życia klubowego. W krótkim czasie już nie w samym tylko Paryżu, lecz po całéj Francyi rozkrzewiły się niezliczone kluby polityczne. Brakło w nich krępującego może, lecz zarazem łagodzącego wpływu kobiéty. Wiadomo, z jaką szkodą dla narodu miały decydować wkrótce kluby o jego losach. Z Anglii również, za pośrednictwem ks. Orleańskiego, przejęto zapał dla urządzeń masońskich; rozrzucone po trzystu miastach loże, ciążą ku Paryżowi, gdzie w ręku księcia, jako wielkiego mistrza,ześrodkowany jest główny kierunek. Niewątpliwie używane przez księcia w ambitnych celach politycznych, nie miały wszakże loże tego niebezpiecznego charakteru, jaki od owego czasu zwykło się im przypisywać; w przeważnéj części były pomimo form dziwacznych i tajemniczości, jaką się okrywały, zwyczajnemi stowarzyszeniami filantropijnemi. W tym kierunku położyła nawet masonerya znaczne zasługi, schodząc się, jakkolwiek dziwnie to brzmi, z duchowieństwem, i szczepiąc w t. zw. dobrém towarzystwie „modę dobroczynności" [2]). „Wielki mistrz," człowiek z natury bardzo mało czuły, rzuca złoto garściami na cele dobroczynne, pomimo wątpliwéj szlachetności intencyi, — opiewany aleksandrynami przez płatnych akademików, w jadowitém przeciwstawieniu do zbyt oszczędnego króla — niemniéj jednak w rezultacie czyni wiele dobrego i innych do naśladownictwa zachęca. Moda litości i dobrych uczynków, najznośniejsza jeszcze ze wszystkich, jakie się rozmnożyły

[1]) Sławny ten Don Żuan, któremu, podobnież, jak i społeczeństwu, w którém królował, przy najgorszych przywarach niepodobna odmówić pewnéj dozy sympatyi, jest dla nas skądinąd jeszcze postacią interesującą. Pomijając romantyczny jego stosunek z księżną-generałową z. p., mam tu na myśli jego projekty pośredniczenia między Maryą-Antoinette'ą a cesarzową Katarzyną. W Warszawie był w 1773—1774 r. Por. „Mémoires du duc de Lauzun" (ed. Barrière, 1862), 107—119.

[2]) Słowa *„bienfaisance"* brakło w dykcyonarzu Akademii; stworzył je i po raz pierwszy użył ksiądz Saint-Pierre, jako wyrażenie ściślejsze i szersze od istniejącego *„charité."*

dzięki wymowie Roussa, stała się sprawczynią wielu zjawisk budujących. Cichy ksiądz d'Epée, opiekun głuchoniemych, staje się przedmiotem niemal równych Vestrisowi owacyi; piękne panie, obecne na jego lekcyach, leją łzy rozczulenia, i co ważniejsza, wspierają same i wyrabiają mu subwencyę u rządu. W 1787 r. subskrypcye na budowanie nowych szpitali, zbierane przeważnie u osób z „towarzystwa", dały przeszło dwa miliony fr. Zimą przed hotelami wielkopańskiemi rozniecano ogniska dla marznących biedaków. Na prześlicznym rysunku Greuze'a, zatytułowanym „*Terpsicore charitable*", oglądamy pannę Guimard z Wielkiéj Opery, słynną z lekkości tańca i obyczajów, jak zgrabném *pas* baletowem, w otoczeniu skrzydlatych amorków, obładowanych wiktuałami, wkracza do ubogiéj izby schorowanych nędzarzy.

Rażą nas dziś tego rodzaju kontrasty obyczajowe, dziwić atoli nie powinny. „Cały świat czyta w Paryżu", woła w r. 1786 ze zdumieniem Niemiec Storch, „każdy, szczególniéj kobiety, zawsze ma książkę w kieszeni. Czyta się w powozie, na promenadzie, w teatrze podczas antraktów, w kawiarniach, w kąpieli. W sklepach kobiety, dzieci, terminatorzy czytają po kątach, w niedzielę siadają przed bramami domów i czytają, lokaje czytają, siedząc na tyłach powozów, woźnice na kozłach, żołnierze czytają na posterunku, posłańcy publiczni, oczekując na stacyi". Powódź tanich broszur i pamfletów zaléwa publiczność paryską, zastępując nieliczne gazety, drobne rozmiarami, drogie stosunkowo i mało się rozchodzące. Wydane pośmiertnie „Konfesye" Roussa znajdują się we wszystkich rękach, liczne nakłady innych jego pism szybko są rozchwytywane. Słowo drukowane, z pogardą traktując rzeczywistość, niemniéj wywierało na życie bieżące, zarówno prywatne, jak publiczne, wpływ bezpośredni i prawie natychmiastowy, lecz bynajmniéj nie jednolity; oczywiście nie mogło braknąć jaskrawych rozdźwięków, zabawnych na pozór, choć zasadniczych i doniosłych. Mamy tedy możność sprawdzać działanie pism Jana Jakóba na sposobie noszenia się przechodniów na bulwarach. Prostota w ubiorze staje się oznaką dystynkcyi; czarny strój dla mężczyzn powszechnie się przyjmuje i ciemny frak angielski wchodzi w użycie jako strój balowy. W r. 1786 stają się modne wyszycia na sukni męskiéj i oto okazują się kamizelki z wyszytemi scenami z „Wesela Figara", a nawet ze zgromadzenia stanów narodowych. W kierunku tym do wyszukanéj prostoty, tak potężnym, że zdołał wpłynąć nawet na stroje kobiece, szyte według paryskiego „Magazynu mód" z r. 1789 z lekkich i tanich materyi kitajkowych i muślinowych, okazuje się połączony wpływ angielski i Roussa. Entuzyastki oczytane w „Nowéj

Heloizie“, poczynają nosić suknie muślinowe nawet w zimie, królowa ukazuje się w białéj sukni perkalowéj. Dzieci, które dotychczas ubierano zupełnie jak osoby dorosłe, porzucają sznurowadła i peruczki i powracają do strojów wygodnych, bardziéj ich wiekowi odpowiednich. W ścisłém przestrzeganiu słów mistrza każe się biednym malcom przez cały rok chodzić w strojach letnich, w imię zasady spartańskiéj hartowania, wyłożonéj w „Emilu“. Po sentymentalnych zachwytach dla natury wchodzi w modę zapał dla świata starożytnego. W styczniu 1789 r. pojawia się uczony romans księdza Barthélemye'ego: „Podróż młodego Anacharsysa po Grecyi“; dzieło, składające się z czterech grubych tomów, rozkupione zostaje natychmiast, Akademia francuska z otwartemi ramionami przyjmuje autora do swego grona. Znakomita portrecistka Vigée-Lebrun, zasiadająca z panią Vien w Akademii sztuk pięknych, urządza u siebie obiad *à la grecque*, gdzie damy z najlepszego towarzystwa, przybrane w stroje ateńskie, wykonywają pieśń chóralną Gluck'a na cześć Erosa, przy akompaniamencie liry; obiad składał się z potraw, opisanych przez Anacharsys'a, wychylano kielichy z winem cypryjskiém, na deser podano miód i rodzynki koryntckie. W sztuce, obok tkliwéj maniery Greuze'a i Józefa Vernet'a, pojawia się surowa klasyczna David'a. W „Salonie“ malarstwa i rzeźby z roku 1789, na trzysta przeszło wystawionych obrazów, ogromna większość wyobraża tematy greckie lub rzymskie.

Dziwnie dobrane gusta pasterskie i pseudoklasyczne znalazły sobie trwalszy wyraz w architekturze. Szczególnemi względami cieszy się styl grecki; pałace książąt i bankierów wspierają się na kolumnach dorycich lub jońskich, przy wejściach do domów prywatnych wznoszą się wspaniałe łuki tryumfalne. W pałacu zbudowanym przez Beaumarchais'go przy bulwarze, noszącym dziś jego nazwisko, mieściła się świątynia grecka, poświęcona Wolterowi, gdzie w środku na ołtarzu starożytnym ustawiony był posąg bożyszcza z Ferney. Równocześnie dążność do skromnych rozkoszy wiejskich wyraża się przez założenie mnóstwa wspaniałych ogrodów w samym środku miasta; zarzucono przytém sztywny styl francuski Lenôtre'a i zwrócono się do swobody fantastycznéj ogrodnictwa angielskiego. Wszakże niezawsze udawało się łączyć prostotę idyliczną z taniością. Panna Dervieux, tancerka opery, zamieszkiwała ofiarowany jéj przez adoratora domek, który kosztował miliony; wrażliwy Karamzin, oglądając to dzieło z tysiąca i jednéj nocy, powiada o niém w ekstazie, że „łączy w sobie przyjemne z pożytecznem“, pochwała conajmniéj problematyczna. W ogrodzie pana de Beaujon znajdujemy prześliczny wiatrak, rzeźbiony w gotyckim stylu, niezmiernie kosztowny, a na którym mie-

lono—wodę. W poszytéj słomą chacie hrabiny de La Marck, podawano mléko w złotych naczyniach; w parku kawalera de Saint-James, tego samego, który wkrótce miał się wsławić bankructwem na sumę przeszło dwudziestu milionów, wznosiła się romantyczna skała, któréj samo ustawienie kosztowało półtora miliona. Oczywiście z powrotem do „natury“ obrano sobie drogę przyjemną, lecz nienajkrótszą.

Nie zamierzamy wszakże daléj przeciągać naszéj przechadzki, któréj nie byłoby końca, gdybyśmy mieli zatrzymywać się nad pojedyńczemi szczegółami. Zamykamy ją jedną uwagą ogólniejszą. W końcu zeszłego wieku we wszystkich miastach stołecznych Europy, wyraźnie daje się odczuwać silne oddziaływanie Paryża. W jednéj tylko stolicy wpływ ten prawie jest niedostrzegalny: Londyn, dumnie zachowując swą odrębność, owszém narzuca jeszcze Paryżowi swoje zwyczaje i wybryki mody. Naodwrót miasto, daleko odsunięte od paryskiego słońca i w najniepodobniejszych do niego znajdujące się warunkach, okazało się najbardziéj niewolniczém ze wszystkich jego satelitów. Cudzoziemcy, zwiedzający Warszawę za Stanisława Augusta, jedni z pochlebstwem, inni z uśmiechem ironicznym, stwierdzają żarliwość, z jaką „Paryż północy“ usiłuje naśladować prawdziwy [1]). W antytezie, zawartéj w zjawisku tak szczegółowém, zarysował się zgóry najwyższy i najniższy stopień odporności dwóch społeczeństw w nadchodzącéj chwili próby.

S. A.



[1]) Szeroko o tém rozpisuje się Kraszewski, z nowszych dorzuca ciekawe szczegóły Dębicki. Zresztą starczy parę ustępów trzeźwego Anglika o parku powązkowskim lub Łazienkach królewskich. Wiliam Coxe. „Voyage en Pologne etc.“ (ed. genewska 1786) I, 78 sq.



NOWE FRAGMENTY
JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

Po śmierci Juliusza Słowackiego, matka jego, Salomea Becu, objęła jego spuściznę literacką i oddała ją następnie prof. Antoniemu Małeckiemu, by zużytkowawszy w druku, co będzie uważał za stosowne, resztę złożył w jakiejś instytucyi publicznéj dla udostępnienia jéj poznania wszystkim, którzyby szczegółowemi badaniami nad twórczością poety zająć się chcieli.

Z materyału tego prof. Małecki ogłosił w r. 1866 trzy tomy „Pism pośmiertnych“ Juliusza Słowackiego, oraz zaczerpnął dużo wiadomości do pięknego swego studyum o życiu i pismach twórcy „Balladyny.“ Rękopisy zaś, których nie poczytywał za godne druku, oddał do biblioteki zakładu Ossolińskich we Lwowie.

Młodzi pracownicy na polu piśmiennictwa naszego, nie pozostawili rękopisów tych w spokoju. Wychodząc z zasady, kierującéj poszukiwaniami badaczy w innych krajach, że wszystko, co się odnosi do wielkiego pisarza, interesować nas powinno, wzięli się do przetrząsania pozostałości po Słowackim, a wynik, swoich szperań podawali ogółowi.

Tym sposobem poznaliśmy w r. 1872 „Genesis z ducha“, a w 1884, oprócz poprawnego wydania téj pracy, „List do Rembowskiego“, „Wykład nauki“ i „Dziennik z r. 1847—1849“, które to pisma do druku przygotował i obszernym a cennym wstępem poprzedził dr. Henryk Biegeleisen, a równocześnie dramat „Agezylausz“ ogłosiło dwu młodych pracowników.

Nareszcie w roku zeszłym otrzymaliśmy fragmenty poetyckie, które, jak zapewnia wydawca, „wyczerpują całą spuściznę po Słowa-

ckim". Książka ta ma napis: „Juliusz Słowacki. Poezye, utwory dramatyczne i proza. Wydanie pierwsze z pośmiertnych rękopisów, zaopatrzone wstępem i objaśnieniami przez Józefa H. Rychtera."

Wszystkie utwory, ogłoszone przez pp. Biegeleisena i Rychtera, pochodzą z doby przejęcia się poety mesyanicznemi mrzonkami w duchu Andrzeja Towiańskiego i były pisane, wedle przekonania poety, w natchnieniu, zesłaném z nieba, a więc stanowić miały nie indywidualny wyraz przekonań jednostki, lecz prawdy niewątpliwe, jakby objawienia, których dla dobra ogółu poeta nie tworzy, ale je powtarza jedynie, czyniąc zadość niepokonanemu naciskowi z góry, zmuszającemu go do stania się narzędziem woli wyższéj.

O takiém pochodzeniu i znaczeniu swoich natchnień, Słowacki w latach 1842 do 1849 najmocniéj i najgłębiéj był przekonany i zapewniał o niém słuchaczy nie dla zaspokojenia swéj próżności, lecz dla złożenia świadectwa prawdzie. Widzenia i halucynacye były u niego wówczas bardzo częste, a tak silne, iż poeta przyjmował je za rzeczy z zewnątrz, a nie z wewnątrz pochodzące.

Gdy pisał „Genesis z ducha", którą za rodzaj nowéj ewangelii przedstawiał, wybornie nam odmalował stan swego ducha i myśli go napełniające. „Kiedym się wahał z wydaniem téj księgi—powiada— a był właśnie w połowie téj ewangelii, która jéj ostatnie karty zamyka, coraz mocniéj przerażony odpowiedzialnością przed Bogiem, oświecony zostałem ogniami niebieskiemi... i w stanie zupełnie spokojnym, bez najmniejszego krwi rozegrzania, przerażony zostałem mocą Chrystusa, już na świat nadchodzącego, przymuszony wymówić słowa, których nigdy w życiu nie używałem. Mówię to po rozwadze głębokiéj, pewny, że to wyznanie w wieku dzisiejszym ujmie mi cześć w obliczu świata, który chętnie one to rzeczy szalbierstwu, albo chorobie zwykł przypisywać, sądząc, że ujmują powagi rozumowi i stają na drodze cielesnym i ciągle idącym w górę usiłowaniom narodów".

Szczerość tych wyznań i przekonań nie ulega najmniejszéj wątpliwości. Kto zna usposobienie dumne, a przytém sceptyczne Słowackiego w latach, poprzedzających przyjęcie nauk mesyanicznych, ten z łatwością zrozumie, że poeta nie chciałby się dobrowolnie upokarzać, nie chciałby się podawać za narzędzie jedynie natchnień, gdyby w głębi duszy nie był o prawdziwości takiego stanu duchowego przeświadczony.

Pod wpływem teoryi mistycznych zaszła ogromna w Słowackim zmiana, umysł jego z wątpiącego i skłonnego do szyderstwa, stał się naiwnie, a żarliwie wierzącym, a charakter z dumnego i pogardliwego—upokorzonym, pałającym miłością, serdecznym. Co dawniéj przy-

pisywał działaniu rozumu lub namiętności, teraz uważał za wynik natchnienia i cudu. Czyny bohaterskie, silną dłonią i mieczem dokonane, straciły dla niego powab i wzniosłość, bo przeciwko nim postawił czyny poświęcenia się cichego, ofiary, upokorzenia i cierpienia. Moc cielesna, któréj i dawniéj niebardzo hołdował, miała teraz dla niego tylko znaczenie ujemne, a jedyną siłą dodatnią była moc duchowa. Stąd objawy cywilizacyi materyalnéj, udoskonalenia w gospodarstwie społecznêm, w administracyi, polityce, życiu społecznêm nie pociągały go ku sobie bynajmniéj, budziły raczéj obawę, że wśród tego postępu materyalnego, zaniedbany zostanie postęp wewnętrzny.

Udoskonalenie ducha stało się dla niego troską wyłączną, a zarazem warunkiem szczęścia ludzkości. Nie rola, nie handel, ani rozdział pracy—mówił—jest źródłem bogactwa kraju, lecz „natchnienie". Natchnienia tego nie może dać dzisiejszy kierunek oświaty, który czci dziś „rozum tylko tak, jak rzemiosło".

Wobec dyskusyi o wolności, Słowacki myśląc o udoskonaleniu wewnętrznêm, porównywa jéj posiadanie do posiadania fletu: „jeśli go weźmie człowiek, muzyki nieświadom, piersi straci i uszy sfałszuje sąsiadom". Wolnym jest jedynie ten, kto się wzniósł po nad potrzeby powszedniości, kto umié się wyrzec wszystkich dóbr widzialnych, kogo namiętności nie gnębią.

Nowoczesne urządzenia konstytucyjne nie znajdowały w poecie naszym wielbiciela naówczas, porównywał je do fortepianów, w których klawiszami są ludzie, pedałami — bogacze („Plutus i Ceres"), a wirtuozem, grającym na tych instrumentach — „najwyższy pieniężny interes".

Pogardzając sprawami i rzeczami ziemskiemi, podnosił poeta umysły ku Bogu i napełniał je głębokiemi uczuciami religijnemi, lecz oswobodzonemi od form i formułek, bo, jak wszędzie indziéj, tak i w kwestyach religijnych, Słowacki cenił tylko ducha. Dlatego poddaje krytyce księdza, który wołał z ambony, że na wsi jest bliżéj Boga, i pyta: „gdzie jest Bóg tego księdza?" Dla tego zapewnia, że kościół jest tam, skąd „boskie płynie natchnienie", a nie tam „gdzie krzyż, belki i kamienie".

Wskutek takiego nastroju duchowego, bohaterami poetycznemi Słowackiego mogli być w dobie mesyanicznéj tylko duchy, albo ludzie przeniknięci nawskroś duchowością, będący wcieleniami potęg nadziemskich. Dość tu przypomnieć bohatera „Króla Ducha" i bohaterki dramatów mesyanicznych.

We fragmencie dramatu „Agezylaus", który się obecnie w zbiorku p. Rychtera pojawia już po raz drugi, takim bohaterem ducha, jest

król spartański, Agis. Postanowił on podnieść upadające państwo przez przywrócenie praw Likurga, nakazujących ubóstwo i poświęcenie dla wspólnéj sprawy. Dokonawszy przewrotu, pomimo niechęci najbliższych krewnych, sam nie chce ciągnąć korzyści ze swego królewskiego dostojeństwa, zostawia panowanie stryjowi swemu, Agezylauszowi, ufny w jego prawość, idzie staczać walki z nieprzyjaciółmi, doznaje upokorzeń i klęsk dlatego, że działa szczerze i prostodusznie, a ludzie przywykli już do fałszu i obłudy, a gdy wraca do ojczyzny, opuszczają go najbliżsi przyjaciele, zdradzają ci, którym świadczył dobrodziejstwa; wtrącony do więzienia, oczekuje kary za to, że dobrze czynił lub czynić się starał.

Tragika jego losu nie polega na winie, przezeń popełnionéj, lecz na przeciwieństwie dążeń jego czysto duchowych z nastrojem spółczesnych mu działaczy, uwielbiających tylko siłę i powodzenie materyalne. Agis jest męczennikiem swoich przekonań, albo lepiéj, swego ducha wogóle.

Wzniosłość jego nie jest wprawdzie plastycznie przedstawiona, bo dramat Słowackiego wygląda obecnie jako piérwszy zarys utworu, a nie jako całość wykończona; daje się jednakże wzniosłość ta odczuć z treści, z postępków i zachowania się bohatera w okolicznościach decydujących.

Gdyby słowa takiéj jak jego ofiarności wypowiedziane były przez zwykłego bohatera tragicznego, możnaby w nich widziéć objaw samochwalstwa i zarozumiałości, ale ponieważ zostały one włożone w usta człowieka, który uważa się tylko za narzędzie woli Bożéj, stanowią dowód zupełnego jéj poddania się i głoszenia prawdy wobec zaślepionych.

Drugą postacią, przedstawiającą w dramacie obraz bohatérstwa ducha, to Chelonida, córka króla Leonidasa, będąca samém najczystszém poświęceniem. Idzie ona za tym, kto cierpi i jest prześladowanym, nie rozumuje i nie roztrząsa swego postępowania; natchnienie wskazuje jéj właściwą drogę; ona poddaje mu się bez szemrania, cicha i pokorna. Podobna jest ona do Lilli Wenedy, tylko, naturalnie, jako we fragmencie, mniéj obrobiona, zaledwie naszkicowana. Gdy ojciec jéj, Leonidas, strącony z tronu, idzie na wygnanie, ona spieszy za nim, by mu śpiéwać jaką piosenkę gminną i dzielić schronisko w jakiéj krainie dzikiéj, pełnéj ciszy, cienia i smutku.

Chociaż jéj smutno i boleśnie, to przecież „wszędzie sercu spokojnie“, bo spełnia święty obowiązek. Opuściła małżonka, który był spółsprawcą wygnania Leonidasa, wszystkie trudy i biédy wygnańca podzieliła i osłodziła, a co więcéj, lubo z bólem serdecznym, była, „jak

Hekuba, cała w psa przemieniona i na męża wyła i sławę jego gryzła." A jeżeli ojciec przez litość wymienił kiedy opuszczonego męża, to Chelonida „pamiątkę jego gryzła, jak pies, co gryzie kamienie pastucha — wściekły obróci i chwyta, i zęby na nich połamie, i zgrzyta." Ale gdy Leonidas wraca wreszcie do Sparty tryumfalnie i męża Chelonidy na śmierć skazuje, ona poprzysięga wszelki z nim los podzielić, a jeśli trupem on, to nie wyjść inną, jak trupem. Wygnanemu towarzyszy tak samo, jak poprzednio towarzyszyła ojcu.

Inne postacie dramatu „Agezylausz", to zwykli ziemscy bohatérowie albo źli i przewrotni, mocą i przebiegłością szermujący, albo też niezdecydowani, chwiejący się pomiędzy szlachetnością i podłością. Bohatér tytułowy, stryj Agisa, pomagający mu w zaprowadzeniu reformy politycznéj ze względów osobistych, wyzyskuje ufność i szczerość swego synowca, a nikczemném postępowaniem swojém budzi wśród ludu niezadowolenie z dokonanéj zmiany i przygotowuje powrót dawniejszego stanu rzeczy.

Demades, Demochares, Arcezylaus i Amfares (który jest tylko zdwojeniem Democharesa przez odmienne napisanie nazwiska), są to przyjaciele obłudni, dopóty wierni i ochotni do niesienia usług, dopóki się za to hojnéj spodziewają nagrody; ale najspokojniéj i bez wyrzutów sumienia opuszczają tego, komu służyli, jak tylko spostrzegą, że jego władza i znaczenie znikają.

Archidamia babka, Agezystrata matka i Agiatis żona Agisa, są to osobistości owe chwiejne, niezdecydowane, bez wyraźnych i ściśle określonych przekonań lub skłonności: wybuchają gwałtownie, gdy są czém silniéj podrażnione, a więc zarówno wówczas, gdy Agis działa po ich myśli, jak i gdy go nieszczęścia ścigają. Zdawałoby się z początku, że chciał w nich poeta odmalować te przeszkody i zawody, jakie wielki człowiek spotyka w ścianach swego domu, wśród najbliższego rodzinnego otoczenia; lecz myśl ta nie została rozwinięta jasno i konsekwentnie. Kobiéty te to furye albo płaczki, kolejno z przekleństwem na ustach lub słowami żalu i współczucia występujące; na przebieg akcyi nie wpływają prawie zupełnie.

Drugi znaczny fragment dramatyczny ma napis: „Zawisza Czarny." Bohatérem tu głośny w początkach wieku XV-go rycerz bez plamy i trwogi, jeden z rzadkich u nas przedstawicieli rycerstwa średniowiecznego, wówczas, gdy się już ono na zachodzie chyliło ku upadkowi. W obrobieniu tego tematu, poeta równie jak w „Agezylauszu", zgodnie z nastrojem mistycznym, nie rozwijał czynów dzielności, ani przygód zewnętrznych, lecz dramat duchowy, cierpienie czysto wewnętrzne, będące wynikiem skrupułu religijnego.

Oto w pierwszéj zaraz scenie dowiadujemy się, że jeden z najdzielniéj pod Grunwaldem walczących, Zawisza Czarny, zabiwszy komtura krzyżackiego i zdeptawszy go kopytami rumaka, dostał „serdecznego śmiechu“, popadł w obłąkanie dlatego, że razem z krzyżakiem zdeptał krzyż na jego chorągwi, krzyż, który odtąd przed rozognioną wyobraźnią płomieniem żrącym się unosi i spokój ducha odbiéra. Król Jagiełło oddaje dzielnego rycerza w opiekę jego przyjacielowi Sanockiemu, gospodarnym trybem chce urządzić jego ducha na nowo, oddziaływając na umysł niespokojny wrażeniami pięknéj natury i wdziękami panny Laury, która na złotéj harfie grać dobrze umiała.

O ile te leczebne środki poskutkowały, nie dowiadujemy się wyraźnie z fragmentów, z których wywnioskować tylko można, że Laura przyjęła sławnego rycerza z uwielbieniem, że starała się go otoczyć wygodami i koić troski jego, że z drugiéj strony pozyskać sobie pragnął Zawiszę cesarz Zygmunt Luksemburczyk i wysłał w tym celu na zamek Sanockiego, Manfreda, który zmyśliwszy miłość do Laury, usiłował spełnić swe poselstwo.

W kilkunastu scenach, które się dochowały, mamy tylko luźnie nakreślone sytuacye, nie mogące dać należytego pojęcia ani o sposobie, w jaki rozwinięta być miała logika wewnętrzna bohatéra, ani o właściwéj idei, jaką poeta przeprowadzić zamierzał. Uderza w nich tylko, obok wyrażeń uroczystych i podniosłych, pewna rubaszna żartobliwość nietylko w ustach Jagiełły, ale nawet Zawiszy, np. na uwagę Laury z powodu poselstwa Manfredowego, iż to jest *qui pro quo*, odpowiada: „pewnie *qui pro quo* jakieś, lecz *kwiczące*“ (232), albo dowcipkuje na temat imienia Laury, którą chce koniecznie Lawrą zwać, bo jak powiada: „trzeba do Włoch pojechać po *au*, jak pies wyjące; Włoch, czy przy lutni drzémie, a przy mieczu poziéwa, ma ten głos i zawycie, od którego się, da Bóg, nasza mowa obroni“ (str. 220).

Wogóle można zauważyć, że Słowacki w tych fragmentach dramatycznych lubił obok słów podniosłych używać także bardzo pospolitych, niemal trywialnych, lubił posługiwać się na wzór Szekspira dwuznacznikami niezbyt wyszukanemi. Tak np.: z powodu wyrażenia o długach, jeden ze Spartan dowcipkuje, zestawiając rzeczownik „długi“ z przymiotnikiem „długi“, nazwę Efora z równobrzmiącemi wyrazami i powiada: „Długi nie powinny miéć miejsca. Likurg zaprowadził *krótkość* w mowie, a długi są przeciwko prawom Likurga. Nie czekaj więc Waćpan na *efora*, ale krzyknij *fora* za drzwi na panów dłużników i skończ interesa bez *efora* w *forum* domowém“ (str. 69, 70).

Prócz dwu wymienionych większych ułamków, mamy jeszcze w zbiorku p. Rychtera dwa pomniejsze: „Z dziejów Wielkiego Nowo-

grodu", gdzie wystawiony został chan tatarski, jako „bicz boży," świadomy swego posłannictwa wytępiania ogniem i mieczem zła na ziemi, i „Scenę w Malborgu", należącą do fragmentu dawniéj drukowanego w „Pismach pośmiertnych" pod tytułem: „Walter Stadyon." I tu również spotykamy się z pojęciem wielkości czysto duchowéj w przeciwstawieniu do materyalnéj. Jeden z nienazwanych bohatérów powiada:

O sławę nie dbam, o życie nie stoję,
Chcę być jak *widmo wyroków* straszliwe,
Przed którém księgi losów się rozdarły,
Przed którém pobladł czas... skrzydła otworzył
I uciekł... Jam się duchem podniósł, *zbożył*,
Zwszechmocniał—a tu chcę być jak umarły
I zapomniany...

Utwory dramatyczne stanowią największą i najważniejszą część w wydaniu p. Rychtera. Nie przynoszą one wprawdzie ani nowego listka do wawrzynu poety, ani nieznanych nam dawniéj myśli i poglądów: uzupełniają tylko drobnemi szczegółami charakterystykę nastroju mesyanicznego; z tego téż punktu widzenia ogłoszenie ich drukiem oceniane być winno.

Z poezyi lirycznych pomieścił p. Rychter kilka ułamków, niejasnych pod względem myśli i uczuć, nieobrobionych pod względem stylu; najwydatniejsze pomiędzy niemi miejsce zajmuje „Eolion", dziecię natchnienia i snów wieszczych w duchu mesyanicznym.

Z dydaktycznych urywków zaznaczyć należy najprzód fragment poematu p. t. „Teogonia" (str. 36—52), gdzie poeta rozwija w sposób dość ciemny i zagadkowy „tajemnicę globu", a więc ten sam temat, który obrabiał w „Genesis z Ducha" i w „Wykładzie nauki"; w szczególności zaś zastanawia się nad pojawieniem się pierwszéj zbrodni na ziemi i nad znaczeniem postaci biblijnego Abla. Po „Teogonii" wymienić trzeba „Epigramaty i aforyzmy" — najjaśniejsze ze wszystkiego, co się w omawianéj książce znajduje. Sformułował tu poeta krótko, nieraz dowcipnie, kilkadziesiąt myśli swoich co do różnych spraw i kwestyi, żywo dyskutowanych za jego czasów, a i dziś jeszcze nie przestarzałych. Zagadnienia polityczne, ekonomiczne, społeczne, artystyczne i naukowe przesuwają się tu jak w kalejdoskopie, a objaśniane są przez poetę w duchu mistycznym. Epigramaty te i aforyzmy i kierunkiem myśli, i formą najwięcéj przypominają „Zdania i uwagi" Mickiewicza.

Inny znów z utworów tego wieszcza, stylem biblijnym pisany, znajduje oryginalne odbicie w „Przypowiastkach", w których zaleca Słowacki prostotę ducha, pokorę, ofiarę, modlitwę i podniesienie

ducha ku Bogu. Pisane są one wierszem i prozą i służyły prawdopodobnie jako nauki moralne (kazania), miewane przez Słowackiego wobec kółka Towiańczyków, gromadzącego się przy nim po zerwaniu w r. 1845 z kołem Mickiewicza.

Nie rozbierając szczegółowo tych „przypowiastek“, w których Słowacki naginał (nie zawsze szczęśliwie) swój bujny talent do jak największéj prostoty i naiwności, wspomnę tylko o jednym wierszu, pięknym myślą, a streszczającym szlachetną dążność poety w okresie mistycyzmu. Prosi tu Boga „o krzyż i siłę przed rozdarciem ćwieka“, a to dlatego, by się mógł stać „lampą cudowną całemu światu“, by mógł wyprowadzić z ciemności i grzechu ród człowieczy,—i dodaje:

Panie, bo złych inaczéj pokonać nie można,
Tylko w śmierci godzinie miłością anioła!

Taka jest zawartość zbioru fragmentów Słowackiego, w wydaniu p. Rychtera. Czy wszędzie zostały z rękopismu dobrze odczytane, to mógłby określić ten tylko, coby manuskrypta z drukiem porównał. Wydawca, o ile wnosić można niezależnie od takiego porównania, dość starannie pracy swéj dokonał, podając w notach odmianki ważniejsze, znajdujące się w rękopiśmie, bardzo często kreślonym i niewyraźnie pisanym, przyznając się otwarcie, gdzie czego odczytać nie mógł, niekiedy nasuwając domysł, jakby czytać wypadało wyraz zagmatwany w swych kształtach literowych. Wydanie poprzedził wstępem, w którym starał się narysować dzieje ducha poety w dobie mistycznéj; szkoda, że tu zakradło się kilka błędów, opacznie przedstawiających stosunek Mickiewicza, Słowackiego i innych naszych poetów do mistrza Andrzeja Towiańskiego (str. XXIII, XIX).

Piotr Chmielowski.





UPADEK KSIĘCIA BISMARCKA.

Mąż stanu jest jako kolumna, dopóki ta stoi, nikt nie może zmierzyć jéj wielkości, gdy padnie, każdy wziąć może jéj miarę. (*Napoleon III*).

W zeszłym miesiącu zaszły w Berlinie dwa wypadki ważne i powszechnéj doniosłości. W dniu 15 marca rozpoczęły się tam narady konferencyi europejskiéj, zwołanéj przez cesarza niemieckiego, dla rozpatrzenia kilku pytań, dotyczących położenia robotników, oraz sposobu zadośćuczynia niektórym tychże żądaniom. Konferencya ta nie była ogólno-europejska, bo Rosya do niéj nie należała, ale wszystkie zachodnio-europejskie państwa wzięły w niéj udział i przysłały swych pełnomocników. Konferencya ta nie spisała żadnych umów ogólnych, obowiązujących państwa w niéj reprezentowane, ograniczyła się tylko do akademickiego rozbioru przedstawionych jéj pytań, do wypowiedzenia pewnych platonicznych życzeń, zostawiając wolnéj woli każdego państwa stosowanie tych życzeń w praktyce jak mu się spodoba i jak mu jego własny miejscowy interes wskaże.

Jakkolwiek jednak bezpośrednio praktyczne następstwa tych konferencyi mogą być bardzo małe a nawet i żadne, następstwa ich moralne mogą się dać bardzo dotkliwie we znaki niektórym krajom zachodniéj Europy, zwłaszcza najbardziéj przemysłowym i głębiéj od innych teoryami socyalizmu przenurtowanym. Młody cesarz niemiecki widocznie usiłuje wciągnąć inne państwa Europy na tory owego socyalizmu państwowego, który w Niemczech, za rządów Wilhelma I, tak się rozwinął i który tamże w sławném orędziu cesarskiém, mówiąc o klasach „wydziedziczonych“, samym już tym przymiotnikiem przyznawał klasom tym prawa, których one nie posiadały, i uznawał, niektóre przynajmniéj, żądania stawiane przez robotników w rozmaity sposób, głównie zaś przez swych przedstawicieli w sejmie rzeszy, na-

czelników socyalno-demokratycznego stronnictwa. Nie chcemy przesądzać znaczenia tych konferencyi, zwłaszcza ich znaczenia natychmiastowego i bezpośredniego, zdaje się jednak, że jest jakby zwiastunem zbliżającéj się jakiejś nowéj ery w społecznych stosunkach Europy, że są zwłaszcza pośredniém uznaniem racyi bytu stronnictwa socyalistowskiego, coraz bardziéj trwożącego nierobotnicze, ale posiadające klasy. Że konferencye te w każdym razie wzmocnią socyalistowskie stronnictwa, że zwiększą ich ufność w siebie, to zdaje się nie ulegać wątpliwości. Dla tego, odkładając na późniéj bardziéj szczegółowe sprawozdanie o tych naradach zakończonych w marcu, a odbywanych przy drzwiach szczelnie zamkniętych, dziś tylko pobieżnie zaznaczamy ten wypadek, który nam się zdaje ważnym i którego następstwa w przyszłości bardzo odbić się mogą na stosunkach społecznych i ekonomicznych Europy.

W pięć dni po otwarciu tych konferencyi zaszedł w Berlinie inny wypadek, który w Europie całéj piorunujące wywołał wrażenie. Cesarz Wilhelm II, czyniąc zadość żądaniu kanclerza cesarstwa niemieckiego, prezesa pruskiéj rady ministrów etc. księcia Ottona Bismarcka, reskryptem, albo raczéj reskryptami, do tegoż kanclerza wydanemi w dniu 20 marca, uwolnił go od wszystkich piastowanych dotąd przez niego urzędów.

Tak więc książę Bismarck, albo raczéj Bismarck — bo osobistość ta od lat dwudziestu siedmiu tak była powszechnie znaną i tak popularną w całéj Europie, tak jego rękę we wszystkich, nawet drobniejszych wypadkach widziéć chciano, tak mu przypisywano wszystko złę, a było tego przez owe ćwierć wieku bardzo wiele, że ją tak krótko tylko po imieniu nazywano—tak więc tedy książę Bismarck runął. Czy przy tym upadku można powtórzyć znane wyrazy: *sic transit gloria mundi?* Nie. Imię to szeroko zapisane pozostanie na wieki w historyi, a chociaż może być rozmaicie, a nawet bardzo surowo, sądzone, nigdy jednak sława go nie opuści, chociaż je tu i owdzie, dziś lub jutro przeklinać mogą, jak je tu i owdzie, przez owe ćwierć wieku bałwochwalczą czcią otaczano. Genialny ten człowiek, żelaznego temperamentu i woli, przeorał, a może nawet z podstaw ruszył starą Europę świętego przymierza. Jakie będą dalsze następstwa téj jego, w pozorach zachowawczéj, w istocie swéj jednak wywrotowéj działalności, któż odgadnie? Może i on sam, ten genialny twórca dzisiejszego stanu politycznego Europy i jéj społeczeństwa stanu ekonomiczno-socyalnego, nie byłby w stanie dać na to pytanie odpowiedzi. Dzięki jemu wszystko stało się zagadką, żelazną zagadką, która się może w krwawą zamienić, jak była jego polityka „krwi i żelaza“, któréj rewolucyjne znaczenie on sam określił, mówiąc: „Siła po nad prawem“.

Pod następstwami téj jego polityki jęczy dziś Europa i drży, myśląc o swéj przyszłości. Już w 1876 jeden z rzadkich dziś publicystów niemieckich, którzy nie ugrzęzli w bałwochwalstwie bismarkowskiém i nie sprzedali się, Konstanty Franz, pisarz może nieco jednostronny, ale oryginalny i w sądach bystry, pisząc o kwestyi wschodniéj, tak określił politykę niemieckiego kanclerza:

„...Główne zadanie jego polegało na tém, by Niemcy stały się podwaliną nowego systemu europejskiego. Bez tego prawdziwe odrodzenie Niemiec nie mogło mieć miejsca, gdy rozkład dawnéj rzeszy niemieckiéj przyczynił się do wytworzenia systemu wielkich mocarstw, który bez Prus i Austryi ostać się nie mógł. Ale w jaki sposób Austrya i Prusy mogłyby się przemienić w wielkie mocarstwa, gdyby stary (niemiecki) związek państw (*Bund*) istniał w całéj swéj sile. Cóż więc uczynił Bismarck? Oto doprowadził do końca ów proces rozkładu rzeszy niemieckiéj (1866), stawiając na jéj miejsce dwa osobne, sprzeczne z sobą mocarstwa, z których żadne nie mogło być uważaném za przeobrażenie dawnéj rzeszy. Przeciwnie oba stanęły w sprzeczności z swym rozwojem historycznym, a istnienie swoje mogły usprawiedliwić tylko swoją potęgą. Wówczas wykazało się jasno, do czego zmierza europejski system wielkich mocarstw. Zmierza on jedynie do siły, ta zaś nie odznacza nic innego jeno armię. System polityczny Europy stał się systemem wojennym. Istnieje on i opiera się wyłącznie na wielkich armiach, będących ciągle w pogotowiu. Historya Europy zamieniła się z jednéj strony w historyę armij, a z drugiéj strony stała się historyą *giełdy*. Bo militaryzm nie może się obejść bez giełdy. *Money is power* (pieniądz jest potęgą).

„Głównym tytułem ks. Bismarcka do sławy jest to, że się jak najbardziéj do tego smutnego stanu rzeczy przyczynił. Jeżeli wielkim człowiekiem jest ten, kto urzeczywistnia fałszywe aspiracye swojego wieku, to nikt nie może sprostać ks. Bismarckowi. Jeżeli jednak wielkim człowiekiem jest tylko ten, kto świat wyciąga ze stanu złego i wprowadza na nowe tory, to pytamy, gdzie są te nowe idee, widniejące z polityki bismarkowskiéj? Napróżno ich szukamy. Obracał się on tylko w starém kole „polityki wielkich mocarstw“, wyzyskując przytém, genialnie to prawda, ale i bez skrupułów, zbieg szczęśliwych okoliczności. Oto jedyna zasługa i jedyny geniusz człowieka, przed którym naród myślicieli pada na kolana!... Polityka stała się przedewszystkiém wojenną, a w obec olbrzymich armij, wyprowadzonych na pole bitew, siła wojskowa mniejszych państw tak mało znaczy, że już przez to samo straciły one wszelkie znaczenie, a zatém i racyę bytu. Odtąd panującą maksymą stała się nie owa dawna *Menagez*

les petits (oszczędzajcie małych), ale przeciwnie *mangez les petits* (zjadajcie małych) zaczęło uchodzić za bohaterstwo. Więc wszystkie mniejsze państwa, przez ów system polityczny, zostały zagrożone zagładą. Smutna to perspektywa dla wolności i postępu rozwoju duchowego, do którego wielkie potęgi wojskowe zawsze przyczyniały się bez porównania mniéj, aniżeli małe państwa, te zaś mogły istnieć bezpiecznie tylko dopóty, dopóki żołdactwo nie uchodziło za szczyt i kwiat ludzkości.... Jakież to błogosławieństwa, zdaniem samego ks. Bismarcka, militaryzm sprowadził na świat, osiągnąwszy najwyższy swój tryumf w nowoniemieckiém państwie. Oto, jak się wyraził kanclerz, na skutek wojen z 1866 i 1870 r. równowaga europejska została zaopatrzoną w garnitur ołowiany, *Bleigarnitur*, który zawsze potrafi tę równowagę doprowadzić do właściwéj normy. Jaśniéj nie można było określić wojennego ducha téj polityki. Co się zaś tyczy owego *Bleigarnituru*, to ten bezustanku musi się zwiększać i grubieć. Bo inne także mocarstwa, interesowane w równowadze europejskiéj, mają swoje garnitury, o których grubość i wytrzymałość bardzo się troszczą. I tak to iść będzie daléj i rosnąć do nieskończoności...“—powiada Franz, albo do przyszłéj wielkiéj wojny europejskiéj, któréj ogromu, morderczości, zniszczenia i następstw dziś nikt przewidzieć nie jest w stanie.

Tylko obawa owéj wojny spowodowała to niezmierne wrażenie, wywołane dymisyą ks. Bismarcka. Wprawdzie, jak słusznie rzeczy przedstawił Franz, głównie polityka bismarkowska stała się powodem tego przeładowania elektrycznością wojenną atmosfery europejskiéj. Już w 1876 r. Franz trafnie przewidział owe rujnujące orgie militaryzmu, jakie z powodu Niemiec, dbając o swe bezpieczeństwo, wszystkie wyprawiają mocarstwa. Ale ks. Bismarck w d. 1 kwietnia b. r. zaczął siedemdziesiąty szósty rok życia. W tym wieku wojny, a zwłaszcza takiéj wojny, jaka Europie grozi, nikt nie pragnie. Najenergiczniejszy, najrzutniejszy nawet organizm uspakaja się, chłodnie i cofa od ryzykownych przedsięwzięć, których z powodu lat nie mógłby może do końca przeprowadzić. Europa zresztą przyzwyczaiła się do księcia Bismarcka, wiedziała, że przez ostatnie lat dwadzieścia, zwłaszcza przez ostatnie lat dziesięć, od 1879, troskliwie unikał wojny, która kilkakrotnie zdawała się bliską, że zręcznie jéj groźby usuwać i odraczać umiał. Pod tym względem ks. Bismarck był więc ilością znaną, cesarz Wilhelm zaś, który dziś rozpoczyna swe całkiem osobiste rządy, jest ilością najzupełniéj nieznaną. Nikt nie wątpi, że nowomianowany kanclerz cesarstwa niemieckiego, generał Caprivi, wyprawi do wszystkich mocarstw jak najbardziéj uspakajające okólniki, prawdopodobnie cesarz Wilhelm okólniki te poprze własnoręcznemi listami

do niektórych monarchów; ale te zapewnienia nie zmienią usposobień, w Europie przez ową dymisyę wywołanych, a które bardzo trafnie streszcza paryski dziennik *Temps* w następnych wyrazach:

„Bez wątpienia w umyśle ks. Bismarcka idea pokoju świata łączyła się nierozdzielnie z ideą supremacyi niemieckiéj, była to *pax germanica*, na wzór niby *pax romana*. Pomimo tego, rzecz to znana i widoczna, że ks. Bismark stał się jedną z najgłówniejszych sił, stawiających w naszéj Europie, od stóp do głów uzbrojonéj, opór wybuchowi téj wojny straszliwéj, do któréj wszyscy się przysposabiają, któréj każdy oczekuje, a któréj tragiczną konieczność wszyscy odpychają z trwogą. Całkiem inném byłoby pytanie, ażali ta zmora, gniotąca naszą cywilizacyę, nie jest pod pewnym względem gorszą od nagłego wybuchu wielkiéj burzy“.

Pod względem uspokojenia Europy, ani zaręczenia nowego kanclerza, ani listy cesarza nie będą miały téj siły i znaczenia, jakie miała obecność ks. Bismarcka w rządzie. Kanclerz będzie szczerym, cesarz, także, ale nowy kanclerz jest tylko pierwszym urzędnikiem cesarza nie posiada i posiadać nie może téj władzy, prawie nieograniczonéj w kierowaniu sprawami zagranicznemi monarchii, jaką jeszcze do niedawnego czasu posiadał ks. Bismarck. Cesarz jest młody i, jak się zdaje, zmienny, a jeden z dzienników petersburskich stał się echem tych przekonań, pisząc: „Wilhelm II teraz bawi się w socyalizm państwowy, w kwestyę robotników; gdy go to znudzi lub zawiedzie, przyjść mu mogą fantazye wojenne“.

Od dnia dymisyi ks. Bismarcka po Berlinie krążą pogłoski o projekcie zmniejszenia piechocie lat służby w armii czynnéj. Byłby to najskuteczniejszy, bo faktyczny sposób wzbudzenia wiary w stanowczo pokojowe usposobienia Wilhelma II. Dopóki jednak pogłoski te urzędownie potwierdzonemi nie zostaną, dopóty, dla wielu powodów, nie dajemy im wiary, témbardziéj, że zapowiadają jednocześnie przedstawienie sejmowi rzeszy projektów powiększenia artyleryi polowéj o 100 bateryj, oraz innych, znacznego bardzo zwiększenia budżetu wojny wymagających. Nie myślą więc dotąd wcale o zmniejszeniu ołowianego garnituru.

Oto w skróceniu powody, albo raczéj powód, dla którego w Europie dymisya ks. Bismarcka zrobiła tak wielkie wrażenie, iż niektóre dzienniki twierdzą, że dymisya ta więcéj znaczy, niż niejedna zmiana, nawet bardzo poważnego, panowania. Teraz należy przejść do Niemiec i rozpatrzéć, jakie następstwa zmiana ta może tam za sobą pociągnąć, jaki pozostał spadek po owym wszechwładnym niegdyś kanclerzu, który wprawdzie nie panował, ale, samowładnie prawie, przez blisko

ćwierć wieku rządził tem państwem. Inwentarz tego bardzo ciężkiego spadku może być długi; wprzód jednak zobaczmy, co mogło być powodem niesnasek między młodym i niedoświadczonym monarchą a starym i doświadczonym kanclerzem, którego Wilhelm II był prawie wychowańcem, którego jeszcze przed dwoma laty, na dwa miesiące przed objęciem tronu, publicznie tak czcił, iż go prawie wyraźnie wyżéj nad swego ojca stawiał. To usposobienie cesarza dla kanclerza, o ile zdala i tylko ze znanych powszechnie faktów ocenić można, trwało przeszło rok. Jeszcze w styczniu r. z. Wilhelm II zdawał się być tylko posłuszném narzędziem w ręku ks. Bismarcka, podpisującém co ten zaleci, pozwalającém na ogłaszanie tego, co kanclerz za dobre uzna (raport kanclerza z 23 września 1885 r., z powodu ogłoszenia przez Geffkena wyjątku z pamiętników cesarza Fryderyka, takiż raport z 13 stycznia 1889 r. z powodu wyroku sądu najwyższego, którym tenże sąd uniewinnił Geffkena, przeciw temu wyrokowi zwrócony etc.). Cała ta sprawa i to nienawistne szarpanie pamięci Fryderyka III, ojca dzisiejszego cesarza, rzuca bardzo niepochlebne światło na początki tego panowania i wskazuje niezmierną uległość młodego cesarza dla swego głównego doradcy. Przez ten rok Wilhelm II zajęty był nieustannemi podróżami, paradami, przeglądami wojsk, wypowiadaniem różnych mówek, wydawaniem dekretów regulujących kwestye etykiety dworskiéj i ceremoniałów. Nawet w podróży jednak cesarz nie zaniedbywał składać dowodów pamięci swemu kanclerzowi, przysyłając mu, ogłaszane następnie, telegramy z Aten i Stambułu, zdające naiwnie sprawę z wrażeń doznawanych. Zdawało się, że znowu Wilhelm II będzie panował i reprezentacyą państwa na zewnątrz się zajmował, zaś książę Otto Bismarck będzie rządził i polityką państwa wszelaką kierował. Wprawdzie książę odzywał się, że młody cesarz potrafi się obejść bez kanclerza i sam sobie kanclerzem będzie, ale uważano te słowa za zręcznie wyrachowane *ad usum Delphini* pochlebstwo.

Ku końcowi lata r. z. rzeczy jakoś inny zaczęły przybierać pozór. Dzienniki napomykały o „frykcyach“, czyli starciach politycznych; gadzinowe, czyli kanclerskie, pisały o intrygach i intrygantach. Wymieniano nawet niektóre osobistości, a pomiędzy niemi generała hr. Waldersee, do téj pory szefa wielkiego sztabu generalnego, który ten najwyższy wojskowy, a może najważniejszy w państwie tak militarném, urząd otrzymał po marszałku Moltkem, z rąk Wilhelma II. Hrabia podobno dostał w tych czasach *consilium abeundi* i wyjechał do San-Remo. Dymisya jego, jeżeli się ta pogłoska sprawdzi, byłaby wypadkiem bardzo ciekawym i dla charakterystyki nowego panowania ważnym. Hrabia Waldersee bowiem uchodził dotąd za najbliższego pou-

fnego doradcę i nawet prawie za przyjaciela Wilhelma II, o ile królowie przyjaciół mieć mogą. Hrabia uchodził też za najzaciętszego z wrogów kanclerza. Dzienniki gadzinowe, z rozkazu kanclerskiego, prawie imiennie oskarżały go o tę zbrodnię *laesi cancelarii.*

Kanclerz istotnie miał zawsze mnóstwo wrogów. Szczycił się tém nawet, mówiąc w sejmie: „Im więcéj wrogów, tém więcéj honoru“. Przyjaciół nie miał, ani się o nich starał. Miał tylko dworaków, pochlebców, klientów, fagasów, wielbicieli, może nawet szczerze przywiązanych, ale korzących się wiecznie przed jego wielkością, piszących na jego cześć i z jego pozwoleniem, może nawet z jego korektą, wielotomowe panegiryki (Bush, Hesekiel etc.), na których doskonałe robili interesa. Ale przyjaciół mieć nie mógł. Nie pozwalała mu na to najprzód bezgraniczna dla ludzi pogarda: „Na téj ziemi niema nic, oprócz szalbierstwa i oszustwa“ —pisał do żony w liście z Petersburga d. 2 lipca 1859 r. Przez następne lat trzydzieści, a właściwie dwadzieścia ośm, od chwili objęcia rządów, jako pierwszy minister pruski (w 1862) czynami swemi dowodził, że to zdanie o nędzocie moralnéj człowieczeństwa nie było wyskokiem złego humoru, ale przekonaniem wyrobionem i zakorzenionem. Zdanie to może służyć za klucz moralny, by objaśnić postępowanie ks. Bismarcka z ludźmi pojedyńczymi, z kolegami ministeryalnymi, krajowymi i zagranicznymi, ze stronnictwami. Zawiązywaniu przyjaźni zawadzał także temperament bardzo gwałtowny, a w miarę lat i wzrostu powodzenia coraz drażliwszy i przeciwieństwa nie znoszący, oraz upór, pycha i zarozumiałość niezmierna. Umiał on wprawdzie panować nad sobą, gdy tego koniecznie było potrzeba, umiał nawet być układnym. Ale była to układność tresowanego lwa, pod którą czuć zawsze dzikość. Jeszcze do 1870 można było z nim mówić, był przystępny, pozornie otwarty, słuchał uważnie i bronił swego zdania, ale późniéj coraz bardziéj mnożyły się objawy uporu namiętnego i jakby fanatycznéj wiary w swą nieomylność. Wszelkie przeciwne rozumowanie, chociażby na najgłębszych specyalnych argumentach oparte, traktował pogardliwie, nazywając je pedanteryą, szkołactwem, następnie zaś prześladował je jakby osobistą przeciw niemu nieprzyjaźń. Coraz téż więcéj odosobniał się, od ludzi do Warcyna uciekał, samotności szukał. Od pomocników swych i współpracowników ni rady, ni przedstawień nie przyjmując, wymagając tylko posłuszeństwa i umiejętnego wykonywania rozkazów. Był to najabsolutniejszy z biurokratycznych władców. Bo władcą był ks. Bismarck istotnym. Absolutyzm ten zaś nie był nawet miarkowany ogładą form towarzyskich, o które książę nie ubiegał się wcale, gdy mu gwałtownie potrzebnemi nie były, gdy nie usiłował kogoś zwabić w swe sidła. Gdzie mógł tyl-

ko, tam był brutalnym i z temperamentu i z zamiłowania, a może z wyrachowania nieraz.

Z temperamentu gwałtowny, był on z c rakteru zacięcie mściwy (hr. Arnim, Kraszewski, Momsen etc.), a wsz kiemi etycznemi względami w polityce pomiatał. Politykę zaś nadto c sto z swoim egoizmem zespalał. Nie cofnął się przed żadnem szalbierstwem. Hrabia Beust, do 1866 r. minister saski, następnie zaś kanclerz austryacki, pisze w swoich pamiętnikach, wydanych w 1887 r. z powodu wojny duńskiéj:

„Jest w tém coś obrażającego uczucie publiczne, gdy dwa wielkie mocarstwa, posiadające siłę dwadzieścia razy większą, napadają na małe królestewko. Wiele rzeczy bardzo nieprzyjemnych musiałem wówczas z tego powodu wysłuchać i w Paryżu i w Londynie. A jednak wojna ta była hazardem, którego niepowodzenie mogłoby było postawić gabinety wiedeński i berliński w położeniu gorzéj aniżeli trudném. Gdyby w Kopenhadze lepiéj swój interes rozumiano, to Duńczycy, po odpowiedniém zaprotestowaniu, byliby opuścili Szleswig bez wystrzału. W obec kolosalnéj przemocy Niemców i Austryaków, ustąpienie podobne nie byłoby hańbą. Wojska austryackie i pruskie zajęłyby Szleswig, a przy nieuniknionéj wówczas interwencyi Anglii, Rosyi i Francyi przyszłoby do układów, które w najgorszym razie zmusiłyby Danię tylko do ustępstw konstytucyą wymaganych. Cóż wówczas? Szleswig musiałby zostać opuszczony, a dwa mocarstwa byłyby przez Europę, z mocy układów, zmuszonemi nie pozwolić na zajęcie tegoż Szleswigu dla księcia Holsztynu (Augustenburga), uznanego przez *Bund* niemiecki. Łatwo sobie wyobrazić, jaki obraz przedstawiałyby Niemcy przy ówczesném usposobieniu. Niebezpieczeństwa tego uniknąć zdołano, dzięki bismarkowskiemu szczęściu, właściwie zaś dzięki najgłówniejszemu tego nadzwyczajnego człowieka przymiotowi, dla którego tylko w języku angielskim znajduje odpowiedni wyraz—*unscrupulous.* Przetłómaczyć ten wyraz trudno. Bezwzględność—to za mało, bezsumienność to może za wiele. W kilku wyrazach znaczy to człowieka, dla którego każdy środek dobry, nie wybrednego w środkach i t. p. W roku 1865 widziałem Bismarcka w Gasteinie, mówiąc z nim o tém, wtrąciłem: „O jedném pan zapominasz, coby się było stało, gdyby Duńczycy ustąpili bez walki“.—„Co do tego, odrzekł B., postarano się, by tak nie było. Dałem znać w Kopenhadze, że Anglia zagroziła nam w razie napadu czynną interwencyą, a takiéj groźby wcale nie było“—„Co prawda, powiedziałem, kończąc rozmowę, takich rzeczy nie umiano we Frankfurcie“.

Podobnych robót, czy takich szalbierstw, ks. Bismarcka w poli-

tyce zagranicznéj już dziś odkryto więcéj. Tu wspomnieć można ów podstęp z Benedettim przed wojną z r. 1870 co do projektu rozbioru Belgii, na który ten ambasador francuski dał się złapać jak student, dostarczywszy ks. Bismarckowi dokument, który ten natychmiast posłał do Londynu, by sparaliżować wszelkie Napoleona o przyjaźń angielską zabiegi. Z pewnością historya odkryje podobnych podstępów mnóstwo w stosunkach kanclerza z wszystkiémi mocarstwami przyjaznemi, a zwłaszcza sąsiedniemi. Z wszystkiemi, żadnego nie wyłączając.

Ale kłamstwem i szalbierstwem odznaczało się jego postępowanie nawet w stosunkach z własnym królem, jeżeli ten opiérał się projektom ministra. Pod tym względem już dziś nietylko podejrzeń, ale prawie dowodów dostarcza obszerna praca generała La Marmora, pod tytułem „*Un poco piu di luce*“, obejmująca dokumenta bardzo ważne, dotyczące układów, prowadzonych przez generała Govone w Berlinie o przymierze włosko-pruskie przeciw Austryi w roku 1866. Wilhelm I był téj wojnie przeciwny, lękał się jéj i miał pewne moralne skrupuły. Bismarck jéj pragnął. Zdaje się, że obejmując ministerstwo pruskie w 1862 już z tą myślą do Berlina z ambasady zagranicznéj przyjechał. Wkrótce po przyjeździe bowiem powiedział do jednego z dyplomatów: „że przedewszystkiem chodzi rzecz o wytworzenie sobie króla zuchwałego (*kecken*)“. Nienawidził on Austryą od lat dziesięciu, od czasu swego posłowania w bundestagu frankfurckim. Poprzednio był tak dla jéj konserwatyzmu i reakcyi przyjaznym, iż słynną konferencyą ołomuniecką, która tak upokorzyła i poniewierała Prusy, jakby błogosławieństwo traktował. Wówczas jednak był jeszcze bardzo małą figurą w urzędowéj hierarchii, a karyera jego zależała wielce od łaski znanego barona Manteuffela, prezesa ministrów pruskich, który pod naciskiem Cesarza Mikołaja konwencyą ołomuniecką zawiérał. W 1862 r. Bismarck, przebywszy lat kilka w Frankfurcie, następnie na ambasadach w Paryżu i Petersburgu, posiadał już znaczenie wielkie. Genialnym rzutem oka zrozumiał on, jak można skorzystać z wypadków z 1862 i 1863, jak można zyskać przez nie poparcie Rosyi, jak przy tém poparciu można zgnieść Austryą, rozbić stary związek niemiecki i Prusom hegemonię wyłączną w Niemczech zapewnić. Genialnéj trafności tego sądu winien on początek tego szeregu tryumfów, do których mu, troskliwie zyskiwana, życzliwość Rosyi tak dopomogła w 1866 i późniéj, a które mu tak wielką w historyi zapewniły kartę. Ale potrzebował sobie jeszcze „wytworzyć króla zuchwałego“. I wytworzył go. Ale jakiemi środkami?

Czytając pilnie dokumenta w dziele gen. La Marmora, każdy się

zgodzi z zdaniem K. Franza, który pisze: „Stwierdzono tu dokumentami, że polityka ks. Bismarcka od początku konfliktu (z izbą pruską) ciągle sterowała ku wojnie z Austryą i w tym celu przygotowywała *casus belli*, król zaś w dobréj wierze przekonany był, że go zmuszają do wojny, któréjby pragnął, jeżeli się tylko da, uniknąć. Inaczéj tego objaśnić nie można jeno tém, że sprawy nie bywały królowi przedstawiane tak, jak one szły rzeczywiście“. Ponieważ zaś obowiązkiem ministra jest sumiennie przedstawiać monarsze wszystko tak, jak rzeczywiście, wedle jego wiadomości, idzie; K. Franz dochodzi do wniosku, że ks. Bismarck systematycznie króla wprowadzał w błąd, nikt bowiem lepiéj od niego nie wiedział, jak się *casus belli* przygotowywał.

Nie była to zresztą z wielu względów łatwa robota i przyznać należy, że szalbierstwo było genialnie przeprowadzone. Po r. 1866, po Sadowie, a zwłaszcza po Sedanie, ks. Bismarck posiadał środki i sposoby, które mu w przeprowadzeniu tych kombinacyi niezmiernie pomagały. Do takich można zaliczyć także osławioną prasę gadzinową, ze wszystkiemi jéj, zwłaszcza tajnemi, gałęziami.

Z pewnością nie szczegóły podobne, chociażby nawet jaskrawsze, odwróciły posłuszne serce Wilhelma II od jego mistrza i kanclerza, kiedy serca tego nie odwróciło postępowanie tegoż kanclerza z ojcem i poprzednikiem, z Fryderykiem III. Kto i co oddziałać mogło na cesarskie usposobienie, nie wiadomo, dość, że w lecie r. z. nastąpiła widoczna zmiana uczuć. Wprawdzie już w roku 1888 mówiono, że pomiędzy kanclerzem a cesarzem brak harmonii, że w wielu razach cesarz albo nie pyta kanclerza o radę, albo, gdy jéj zażąda, nie idzie za nią. Te pogłoski wzmocniły się bardzo w roku zeszłym w czasie wielkiego bezrobocia w kopalniach i fabrykach Westfalii i Prowincyi Nadreńskiéj. Cesarz wówczas przyjmował przedstawienia i skargi robotników tak łaskawie i przychylnie, że ks. Bismarck otwarcie tę pobłażliwość naganił i gadzinowéj prasie występować przeciw niéj kazał. Cesarz jednak ciągle zachowywał pozory najgłębszéj czci i najzupełniejszéj uległości, w których nawet daléj aniżeli dziad jego zachodził. Często odwiedzał kanclerza, a nawet jego syna, hr. Herberta, wiedząc że to ojcu bardzo pochlebia, wracając zaś z norwegskiéj wycieczki, naprzód udał się do kanclerza, nocował w jego wiejskiém ustroniu i cały następny dzień u niego przepędził.

Ale już wówczas zauważono, że więcéj w tych uprzejmościach pozoru aniżeli prawdy. Najlepiéj pono widział to sam ks. Bismarck, wielki znawca ludzi, którego bystre oko nie dało się złudzić układnością. Zamknął się jeszcze szczelniéj u siebie, przez całą zimę siedział w Friedrichsruhe, a do Berlina dopiéro w końcu stycznia przyjechał.

Przez ten czas pracowali jego nieprzyjaciele, spiskowały przeciw niemu okoliczności, a i sam cesarz coraz bardziéj oswajał się z myślą, że nietylko bez księcia Bismarcka obywać się może, obywać się musi, ale nawet pozbyć go się powinien, jeżeli ma nietylko panować, ale i rządzić, jeżeli on młody, pełen życia, Hohenzollern, niema stać się podobnym swemu zgrzybiałemu dziadkowi, którego Bismarck otaczał pozorami czci najgłębszéj, w istocie jednak jako samowładny pan z nim co do spraw państwa wychodził. Wiedział zresztą Wilhelm II co znaczy owa cześć, któréj i jego młodym latom książę nie szczędził. Pamiętać musiał, że ten sam kanclerz, który, na powitaniu w wagonie, całował kornie jego ojca rękę, odbierając manifest do ludu z powodu objęcia tronu nie przez niego napisany, w trzy tygodnie potém w swych gadzinowych organach występował jako wróg zajadły Fryderyka III, a zwłaszcza jego żony, którym żadnych nie szczędził zniewag, nie zważając, że nietylko osobom ich ubliża, ale nawet i monarchiczną podkopuje zasadę. Może téż Wilhelm II przypomniał sobie teorye p. Bismarcka, misye, jakie mu powierzał, gdy ojciec jego konał powoli w San-Remo. Może wniknął głębiéj w to zdanie podobnych wielkiemu kanclerzowi umysłów: że kto bezwarunkowo pogardza ludźmi, ten nimi włada; wówczas bowiem wié, czego można się spodziewać i czego żądać od chciwości jednych, od zazdrości innych, od podłości trzecich, od hypokryzyi czwartych, od miłości własnej, próżności i egoizmu lub tchórzostwa największéj ich części. Ks. Bismarck tę pesymistyczną teoryę bardzo szeroko stosował, nieraz bardzo cynicznie, podobnie jak od wieków tylu innych przed nim wielkich polityków i z równie pomyślnym do czasu skutkiem. Są to jednak kwestye psychologii politycznéj, których w zastosowaniu do danego wypadku rozwijać nie możemy.

Zdaje się, że wróciwszy do Berlina, sam książę Bismarck czuł, że dni jego władzy, téj władzy nieograniczonéj, władzy nad państwem i nad panującym— a taką on jedynie dla siebie pojmował—są już policzone. Niezmiernie wzrosła liczba kwestyj, w których jego zdanie różniło się ze zdaniem nowego cesarza, budzącego się do rzeczywistych rządów i pragnącego rządzić. W pięć dni po jego powrocie nastąpiło mianowanie barona v. Berlepsch ministrem handlu, którego usunięto z pod wpływu kanclerza, nie zaliczając nowego ministra do składu ministeryum państwa. W d. 4 lutego miał miejsce ów parlamentarny u ks. Bismarcka obiad, na który się cesarz sam zaprosił, podobnie jak na poprzedni, i na którym kanclerz głośno powiedział, że zamierza złożyć ciężar prowadzenia spraw pruskich na młodsze barki. To zapraszanie się cesarza na owe obiady podobno bardzo drażniło księcia. Widział w tém kontrolę i konszachtów i swéj swobody. Obiady bowiem te służyły do narad,

konszachtów i obrabiania posłów. Wówczas też równie głośno powiedział, że już nie może cesarzowi imponować (*imponiren*). Było to melancholiczne wyznanie, że traci wpływ. Cesarz przeciwnie na tym obiedzie z wielką swobodą rozwijał swe poglądy o opiece nad robotnikami, pytał o zdanie wielu posłów, zapowiedział zwołanie rady stanu do rozbioru tych kwestyj. Na drugi dzień ogłoszonemi zostały edykta cesarskie bez kontrasygnaty kanclerza, w przedmiocie zwołania międzynarodowéj konferencyi, o któréj wspomnieliśmy na początku tego artykułu. Edykta ogłoszone w d. 5, noszą jednak datę 4, zatém podpisane były w dniu owego obiadu, który historycznym nazwać można. Od niego bowiem datuje się dla Niemiec i dla Europy koniec ery Bismarcka, a początek ery Wilhelma II. Już obecni na tym obiedzie zauważali, iż z wystąpieniem cesarza ks. Bismarck zmalał bardzo, że on, który dotąd był wszędzie wszystkiém, tu, we własnym domu i przy własnym stole, znalazł się bardzo opuszczony. Wszystko cisnęło się koło cesarza. To odosobnienie uderzało témbardziéj, iż wiedziano, że kanclerz w téj sprawie robotniczéj nie podziela zdania Wilhelma II i sądzi, że ten w swoim państwowym socyalizmie zachodzi za daleko, że się może zagalopować, że w każdym razie czekają go nietylko wielkie trudności, ale i ciężkie rozczarowania, może nawet niebezpieczne zawody.

W dwa tygodnie po owych edyktach i po owym obiedzie nastąpiły wybory powszechne do sejmu rzeszy. Wybory te wypadły jak najgorzéj dla rządu; kartelowe stronnictwa, przez rząd, a nawet i przez cesarza popierane, pozostały w mniejszości; wszystkie stronnictwa opozycyjne wzrosły w siłę. Najpotężniéj wzrośli socyaliści. Wprawdzie w izbie zasiada tylko 35 demokratów socyalnych, ale liczba wyborców tego stronnictwa podwoiła się. Z 700,000 (w okrągłéj cyfrze) przed laty trzema, wzrosła do przeszło 1,300,000. O ile do tego, niepokoić mogącego wzrostu przyczyniły się owe edykta cesarskie, obliczyć trudno, w każdym razie zaszkodzić mu nie mogły, czy nie zdołały. Naród więc, po ćwierćwiekowém bałwochwalstwie potępił politykę wielkiego kanclerza, przerażony wewnętrznemi następstwami tryumfów, jakie ta polityka genialna na zagraniczném polu odnosiła!

Ten wypadek wyborów prawdopodobnie przyśpieszył rozwiązanie. Naród oświadczył się przeciw kanclerzowi, cesarz więc nie potrzebował kanclerza oszczędzać. Zdaje się, że ks. Bismarck sam czuł, czy wiedział, że wszelkie usiłowania utrzymania się przy władzy na nic się nie przydadzą. Dziwnie bowiem obojętnie zachowywał się w obec agitacyi wyborczéj. Prasa gadzinowa miotała się z urzędu, ale jakoś bezładnie. Nie wymyślono żadnego hasła, któreby mogło

zelektryzować wyborców. Przed laty trzema hasłem była obawa wojny na dwóch frontach, a zwłaszcza groźne przygotowania Francyi. Hasło to nie było nowe, ale od lat dwudziestu okazywało się zawsze dla Niemców skutecznem. Jedynem hasłem, na jakie się zdobyto, było: „Precz z demokracyą socyalną, wrogiem państwa i społeczeństwa“. Na to hasło socyaliści odpowiadali urzędowcom, pokazując edykta cesarskie i dowodząc, że stronnicy rządu są za Bismarckiem tylko, ale nie są z cesarzem.

Przez miesiąc cały rzeczy się ważyły. Kwestya dymisyi księcia kanclerza stała ciągle na porządku dziennym gazeciarskim. Miano nadzieję, że kanclerz z swojéj strony porobi jakieś ustępstwa, że cesarz nie będzie chciał pozbywać się tak doświadczonego pomocnika w chwili, gdy pierwszy za jego panowania wybrany sejm rzeszy tak silnie opozycyjny nosi charakter, że konflikt pomiędzy rządem a tą izbą jest możebny. Kanclerz istotnie porobił pewne formalne ustępstwa w kwestyi socyalnéj, ale jego zachowanie się osobiste powiększało tylko rozdraźnienie wzajemne. Miał np. powiedzieć: że cesarza może to spotkać, iż go przyszły kongres demokratów socyalnych swym honorowym prezesem zamianuje. O konferencyi téż międzynarodowéj, którą cesarz uważa za najprzedniejsze swoje dzieło, wyrażał się z lekceważeniem, może zasłużoném. Ostatecznie rzeczy rozbić się miały o opozycyę kanclerza przeciw zamierzonemu ograniczeniu jego władzy jako prezesa pruskiéj rady ministrów (zniesienie dekretu królewskiego z r. 1852). Pogłoska ta zdaje się bezzasadną. Już raz za Wilhelma I ks. Bismarck zrzekł się tego urzędu, wprawdzie na czas krótki tylko, który oddano marszałkowi v. Roon. W szczegóły i pogłoski zapuszczać się nie możemy. Najbliższém prawdy zdaje się przypuszczenie, że w tém ścieraniu się dwóch osobistości równie zaciętych, dwóch absolutyzmów, kanclerskiego i patryarchalno-cesarskiego, w téj walce między jeszcze bardzo krzepką i doświadczoną a do czynu zawsze zdolną starością, a między niedoświadczoną i właśnie dlatego pewną siebie, oraz władzy nieograniczonéj żądną młodością, starość chociażby najbardziéj zasłużona, chociaż najbardziéj genialna, musiała zostać złamaną. Zwłaszcza gdy się od niéj odwrócił naród, jak to widzieliśmy przy ostatnich wyborach. Tylko naród mógł podtrzymać księcia Bismarcka w walce o władzę z cesarzem, który już przed kilku laty, gdy jeszcze był tylko zwykłym księciem, gdy ojciec jego był zdrów zupełnie, gdy nikt nie przypuszczał, że on tak wcześnie zasiądzie na tronie, na zapytanie: co będzie, gdy Bismarcka zabraknie? odpowiedział: „Wówczas musi się pokazać, co może Hohenzollern“. Dlatego chociażby ks. Bismarck porobił największe ustępstwa, chociażby się zgo-

dził na zupełne obcięcie swéj władzy, nie byłby się utrzymał. Usunięcie jego było z góry i od dość dawna postanowione. Jego olbrzymia historyczna postać, jego zasługi kolosalne na polu polityki zagranicznéj położone, zanadto wielki cień rzucały na osobę młodego cesarza, żądnego władzy, działania, sławy, może wreszcie i przekonanego, że na początek to wszystko znajdzie na polu polityki wewnętrznéj, na którém ks. Bismarck tyle i tak ciężkich, a nawet tak trudnych do naprawienia, popełnił błędów. Tak olbrzymiéj dziejowéj postaci, jak ks. Bismarck, nie można było tak lekko traktować, jak się traktuje pierwszego lepszego ministra, któremu się mówi: „Ja tylko wiem, kiedy mam moje sługi przyjmować, a kiedy i jak je oddalać“. Sługą on był, ale takim, który stworzył cesarstwo niemieckie, a ród Hohenzollernów podniósł do takiego stopnia potęgi i blasku, o jakim przed nim nikt zamarzyć nie śmiał. Więc musiano zadać sobie nieco trudu, nie szczędzić zachodów, zachować pozory. Zdaje się, że berlińska *Gazeta Vossa* prawdę odkrywa, donosząc, że w liście pisanym do Drezna ks. Bismarck twierdzi, iż ustąpienie jego lub pozostanie na urzędzie nie leżało w jego mocy.

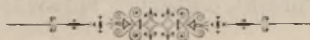
Jeden z najzaciętszych nieprzyjaciół ks. kanclerza, pan L. Bamberger, w końcu 1888 r. powiedział w sejmie rzeszy: „Widzę, iż przyjść może czas, w którym cieszyłbym się, gdyby ks. kanclerz zajmował jeszcze swe miejsce, by wystąpić przeciw temu nadmiarowi reakcyi, jaka się u nas przygotowywa“. Bamberger zajmuje wysokie stanowisko w stronnictwie, dziś znowu potężném, wolnomyślném, czyli ściśle parlamentarném i żądającém wiernego przeprowadzenia systemu konstytucyjnego, ze wszystkiemi jego następstwami. W broszurze pod tytułem „*Die Nachfolge Bismarcks*“, wydanéj w końcu roku zeszłego przypomina on te swoje słowa i dodaje: „Chwila ta nadeszła prędzéj, aniżeli w roku zeszłym myślałem. Tak ona widoczna, iż jesteśmy świadkami bardzo jawnych usiłowań samego kanclerza, by się przeciw tym w tył pchającym zamachom bronić. Czy obrona ta będzie miała jakiś poważniejszy, a zwłaszcza trwały, skutek, to zależy od mnóstwa okoliczności, przedewszystkiem od czasu, jaki jest jeszcze kanclerzowi wymierzony, a zwłaszcza od rozwagi, z jaką się weźmie do téj roboty. Rozwaga jest bowiem słabą stroną i głównym błędem całego jego systematu, jak się ten w ostatnim dziesiątku lat z jego osobistości rozwinął i na zewnątrz uwydatnił“.

Czy przepowiednie reakcyjne p. Bambergera się sprawdzą? Być może, bo już się sprawdziły dwie w téjże broszurze zawarte, a mianowicie: że Bismarck będzie zmuszony przez cesarza do wzięcia dymisyi, oraz, że ktokolwiek na jego miejsce mianowany zostanie, chociażby to

był nawet p. Puttkammer, tak samo, jak ks. Bismarck i przez tych samych ludzi popieranym będzie. „W krajach wolnych, pisze p. Bamberger, podnosi to cześć człowieka, gdy urząd swój dla swego przekonania poświęca; szacunek i współczucie biegną ku niemu, a zwolennicy koło niego skupiają. U nas w Niemczech, jak tylko urząd straci, zaraz spada o kilka szczebli niżéj, a ludzie, którzy go zasypywali oklaskami, gdy mówił do nich z góry, patrzą na niego zézem, gdy koło nich zasiada i przeciw rządowi się odzywa. Gdy ks. Bismarck upadnie, to się o tém przekona, chociaż tak kolosalna jest jego przeszłość. Jakkolwiek upadek ten nie zdaje się prawdopodobnym, jednakże do niemożliwości zaliczać tego nie należy, że książę straci zaufanie korony... Wówczas zobaczymy, że nawet człowiek tak ubóstwiany, jak ks. kanclerz, gdy zostanie usuniętym, naprzód będzie opuszczony przez tych właśnie, z których, jak mu się zdawało, wyrobił sobie najwierniejszych stronników. Z prostego programu: Wszystko dla Bismarcka, z Bismarckiem i przez Bismarcka, zrobi się inny prostszy: Wszystko dla, przez i z tym co rządzi. Tu się zemści na genialnym praktyku przesada jego w realizmie. Przez długie lata tych swoich stronników tak miażdżył i płaszczył, że i każdy mniejszy po nich deptać może, byle tylko wielkie rządowe buty włożył. Imię, chociażby największe, jest tylko czczym dźwiękiem jeżeli nie ma treści; że zaś u nas nie należy pytać o treść a tylko o imię, to było od lat dziesiątka programem rządu. Dziś nawet i o imię nie chodzi... Wytępienie wszelkiéj samoistnéj woli i samodzielnego myślenia, nietylko zamieniło w dogmat wyznawanie bezwarunkowéj uległości przed pewném daném imieniem, ale przed jakiémbądź imieniem na czele rządu postawioném, zarazem temu rządowi państwa przyznając wszechmoc nad całym przestworem życia, aż do najgłębszych korzeni“.

Nad prawdą tych słów już dziś ks. Bismarck rozmyślać może w Friedrichsruhe, zanadto zna wartość popularności, zanadto zresztą jéj słomianym ogniem zawsze pogardzał, by go pocieszać mogły manifestacye uliczne berlińskie przy pożegnaniu, kwiaty, wiwaty, śpiewy, albo tysiące telegramów, jakie może jeszcze dziś odbiéra. Wkrótce to ustanie. Przypomniéć go może tylko reakcya, którą przepowiada p. Bamberger, a którą widzą już i inni; chociaż z początku i przez czas jakiś wszystko będzie w Berlinie szło po dawnemu, a nawet niektóre szorstkości rządowe czasowo złagodzonemi zostaną.

J. Kenig.



OBECNY STAN

NAUKI O TEMPERAMENTACH.

1. Jednem z najtrudniejszych zagadnień psychologii fizyologicznej jest rozwiązanie pytań, dotyczących natury temperamentu. Co to jest temperament? jakie są jego przyczyny fizyologiczne? do ilu form dają się sprowadzić napotykane w nim różnice? Są to pytania, na które dotąd napróżno szukała nauka odpowiedzi i które w obecnym jéj stanie, nastręczają takie trudności, że jeszcze długo potrzeba będzie czekać, zanim ostatecznie zostaną rozstrzygnięte.

Nauka o temperamentach sięga bardzo odległych czasów. Indywidualne różnice między ludźmi należą do faktów tak widocznych, że nie mogły ujść uwagi w najwcześniejszéj dobie umysłowego rozwoju. Jeżeli początkowo miały one wyłącznie znaczenie praktyczne, jako czynnik, z którym trzeba było liczyć się w życiu; to następnie, kiedy myśl zmężniała, uczuła potrzebę zdania sobie sprawy z tego, co spostrzega w sobie i na około siebie, musiało nastręczyć się samo przez się pytanie: czém się dzieje, że ludzie w tych samych znajdujący się warunkach i doznający tych samych wrażeń zewnętrznych, inaczéj czują i inaczéj działają? W owéj atoli dobie, kiedy to pytanie powstało, umysł ludzki nie posiadał żadnych danych do jego rozwiązania. Ubogi w doświadczenie, nieświadomy dróg, któremi myśl dochodzi do wykrycia prawdy, szukał jéj umysł po omacku, zgadywał ją raczéj, niż poznawał, biorąc najczęściéj przywidzenie i urojenie za rzeczywistość. Opiérając się na pośpiesznych uogólnieniach kilku faktów, nie zawsze należycie poznanych, albo, co gorsza, na dowolnych przypuszczeniach, wyprowadzał z nich wnioski, o których sprawdzenie bynajmniéj się nie troszczył.

Najpierwsze teorye, jakie powstały w celu wytłómaczenia istoty temperamentu i jego przyczyn, są wymownêm świadectwem stanu umysłu, w którym, nie będąc zdolny pochwycić naturalnego wątku rzeczy i ich związku, szuka rozwiązania zagadki w dalekich podobieństwach i poprzestaje nieraz na symbolicznêm jéj przedstawieniu, albo na czysto słownêm wyjaśnieniu. Przyznać wszakże potrzeba, że teorye te, pomimo całéj fikcyjności założeń, z jakich wychodziły, mają tę wyższość nad wielu późniejszemi, że miały głębsze poczucie prawdy, że trzymały się gruntu przyrodniczego i w warunkach fizyologicznych upatrywały przyczynę różnic psychicznych, stanowiących podstawę szczególnych form temperamentu.

Za punkt wyjścia dla najstarożytniejszéj teoryi temperamentu, posłużyła nauka Empedoklesa o czterech powszechnych żywiołach: ziemi, która miała być pierwiastkiem zimnym, wodzie — wilgotnym, powietrzu — suchym i ogniu — gorącym. Uważając temperament za przyrodzone usposobienie, wyprowadzała ona zachodzące w nim różnice z przewagi w organizmie ludzkim jednego z owych żywiołów nad innemi. Ponieważ żywiołów tych jest cztery, zatêm cztery tylko przyjmowała odmiany temperamentu: zimny, wilgotny, suchy i gorący, które późniéj dopiéro otrzymały znane powszechnie nazwy: flegmatycznego, melancholicznego, sangwinicznego i cholerycznego.

Cztery te temperamenty uznawał i Hippokrates, ale inaczéj je uzasadniał i inne przyznawał im znaczenie. Zapatrując się na nie ze stanowiska czysto medycznego, uważał je nie za normalne stany organizmu, ale za patologiczne jego zboczenia, wytwarzające w nim wrodzoną skłonność do pewnych chorób. Za właściwą ich przyczynę przyjmował soki żywotne, humory, a mianowicie: krew, powstającą w sercu, flegmę, wydzielaną przez mózg, żółć żółtą — przez wątrobę i żółć czarną—przez śledzionę. Humory te, zostające pod kierunkiem ognia, duchowego pierwiastku, ożywiającego ciało, rozchodziły się po organizmie i dawały początek wszystkim jego sprawom. Z powodu pewnych okoliczności, w samym organizmie leżących, albo téż pod wpływem nieprawidłowego działania ognia, jeden z owych humorów mógł się wytwarzać w ciele w nadmiernéj ilości, albo przenikać do tych jego części, w których być nie powinien, i w ten sposób stawał się przyczyną zaburzeń i zmian patologicznych.

Teoryą temperamentów opracował ostatecznie Galen, który, przyjąwszy w zasadzie zapatrywania Hippokratesa, starał się je pogodzić z tradycyjną nauką Empedoklesa. Przedewszystkiém przywrócił temperamentom ich dawne znaczenie, jako normalnym usposobieniom organizmu. Szczególne ich własności tłómaczył przewagą jedne-

go z czterech humorów Hippokratesowych. Humory te atoli poczytywał za wytwory krwi, która podług niego, jest głównym humorem i w któréj skład wchodzą żywioły Empedoklesowe. Oprócz czterech głównych temperamentów, których dzisiejsze nazwy jemu zawdzięczają swe ustalenie, przyjmował jeszcze cztery mieszane, a nadto ponad wszystkiemi ośmioma dziewiąty, idealny, będący doskonałą równowawagą głównych.

W téj formie, jaką teoryi temperamentów nadał Galen, przetrwała ona prawie bez zmiany aż do XVIII-go wieku, ciesząc się bezwzględném uznaniem, podobnie jak wszystko, co miało za sobą powagę czasu i imienia. Wprawdzie w średnich wiekach, w czasie nieograniczonego panowania astrologii i alchemii, uległa ona czasowo ich wpływom, wpływy te atoli nie zostawiły na niéj żadnych śladów.

Pierwszym, który się odważył targnąć na powagę Galena i na jego tłómaczenie temperamentu, był sławny Paracelsus. Ten, zamiast tradycyjnych żywiołów, wchodzących w skład krwi, ogłosił siarkę, merkuryusz i sól za jedyne pierwiastki organiczne i stosownie do tego ustanowił trzy temperamenty. Głównym wszakże reformatorem tak nauki o temperamentach, jak i całéj medycyny, stał się Stahl. Poddawszy ostréj krytyce teoryą żywiołów i humorów, uznał krew za jedyny płyn, ożywiający ciało i dający początek wszystkim sprawom życiowym, których ostateczną przyczyną miała być dusza. Różnice temperamentu pochodzą wyłącznie z różnych własności krwi. W temperamencie cholerycznym krew zawiéra w sobie wiele materyi siarczanych i dlatego jest mniéj płynną, łatwiéj się rozgrzéwa i ulega prędko fermentacyi; we flegmatycznym—krew jest wodnista, mniéj zapalna i niepodlegająca fermentacyi; w sangwinicznym—krew, nie będąc ani siarczaną, ani wodnistą, jest umiarkowanie płynną, z lekka ciepłą, różową i posiada normalną ruchliwość; w melancholicznym—krew jest gęsta, ziemista a w ruchu powolna i ociężała. Nie poprzestając na tém czysto anatomicznem określeniu temperamentów, postanowił uzupełnić je charakterystyką ich pod względem fizyologicznym i psychologicznym. Jak w przyznawaniu krwi różnych własności nie wiele się troszczył o fakty i dbał o to, ażeby te hipotetyczne własności zgadzały się z tradycyjnemi znamionami temperamentów; tak podobnież w charakterystyce fizyologicznéj i psychologicznéj wszystkie cechy wzięte są nie z obserwacyi, ale wysnute dedukcyjnie z przypuszczalnych własności krwi i z utrwalonych tradycyą znamion duchowych pojedyńczych temperamentów. Charakterystyka fizyologiczna jest o tyle fantastyczna, że przy jakiéj takiéj znajomości fizyologii łatwo można ocenić jéj wartość; inaczéj ma się rzecz z psychologiczną. Ta ścisłością swych okre-

śleń, ogarniających najdrobniejsze szczegóły, oraz konsekwencya, z jaką te szczegóły jedne z drugich wynikają i układają się w doskonałą całość, wolną od wszelkich sprzeczności, zwodzi i budzi przeświadczenie, że jest owocem długich i pilnych spostrzegań, pomimo, że doświadczenie codziennego życia poucza nas dokładnie, że nie ma na świecie istoty, któraby, czy to w dobrém, czy w złem, była doskonałą w sobie harmonią. Jakoż teorya Stahla cieszy się jeszcze pewną popularnością, szczególniéj wśród ludzi, którzy posługują się nabytemi pojęciami i wierzeniami, jak zdawkową monetą, nie troszcząc się o ich rzeczywistą wartość.

Tą samą drogą czczych domysłów i pustych frazesów poszedł także Plattner, sławny w swoim czasie medyk i filozof. Przyjąwszy dwa pierwiastki w organizmie ludzkim: duchowy i zwierzęcy, z różnic ich jakościowych i ilościowych wyprowadzał różnice temperamentu. Podług niego cztery są główne temperamenty: rzymski, posiadający wiele duchowości i wiele zwierzęcości, lidyjski—mało duchowości i wiele zwierzęcości, attycki — wiele duchowości i mało zwierzęcości, frygijski mało duchowości mało zwierzęcości. Każdy z tych temperamentów dzieli się na dwie odmiany, stosownie do dwojakiéj własności pierwiastku zwierzęcego, który bywa albo łagodnym, delikatnym, albo gwałtownym, grubym. Pod tym względem rozważane temperamenty są następujące: męski, ognisty, eteryczny, melancholiczny, sangwiniczny, beotycki, flegmatyczny i hektyczny.

Właściwe pojmowanie zagadnienia i traktowanie go bardziéj naukowe, polegające na tłómaczeniu rzeczy nieznanéj za pomocą znanéj, rozpoczyna się dopiéro od Hallera, wznowiciela doświadczalnéj metody w fizyologii. Wykrywszy, że własnością mięśni jest pobudliwość, t. j. zdolność kurczenia się po zadrażnieniu niezależnie od nerwów, uznał on pubudliwość mięśni, oraz wrażliwość nerwów i różny ich do siebie stosunek za jedyną przyczynę temperamentów. Heinroth przeciwnie przyczynę ich upatrywał w wygórowanéj czynności jednego z głównych układów organicznych. Nadmierna czynność układu limfatycznego wytwarzać ma temperament flegmatyczny, żylno-żółciowego — melancholiczny, tętniczego — sangwiniczny i nerwowego—choleryczny.

Kant, zapatrując się na temperamenty ze stanowiska czysto psychologicznego, podzielił je na dwie grupy: uczuciowe, do których zaliczył sangwiniczny i melancholiczny, i czynne, do których mają należéć flegmatyczny i choleryczny. Jednocześnie z zapatrywaniem Kanta powstało inne, które różnice temperamentów wyprowadzało z wrodzonych usposobień do różnych uczuć i namiętności. O wiele późniéj Ca-

rus do dwóch głównych temperamentów, przyjętych przez Kanta, dodał trzeci, umysłowy, który dzielił się na dwie odmiany: na zmysłowy i rozumowy.

Jak wiadomo, po Kancie zapanował kierunek spekulacyi metafizycznéj, która, uznawszy doświadczenie za niepotrzebne rusztowanie w sprawie poznania, szukała prawdy bezwzględnéj w abstrakcyjném *ja*, mającém stanowić istotę ducha indywidualnego. Z wykrytéj, drogą wewnętrznego ruchu myślenia, prawdy wysnuwano następnie za pomocą dedukcyi całą treść rzeczywistości, a chociaż ta bynajmniéj nie zgadzała się ze światem konkretnym, nie wiele sobie z tego robiono, utrzymując, że zadaniem filozofii nie jest przedstawiać rzeczy, jakiemi są, ale jakiemi być powinny.

Na te tory rozbujałych fluktów została także sprowadzana teorya temperamentów. Nie troszczono się odtąd o fakty i zabawiano się w różnego rodzaju pomysły, stosownie do apriorystycznych założeń, właściwych oddzielnym systemom filozoficznym. Wprawdzie kierunek realno-idealny, który zapanował nad umysłami po fatalném bankructwie spekulacyi Heglowskiéj, przywrócił pewne prawa faktom doświadczalnym, traktował je jednakże po macoszemu, podporządkowując je pojęciom wygórowanego spirytualizmu. To téż teorya temperamentów na téj zmianie kierunku filozoficznego nic wiele zyskała. Tak np. Rosenkrantz, jeden z przedstawicieli realno-idealnego kierunku, przyjąwszy w całości teoryą Heinrotha, czyni zastrzeżenie, że w każdym razie przewagi jednego z głównych układów organicznych nie można uważać za przyczynę szczególnych temperamentów, gdyż sama ta przewaga jest bezpośredniém następstwem jednostronności duszy, że zatém temperament jest niejako organem duszy, która go wytwarza dla siebie i za jego pomocą objawia swą jednostronność.

Nieskończona różnorodność zdań i mniemań, sprzeczności w zapatrywaniach na tę samą rzecz, a co więcéj, zupełna dowolność twierdzeń, musiały z konieczności doprowadzić do przeświadczenia, że wszystkie dotyczasowe usiłowania w celu wytłómaczenia istoty temperamentu, były po prostu pracą Syzyfową, że temperament jak był, tak i dotąd pozostaje zagadką, dla rozwiązania któréj nauka nie posiada jeszcze dostatecznych danych. Ale gdy jedni, kierując się tém przeświadczeniem, radzili odłożyć wszelkie poszukiwania nad temperamentem do czasu późniejszego, kiedy będą zebrane potrzebne materyały i dokładniéj zostaną poznane sprawy organiczne, tudzież ich stosunek do czynności duchowych; to inni całe zagadnienie uznali za fikcyą, utrzymując, że wszelkie typy temperamentów są abstrakcyami, którym w rzeczywistości nic nie odpowiada, że nie ma człowieka, któregoby

usposobienie organiczne pozostawało zawsze têm samém, że każdy może jednocześnie posiadać dwadzieścia do trzydziestu temperamentów, a nawet więcéj (Beneke). Przestano odtąd zajmować się temperamentem. Nie podkopało to jednakże jego znaczenia u ogółu, który, nieświadomy sporów naukowych i trudności zagadnienia, trzymał się tradycyjnego podziału temperamentów, poprzestając na ich nieokreśloném znaczeniu, dającém się tłómaczyć, jak się komu podobało.

Ostatniemi dopiéro czasy na nowo przystąpiono do zadania, zabrawszy się do rzeczy z większym zasobem faktów i z dokładniejszą znajomością wymagań naukowego badania. Na szczególną pod tym względem uwagę zasługują teorye Henle'go, Wundt'a i Sully'ego.

Henle, sławny anatom niemiecki, zajął się przeważnie fizyologiczną stroną temperamentu. Teorya jego jest, ściśle rzeczy biorąc, teoryą Hallera, przerobioną stosownie do wymagań dzisiejszéj wiedzy. Pobudliwość mięśni, uważana przez Hallera za jeden z głównych czynników, wpływających na wytworzenie różnic temperamentu, zastąpiona jest u Henle'go przez wrażliwość nerwów ruchowych. Punktem wyjścia dla jego teoryi jest twierdzenie, że nerwy czuciowe i ruchowe przed podrażnieniem posiadają pewien stopień napiętości, zależny najprzód od posiadanéj przez nie sumy energii organicznéj, a następnie od pobudzeń czysto wewnętrznych. Stopień napiętości nerwów, będący głównym warunkiem ich pobudliwości, bywa różnym i różnice te stanowią istotę pojedyńczych temperamentów. W temperamencie flegmatycznym pobudliwość nerwów czuciowych i ruchowych jest słaba; w sangwinicznym wielka, ale suma energii rozporządzalnéj prędko się wyczerpuje; w cholerycznym stopień pobudliwości jest wielki i wielką jest trwałość energii życiowéj, która nie daje się prędko zużyć; w melancholicznym energia jest wielka, ale przy wysokim stopniu pobudliwości nerwów czuciowych, nerwy ruchowe odznaczają się słabą napiętością i są mniéj wrażliwe.

Wundt i Sully wszelkie wnioski, dotyczące fizyologicznych warunków temperamentu, usuwają na bok, jako przedwczesne, i zajmują się wyłącznie jego stroną psychologiczną.

Wundt pojmuje temperament, jako ilościową stronę uczuć i namiętności, t. j. ich natężenie i trwałość. Uczucia mogą być z jednéj strony albo silne, albo słabe, z drugiéj—albo trwałe, albo szybko przemijające. Dwa te przeciwieństwa w oddziaływaniu organizmu na zewnętrzne wrażenia stanowią naturalną podstawę różnic, jakie napotykają się między ludźmi pod względem temperamentu. Temperamenty choleryczny i melancholiczny odznaczają się skłonnością do uczuć sil-

nych i głębokich; sangwiniczny i flegmatyczny — do słabych. Z drugiéj strony sangwiniczny i choleryczny usposobione są do zmian prędkich, melancholiczny i flegmatyczny—do powolnych.

Sully, psycholog angielski, przyjmuje za podstawę swéj teoryi nie przeciwieństwo uczuć pod względem trwałości i natężenia, ale ich przeciwieństwo jakościowe, pochodzące stąd, że każde z nich musi być albo przyjemném, albo przykrém. Przyczyną temperamentu melancholicznego jest usposobienie organiczne do głębszego odczuwania wrażeń przykrych, niż przyjemnych, a stąd skłonność do brania rzeczy ze strony ujemnéj; przeciwnie, sangwiniczny łatwiéj poddaje się wrażeniom przyjemnym, niż przykrym, i widzi wszystko w jasnych kolorach. Temperament flegmatyczny odznacza się słabém odczuwaniem wrażeń tak przykrych, jak i przyjemnych, kiedy tymczasem choleryczny przejmuje się silnie i temi i tamtemi.

Przyjęta przez Sully'ego zasada stosuje się właściwie do dwóch tylko temperamentów sangwinicznego i melancholicznego, między któremi zachodzi przeciwieństwo uczuć pod względem ich jakości; co się zaś tyczy dwóch innych, flegmatycznego i cholerycznego, to ich różnica opiéra się na przeciwieństwie uczuć czysto ilościowém, a więc na zasadzie, która jest podstawą teoryi Wundta.

Höffding, psycholog duński, godząc z sobą dwie powyższe teorye, przyjmuje w całości podział temperamentów, jak je Wundt określa, ale uzupełnia go dwoma temperamentami, zapożyczonemi od Sully'ego, pod nazwą szczęśliwego i nieszczęśliwego. Nie zdaje mi się, ażeby takie pogodzenie dwóch teoryi, występujących z różnych zasad, dało się usprawiedliwić. Nasuwa się bowiem pytanie: czy usposobienie szczęśliwe i nieszczęśliwe zostają w jakiéj zależności od stopnia natężenia i trwałości uczuć, czy téż są od nich zgoła niezależne. W pierwszym razie nie mogą one stanowić osobnych temperamentów, lecz sprowadzają się do tych form, których różnice polegają na ilości uczuć; w razie przeciwnym, jeżeli usposobienie tak przykre, jak i przyjemne, nie zależą od natężenia i trwałości uczuć, lecz mogą się objawiać przy różnym ich stopniu, dwa te usposobienia stanowiłyby główne temperamenty, z których każdy, rozważany pod względem ilościowym, przedstawiałby cztery odmiany. W ten sposób zamiast sześciu temperamentów, przyjętych przez Höffdinga, byłoby ich ośm, t. j. cztery odmiany szczęśliwego i tyleż odmian nieszczęśliwego.

2. Poznawszy główniejsze teorye, musimy teraz zbadać, w jakim stopniu zbliżyły nas one do rozwiązania zagadnienia, na jakie pytania dostarczają odpowiedzi, jeżeli nie pewnych, to przynajmniéj prawdopodobnych, jeżeli nie rozstrzygających ostatecznie kwestyą, to

przynajmniéj wskazujących kierunek, w jakim szukać należy jéj rozwiązania.

Przedewszystkiém musimy zdać sobie jasno sprawę z tego, co należy rozumiéć przez temperament.

Od najdawniejszych czasów aż do chwili obecnéj wszyscy uczeni, zajmujący się kwestyą temperamentu, pomimo największych różnic, jakie zachodzą między ich zapatrywaniami, zgadzają się jednomyślnie na to, że temperament ma oznaczać te indywidualne różnice, które pochodzą nie z doświadczenia, ale z wrodzonego usposobienia, które nie są nabytkiem życia indywidualnego, ale niejako darem przyrody, wyposażającéj człowieka pewnym zasobem własności, potrzebnych do życia. Od tego atoli punktu, zdania i mniemania pojedyńczych autorów rozchodzą się w różnych kierunkach. Co właściwie stanowi owo usposobienie organiczne? Jakie są jego objawy i które z nich należy przyjąć za podstawę temperamentów? Na te pytania, jak i na wiele innych, znajdujemy różne odpowiedzi, nie zawsze dające się pogodzić z sobą.

Wygłaszane pod tym względem zapatrywania można sprowadzić do trzech głównych:

a) Bezpośrednim objawem organicznego usposobienia jest uczucie, w jego przeto własnościach, tak jakościowych, jak i ilościowych, potrzeba szukać cech, na podstawie których dałaby się przeprowadzić klasyfikacya temperamentów.

b) Wrodzone skłonności i popędy stanowią istotę organicznego usposobienia. Oddziaływając na zewnętrzne wrażenia, dają one początek wszelkim uczuciom, wzruszeniom, namiętnościom, żądzom i dążnościom, któremi jedni ludzie różnią się od drugich. Dlatego téż podział temperamentów na typowe odmiany musi się oprzéć na klasyfikacyi przyrodzonych skłonności i popędów.

c) Przewaga w duszy jednéj z głównych jéj władz — myślenia, uczucia lub woli — jest bezpośredniém następstwem warunków organizacyi duchowéj i cielesnéj, a zatém najdokładniejszym wyrazem organicznego usposobienia. Przewaga jednéj z tych władz nadaje myślom, uczuciom i postępowaniu tak odrębne cechy, że ona tylko wytłómaczyć może różnice, jakie zachodzą między ludźmi pod względem temperamentu.

Jakkolwiek żadnemu z tych zapatrywań nie można odmówić pewnéj słuszności, pierwsze z nich tylko wyznacza stanowisko, rzucające potrzebne światło na wszystkie zagadnienia temperamentu.

Niepodobna zaprzeczyć, że przewaga w życiu duchowém bądź rozumu, bądź uczucia lub woli, może pochodzić z przyrodzonych wa-

runków organizacyi danego osobnika; ale również pewnèm jest, że ta przewaga może się wytworzyć pod wpływem doświadczenia, wskutek wychowania i stałego zajęcia, które nie zawsze odpowiada przyrodzonemu usposobieniu; a nareszcie dzięki szczególnym wypadkom i okolicznościom życia, które wywołują oddziaływanie osobnika w jednym jakimś kierunku, wymagającym większego natężenia z jednéj strony jego duchowego życia, niżeli z innych, i tém samém dostarczającego sposobności do rozwijania jednych sił kosztem drugim. Ludzie niezwykłéj miary, obdarzeni przez przyrodę wielkim zasobem sił duchowych, mogą się oprzéć zewnętrznym wpływom, przeciwnym ich usposobieniu, i wbrew wszelkim przeszkodom, tamującym rozwój przyrodzonych ich skłonności, wywalczyć dla nich prawo życia; ale zwykli śmiertelnicy, którzy głową nie przerastają poziomu powszedniego, bywają zazwyczaj takimi, jakimi ich zrobiły okoliczności, i co w nich pochodzi z przyrodzonego usposobienia, a co z doświadczenia, z nawyknienia, o tém w niektórych tylko wypadkach można coś powiedziéć.

Takie same uwagi nastręcza i drugie zapatrywanie, które we wrodzonych skłonnościach i popędach każe szukać cech, wyróżniających szczególne temperamenty. O wrodzonych skłonnościach i popędach wnosimy z uczuć i namiętności, jakie pod wyływem osobistego doświadczenia ustalają się w człowieku. Samorzutnie nie występują one, nie wyprzedzają wrażeń zewnętrznych. Ażeby mogły się objawić i utrwalić, potrzebują sprzyjających okoliczności, odpowiednich wrażeń, któreby działając we właściwym kierunku, zdolne były wywołać w duszy oddziaływania. Takiém właśnie oddziaływaniem na zewnętrzne wrażenia są nasze uczucia, żądze i dążności, które mogą wprawdzie powstać na tle przyrodzonych skłonności i popędów, ale mogą również wytworzyć się i bez nich pod wpływem wrażeń zewnętrznych przez nawyknienie, nałóg. Zarody skłonności i popędów, które w życiu nie znalazły potrzebnych warunków dla siebie, które nie zostały rozbudzone przez odpowiednie im wrażenia, znajdują się jakby w letargicznèm uśpieniu i mogą w końcu zamrzéć, nie dawszy znać o sobie żadnèm uczuciem.

Zresztą, różnice, zachodzące między ludźmi, tak pod względem skłonności i popędów wrodzonych, jako téż przewagi jednéj z głównych czynności duchowych, stanowią tę stronę indywidualności ludzkiéj, którą nazywamy charakterem w zwykłém znaczeniu tego wyrazu. Przez temperament zaś rozumiemy ogólne cechy organicznego usposobienia, właściwe wszystkim jego objawom, tak bezpośrednim, jak i pośrednim, powstającym w drodze doświadczenia indywidualnego.

Czémże jest owo usposobienie organiczne i w jaki sposób mo-

żemy dojść do wykrycia tych ogólnych jego własności, które stanowią istotę temperamentu?

Organiczne usposobienie, pojęte jako przyrodzone tło objawów duchowego życia—uczuć, myśli i dążności, nie jest niczém więcéj, jak wypadkową wszystkich warunków cielesnego ustroju, dodatnich i ujemnych, jego spraw fizyologicznych, a przedewszystkiém czynności nerwowego układu. Stanowi ono materyalną podstawę osobowości ludzkiéj, która w pierwszym rzędzie objawia się jako poczucie siebie, jako ogólna i niewyraźna świadomość swego istnienia. Na to poczucie siebie, składają się przedewszystkiém wrażenia wewnętrzne, pochodzące od organów ciała wskutek ich czynności fizyologicznych, a następnie wrażenia zewnętrzne, odbierane drogą zmysłów od świata zewnętrznego.

Wrażenia wewnętrzne, niezależnie od zewnętrznych, łączą się w jedno nierozdzielne uczucie wewnętrzne, będące wyrazem stanu organizmu w każdéj chwili jego życia. Stosownie do tego, czy sprawy życiowe dokonywają się prawidłowo, czy téż zachodzą w nich jakie zboczenia, stałe lub chwilowe zaburzenia, uczucie wewnętrzne objawia się, jako przyjemność, zadowolenie z siebie, wesołość albo téż jako przykrość, przygnębienie, smutek. To przeciwieństwo przyjemności i przykrości, stanowi główną charakterystykę uczucia wewnętrznego, które odbijając dokładnie każdą zmianę w stanie ustroju życiowego, przybytek lub ubytek jego sił, pozostaje w ciągłém wahaniu, przechylając się to w jedną, to w drugą stronę, i w ten sposób przechodząc całą skalę nastroju od najwyższéj przyjemności do najgłębszéj przykrości.

Uczucie wewnętrzne stanowi tło, na którém powstają uczucia szczególne pod wpływem wrażeń zmysłowych, wywołujących w organizmie pewne zmiany i zmuszających go do oddziaływania na nie. Wrażenie zmysłowe jest niejako potrąceniem zewnętrzném, które wyzwala w organizmie życiową jego energią i pobudza go do czynności w pewnym kierunku. Jeżeli wrażenie zewnętrzne w swém natężeniu nie przewyższa zasobu sił życiowych w danéj chwili, jeżeli rozbudzona czynność nie zużywa ich nadmiernie, lecz spotrzebowuje tę tylko ich cząstkę, jaka zostaje do rozporządzenia po dokonaniu spraw żywotnych—powstaje pewne, szczególne pod względem treści uczucie, któremu towarzyszy przyjemność; przeciwnie, jeżeli wrażenie wyzwala wielką ilość sił życiowych i przez to obniża czynność spraw organicznych, albo téż wyzwolonym siłom nadaje kierunek niezgodny z normalnemi warunkami organizmu — powstającemu wskutek tego uczuciu towarzyszy przykrość. Przyjemność więc lub przykrość każdego uczucia stanowią jego stronę czysto podmiotową. Oznaczają stosunek

wrażenia zmysłowego, będącego treścią szczególnego uczucia, jego stronę przedmiotową, do uczucia wewnętrznego; są dwoma różnemi sposobami oddziaływania uczucia wewnętrznego na zewnętrzne wrażenia.

Jakkolwiek każde uczucie bywa albo przyjemném albo przykrém, bywają one takiemi, nie w jednakim stopniu dla różnych osobników, a nawet dla tego samego osobnika w różnych chwilach życia. Co więcéj, to samo wrażenie, które dla jednego jest przyjemném, dla drugiego może być przykrém, a w pewnych wypadkach dla tego samego osobnika może być raz przyjemném, drugi raz przykrém. O ile więc strona przedmiotowa uczucia jest jego pierwiastkiem względnie stałym, niezależnym od zmian wewnętrznego uczucia, gdyż pochodzi od świata zewnętrznego; o tyle jego strona podmiotowa, będąca bezpośredniém oddziaływaniem uczucia wewnętrznego na czynniki zewnętrzne, zależy tak od chwilowych zmian uczucia wewnętrznego, jak i od stałych warunków organizmu, stanowiących jego indywidualne różnice. Ponieważ podmiotowa strona uczuć bywa różną w różnych osobnikach, tak pod względem jakości, jak i ilości, z powodu, że każdy z nich oddziaływa na wrażenia zewnętrzne w sposób odpowiedni organicznemu swemu usposobieniu, w niéj przeto należy szukać cech, które stanowią indywidualne właściwości pojedyńczych ludzi pod względem temperamentu.

Myślenie i wola są także swego rodzaju oddziaływaniem organizmu na czynniki zewnętrzne, ale oddziaływaniem pośredniém. Uczucia przyjemności i przykrości, oznaczając stosunek organizmu do danych wrażeń zewnętrznych, wyrażają stopień przystosowania jego do nich—i służą za punkt wyjścia dla myślenia i woli, których zadaniem jest takie oddziaływanie na świat zewnętrzny, ażeby wskutek niego nastąpiło nowe, dokładniejsze przystosowanie organizmu do zewnętrznych warunków, zapewniające mu większą sumę przyjemności, a zarazem zabezpieczające go od możliwych przykrości. Uczucie jest jedyną pobudką, kierującą czynnościami umysłu i działaniem woli. W pierwszéj dobie umysłowego rozwoju jest ono głównym czynnikiem, kojarzącym wyobrażenia i nadającym właściwe sobie zabarwienie pojęciom i sądom o rzeczach i wypadkach, a lubo w późniejszéj dobie wpływ jego na przebieg myślenia słabnie, nie przestaje przecież być regulatorem umysłowych czynności, które wtedy tylko nabierają siły i żywotności, gdy są przez uczucie ożywione, gdy dostarczają pewnéj sumy przyjemności, jeżeli nie rzeczywistéj, to przynajmniéj spodziewanéj. Wola zaś w swéj istocie nie jest niczém inném, jak pewném

uczuciem, które doszło do takiego spotęgowania, że staje się na chwilę środkowym punktem życia duchowego, ogniskiem, skupiającém w sobie wszystkie siły rozporządzalne organizmu i popychającém go do działania, którego ostatecznym celem jest albo przedłużenie owego uczucia lub jego sprowadzenie, albo téż pozbycie się go i zabezpieczenie się od niego. Uczucie przeto jest podstawą całego życia duchowego, z niego jak ze środka koła promienieją na zewnątrz myśli, chęci, postanowienia, które nigdy nie przekraczają sfery przez nie zakreślonéj.

3. Klasyczna teorya temperamentów, któréj głównym przedstawicielem w naszych czasach jest Wundt, opiéra się wyłącznie na ilościowéj stronie uczucia. Wychodzi ona z tego założenia, że stopień natężenia uczuć, szybsza lub powolniejsza ich zmiana, przedstawiają najdokładniéj naturę indywidualnego uspobienia, że od zachodzących pod tym względem różnic zostają w bezpośredniéj zależności różnice pod wszystkiemi innemi względami. Jakoż Wundt czyni zależném od energii uczuć i ich trwałość nietylko mniejszą lub większą skłonność do działania, ale nawet szczególny nastrój uczuć, wynikający z wesołego lub smutnego usposobienia, które to usposobienie uznaje on za pochodne, nabyte doświadczeniem.

Nie da się zaprzeczyć, że jak w naukach fizycznych, tak i moralnych, ilościowa strona przedmiotu jest jedyną, która pozwala się z dokładną ścisłością oznaczyć. Nadto nastręcza ona tę jeszcze korzyść w badaniu, że będąc widoczną, najłatwiéj daje się spostrzegać i gdzie chodzi o ścisłe wyznaczenie jéj wielkości, jak np. w praktyce życiowéj, tam w sposób przybliżony stosunkowa jéj wartość może być oceniona bez wielkiego zachodu. Wszystkie te zalety ma właśnie za sobą teorya temperamentów, wyprowadzająca różnice indywidualnych usposobień z ilościowéj strony uczucia. Na nieszczęście, założenie, z którego wychodzi, zostaje w rażącéj sprzeczności z faktami, jakich nam dostarcza obserwacya.

Przypusza ona w zasadzie, że uczucia danego osobnika nie różnią od siebie ilościowo i mają ten sam stopień siły i głębokości i tę samą trwałość. Przypuszczeniu temu przeczy w sposób stanowczy najprostsze zastanowienie się nad sobą i nad innymi. Przekonywa nas ono mianowicie, że w tym samym osobniku różne uczucia mogą być i bywają zwykle różnéj miary i dla tego niepodobna ustanowić jakiejś normy ilościowéj, którą można byłoby wziąć za podstawę do podziału temperamentów na ściśle oznaczone typy. Uczucia pojedyńczego człowieka przedstawiają taką rozmaitość pod względem swéj trwałości i natężenia, że potrzeba przyznać zupełną słuszność twier-

dzeniu Beneke'go, który wyrzekł, że „w każdym osobniku jest więcéj niż dwadzieścia temperamentów“, czyli, mówiąc wyraźnie, że każde uczucie ma właściwy sobie temperament.

Człowiek tak pod względem psychicznym, jak i fizycznym, jest wytworem wielu pokoleń. Po najdalszych swych przodkach w linii ojcowskiéj i macierzyńskiéj odziedzicza różne własności ciała i ducha. Z twarzy może być podobnym do ojca, z oczu lub ust do matki, z kształtu rąk, albo ze wzrostu do któregoś z dalszych przodków i t. d. Tak samo dzieje się i z przymiotami ducha. Dusza ludzka nie jest jakąś próżną kartą, na któréj dopiéro osobiste doświadczenie wypisuje treść indywidualnego życia; jest ona raczéj kamienną tablicą, na któréj liczne pokolenia wyryły w symbolicznych kształtach dzieje pewnego rodu i na któréj wszystkie późniejsze pokolenia będą dodawać od siebie nowe znaki. Człowiek przynosi z sobą na świat w warunkach nerwowego układu zarody wszystkich swych instynktów, zdolności, popędów i skłonności, które dostają mu się w spadku po najdalszych nieraz przodkach, różnego usposobienia i sposobu życia. Odziedziczone przez daną jednostkę popędy i skłonności, pochodząc od różnych osób i z różnych czasów, nie mogą miéć tego samego stopnia pogłębienia w jego naturze. Nareszcie warunki życia mogą się tak ułożyć, że sprzyjając rozwojowi niektórych skłonności, na inne działać będą przytłumiająco—i kiedy tamte dojdą do wielkiego natężenia, te zaledwie odezwać się zdołają. Dla tego téż wszystkie nasze uczucia, wzruszenia i namiętności, biorące początek we wrodzonych skłonnościach i popędach, a raczéj w ich oddziaływaniu na zewnętrzne wrażenia, muszą się różnić między sobą, tak pod względem natężenia, jako téż trwałości. Uczucia pojedyńczego człowieka, rozważane ze strony ilościowéj, przedstawiają taką rozmaitość, że o sprowadzeniu jéj do jakiéjś ściśle oznaczonéj normy mowy nawet być nie może. Jedne z nich mogą miéć żywość sangwiniczną, inne głębokość i trwałość melancholiczną, inne znów powolność flegmatyczną. Da się tu zastosować to, co Vischer wypowiedział o Hamlecie: „Melancholiczny Hamlet gniewa się cholerycznie na swą flegmę, a unosi się sangwiniczną radością z podstępu, który mu się udał“.

Przypuszczalna jedność uczuć pod względem ilościowym jest takiém samém złudzeniem, jak wewnętrzna harmonia natury ludzkiéj. Ściśle rzeczy biorąc, człowiek jest zbiorem mnóstwa różnorodnych i najprzeciwniejszych sobie pierwiastków, zostających w ciągłéj z sobą walce. Jedność jego psychiczna na stanowisku temperamentu jest czysto formalna, polegająca na tém, że wszystko, co się w nim dzieje, odnosi do swego *ja*, jako do wspólnego źródła, lubo to źródło zostaje

w takim samym stosunku do jego treści wewnętrznéj, w jakim morze do rzek, które do niego wpadają. Jedność rzeczywistą osiąga człowiek dopiéro w charakterze etycznym, w którym sprzeczne pierwiastki godzą się przez podporządkowanie ich wspólnéj jakiéj zasadzie, łączącéj się z zadaniami powszechnego życia. Ilościowa atoli różnica uczuć przez to się nie zaciéra. Każde z nich zachowuje pod tym względem swą autonomią wobec woli, która nie może ani obniżyć ich natężenia, ani powiększyć trwałości. Panowanie woli nad uczuciami, jest pośrednie, za pomocą ruchów, któremi ona rządzi. Powstrzymując się od objawiania na zewnątrz uczuć za pomocą ruchów, powściągamy ich samorzutność i w ten sposób wyrabiamy w sobie przeciwko nim mniejszą lub większą odporność. Chociaż, ściśle rzeczy biorąc, odporność owa polega jedynie na tém, że danemu uczuciu przeciwstawimy inne, wręcz mu przeciwne i od niego silniejsze, tak że ostatecznie panowanie człowieka nad swemi uczuciami, nie jest niczém innem, jak przewagą jednych jego uczuć nad innemi.

Wobec powyższych faktów, klasyczne typy temperamentów przedstawiają się, jako sztuczne szematy, których cała wartość polega, co najwięcéj, na tém, że uwydatniając ilościową stronę uczuć ludzkich, podają pewne normy do ich podziału na podstawie takich kategoryi ilościowych, jakie do nich mogą być zastosowane. Rozpatrzywszy się atoli bliżéj w owych normach, zmuszeni jesteśmy przyznać, że nie mają one żadnéj wartości, ani pod względem praktycznym, ani teoretycznym. Podział uczuć na silne i słabe, trwałe i przemijające, jakkolwiek konieczny w życiu potoczném, dla celów naukowych na nic się nie przyda. Jestto to samo, co dzielić przedmioty materyalne na wielkie i małe. Klasyfikacya uczuć podług właściwéj każdemu ilości nie da się przeprowadzić — i dla tego cała teorya klasyczna temperamentów, nie mogąc być zastosowaną ani w rozpoznawaniu indywidualnych usposobień, ani w ocenianiu pojedyńczych uczuć przy ich rozklasyfikowaniu, musi być raz na zawsze odrzucona, jako nieodpowiadająca naturze rzeczy, zostająca w sprzeczności z tém, czego nas uczy pilna obserwacya nad samymi sobą i nad innymi.

4. Pragnąc ustanowić typy temperamentów zgodne z rzeczywistością, przedstawiające dokładnie charakterystyczne różnice, jakie istnieją między ludźmi pod względem ich przyrodzonego usposobienia, potrzeba je oprzéć na takiéj własności owego usposobienia, która stanowi jego cechę stałą i niezmienną, która we wszystkich swych objawach, bez względu na ich ilościowe różnice, pozostaje zawsze tą samą. Taką własnością jest jakościowa strona uczuć.

Uczucia, rozważane pod względem jakości, są albo przyjemne,

albo przykre. Przyjemność lub przykrość uczucia zależy od stosunku jego treści do duszy ludzkiéj i oznacza stan jéj wobec wrażeń zewnętrznych, które na nią działają i wywołują w niéj oddziaływanie. Oddziaływanie to dokonywa się na podstawie organicznego uczucia, będącego sumą algebraiczną wrażeń, pochodzących od trzewiów i innych narządów wewnętrznych. Wrażenia zewnętrzne, które zgadzają się z uczuciem organiczném i podnoszą jego natężenie do stopnia, odpowiadającego zasobowi sił rozporządzalnych, stają się przyjemnemi; wrażenia zaś, które natężenie uczucia organicznego obniżają przez nadmierne spotrzebowanie sił życiowych, stają się przykremi. Przyjemność i przykrość są jak gdyby przyciąganiem i odpychaniem, wywieraném przez duszę na dochodzące do niéj od świata zewnętrznego wrażenia.

Rzeczą jest powszechnie znaną, że między ludźmi bywają jedni, którzy są zdolni unosić się najżywszą radością z powodu najmniejszego powodzenia w życiu i których żadne troski i cierpienia nie mogą pozbawić na długo wesołości i pogodnego zapatrywania na świat i ludzi,—i inni, którzy są tak wrażliwi na wszelkie przeciwności życia, chociażby najdrobniejsze, że to, co dla wszystkich jest obojętném, dla nich równa się nieszczęściu, i którzy, przejmując się głęboko uczuciami przykremi, odznaczają się pewném przytępieniem na uczucia przyjemne o tyle, że uniesienia radości są im prawie nieznane. Skąd pochodzi tak wielka różnica w usposobieniach? Jest-że ona pierwotną, z warunków organizacyi pochodzącą, czy nabytą?

Wundt, który w ilościowych różnicach uczuć upatruje główną przyczynę odmian temperamentu, uważa oba powyższe usposobienia — wesołe i smutne—za pochodne, t. j. takie, które dopiéro w późniejszém życiu, drogą indywidualnego doświadczenia wyrabiają się i ustalają. W każdym razie, czyniąc je zależnemi od stopnia natężenia i trwałości uczuć, tém samém uznaje w nich objawy niejako konieczne ze względu na warunki, które stanowią istotę danych temperamentów.

Rozumowanie Wundta w tym punkcie nie jest należycie rozwinięte; rzucone są tylko pewne punkty wytyczne, podług których można odtworzyć i uzupełnić ten wywód. Przedstawia się on w ten sposób:

Wartość życia mierzy się przedewszystkiém skalą codziennych wrażeń, które, oddzielnie wzięte, nie są ani zbyt przykre, ani zbyt przyjemne, ale których suma może przedstawiać czynnik, mogący wywrzéć stanowczy wpływ na usposobienie człowieka stosownie do tego, czy uczucia jego bywają silne i trwałe, czy téż słabe i przemijające. Sangwinik, którego uczucia należą do drugiéj kategoryi, nie przejmuje się głęboko żadném wrażeniem, ani przykrém, ani przyjemném. Uczu-

cia jego, zmieniając się szybko, nie pozostawiają po sobie żadnego śladu w jego duszy. Nie mając pamięci uczuć, żyje on wyłącznie dniem dzisiejszym, nie wiedząc, co to jest żal za przeszłością lub obawa przyszłości. Przeciwnie, melancholik, który odznacza się wielką trwałością i natężeniem uczuć, przejmuje się do głębi serca każdém wrażeniem i pamięć o nich zachowuje na długo. Skutkiem tego, do każdego wrażenia rzeczywistego, przyłączają się drogą kojarzenia całe szeregi wrażeń przypomnianych. Ponieważ suma wrażeń przykrych o wiele przewyższa w życiu sumę wrażeń przyjemnych, przeto wspomnienia przykre i bolesne zapanowują wyłącznie nad umysłem melancholika i oddziaływając na każde wrażenie, w ciągu życia doznawane, osłabiają żywość przyjemnych, a zarazem zaostrzają dotkliwość przykrych.

Nie ulega wątpliwości, że tą drogą rozwijają się i ustalają owe usposobienia, ale niepodobna zgodzić się na to, by tą drogą powstawały. Przeciwko temu wywodowi mówi wyraźnie fakt, że różnice między usposobieniem wesołém a smutném zarysowują się dość dokładnie już w wieku dziecinnym, kiedy osobiste doświadczenia nie miały jeszcze dość czasu na to, ażeby mogły utrwalić w umyśle odpowiedni nastrój. Zresztą, jak wiemy, nie ma takich osobników, których uczucia byłyby jednéj miary i z których jedni mieliby pamięć uczuć, inni zaś byli jéj pozbawieni. W końcu istotna różnica między usposobieniem wesołém, a smutném polega nie na tém, że pierwszemu właściwe są uczucia słabe i zmienne, a drugiemu silne i trwałe, ale na tém, że tamto odczuwa żywiéj wrażenia przyjemne, niż przykre, kiedy przeciwnie, to przejmuje się głęboko wrażeniami przykremi, a słabo przyjamnemi.

Różnice między usposobieniem wesołém a smutném, pochodzące ze szczególnych warunków cielesnéj organizacyi i mające swe źródło we wrodzonym nastroju duszy, muszą być uznane za pierwotne, pomimo że późniejszy wpływ doświadczenia może znacznie się przyczynić do ich rozwoju. Różnice te, jakkolwiek głównie objawiają się w zakresie uczuć i wzruszeń, występują wyraźnie i w innych sprawach duchowégo życia. Zapatrywania, dążności, sposoby postępowania mają na sobie wybitne piętno swego pochodzenia. Dwa te usposobienia stanowią dwa odrębne typy natury ludzkiéj, których przeciwieństwo jest tak jaskrawe, że w odróżnieniu ich niepodobna się pomylić. Typy te znane były w odległéj starożytności, jak o tém świadczą tradycyjne postaci śmiejącego się Demokryta i płaczącego Heraklita, których Grecy zestawiali dla kontrastu.

Mimo istniejącego między dwoma temi temperamentami przeciwieństwa, mają one to z sobą wspólnego, że obu im zbywa na równo-

wadze wewnętrznéj. W jednym i w drugim punkt ciężkości duchowego życia przesunięty jest: w temperamencie wesołym w stronę uczuć przyjemnych, w temperamencie smutnym ku uczuciom przykrym. Są to temperamenty przeważnie uczuciowe i charakterystyczną ich cechą jest głęboki subiektywizm—zapatrywanie się na świat i ludzi ze stanowiska osobistych uczuć. Najwyższy swój wyraz znajduje on w dwóch kierunkach filozoficznego myślenia: w optymizmie, podług którego świat nasz jest najlepszym ze wszystkich możliwych, i w pesymizmie, który za zasadę bytu uznaje cierpienie, pochodzące ze sprzeczności między świadomością a bezwiednością.

Oprócz powyższych temperamentów są jeszcze dwa inne, tém się różniące od poprzednich, że odczuwając w równéj mierze wrażenia przykre i przyjemne, odznaczają się pewną równowagą uczuć, jakkolwiek niestałą. Równowaga ta zapewnia ich sądom o rzeczy większą przedmiotowość; jakoż są to usposobienia przedewszystkiém praktyczne, rachujące się pilnie z czynnikami rzeczywistości i mające wstręt do marzeń.

Gatunkową różnicę między niemi stanowi to, że jeden oddziaływa powoli na zewnętrzne wrażenia i dlatego nigdy się nie unosi i ma pozór obojętności, albowiem zanim uczucie dojdzie w nim do najwyższego natężenia, ma on czas uświadomić je sobie i zapanować nad niém; przeciwnie, oddziaływanie drugiego jest natychmiastowe. Uczucia dosięgają w nim odrazu najwyższego stopnia natężenia i wyładowują nagromadzoną w sobie energią za pomocą odruchowych czynności. Dlategoż jest on wrażliwym i gwałtownym. Wrażliwość ta atoli miewa chwile pewnego przytępienia, stąd skłonność jego do apatyi i bezczynności, które trwają dopóty, dopóki go jakiś wypadek lub myśl silnie nie poruszy i nie roznamiętni. Cztery powyższe temperamenty, chociaż na innéj oparte zasadzie, zgadzają się w głównych rysach z przyjętą powszechnie charakterystyką temperamentów, znanych pod klasycznemi nazwami. Czy te nazwy mamy i nadal zachowywać? Zdaje mi się, że byłoby lepiéj, gdybyśmy je zastąpili właściwszemi i mniéj pretensyonalnemi. Noszą one na sobie zbyt wyraźne ślady mniemań, którym zawdzięczają swe pochodzenie, a które przedstawiają zanadto rażącą sprzeczność z naukowemi pewnikami.

5. W pierwszym ustępie niniejszego artykułu przytoczyłem ważniejsze zapatrywania, dotyczące przyczyny różnych odmian temperamentu. Jeżeli jedne z nich musimy odrzucić bewzględnie, jako fałszywe, to o innych, nie wyłączając nawet teoryi Henle'go, która jest najracyonalniejsza, można powiedzieć to tylko, że ani ich dowieść, ani im zaprzeczyć nie można. Badania anatomiczne i fizyologiczne

w obecnéj dobie swego rozwoju nie dostarczają zgoła żadnych pewnych odpowiedzi na pytania, dotyczące przyczyn tych lub innych zjawisk psychicznych. Wiemy, że warunkiem każdego objawu duchowego jest jakaś sprawa fizyologiczna, któréj główném ogniskiem bywa układ nerwowy. Na czém atoli ta sprawa polega i w jakim stopniu zależy od innych, a szczególniéj od spraw roślinnych organizmu, na to odpowiedziéć dziś z całą ścisłością naukową nie możemy. W niewielu wypadkach można z pewném prawdopodobieństwem domyślać się przyczyn szczególnych objawów duchowego życia, a nawet z gruntu je wytłómaczyć—zawsze przecież tłómaczenie takie nie jest niczém więcéj, jak przypuszczeniem, wnioskiem, opartym na analogii, hipotezą. Dlatego téż wszelkie rozprawy, stawiające sobie za cel wytłómaczenie pod względem fizyologicznym właściwych każdemu temperamentowi cech, należy uznać za przedwczesne. Musimy, jak na teraz, poprzestawać na tym jednym pewniku, że naturalną podstawą każdego temperamentu jest szczególne usposobienie organiczne, którego przyczyną są pewne warunki układu nerwowego i jego stosunek do spraw odżywiania w najobszerniejszém znaczeniu tego wyrazu. Faktem jest, nie podlegającym najmniejszéj wątpliwości, że każda zmiana w czynnościach trawienia, oddychania, w obiegu krwi, wywiera wpływ na życie umysłowe w kierunku dodatnim lub ujemnym. Nie ulega więc najmniejszéj wątpliwości, że wszelkie różnice, zachodzące między ludźmi pod względem temperamentu, o tyleż pochodzą z odmiennych warunków układu nerwowego, o ile i stąd, że nie każdy organizm w jednakim stopniu odżywia się, że w jednym przemiana materyi dokonywa się powolniéj, w drugim szybciéj. Możnaby nawet powiedziéć, że przeciwieństwo między usposobieniem wesołém a smutném nie tyle zależy od właściwości nerwowego układu, ile od różnicy w odżywczych czynnościach organizmu, bądź ułatwiających, bądź utrudniających czynności fizyologiczne procesu mózgu, towarzyszące sprawom duchowym.

6. Temperament oznacza indywidualne różnice między ludźmi pod względem uczuciowego nastroju. Występuje on przeto najwyraźniéj głównie w dziedzinie uczuć, wzruszeń, namiętności, pragnień i żądz, które są bezpośredniém oddziaływaniem świadomości na zewnętrzne wrażenia. Nie mniéj jednakże właściwe każdemu temperamentowi cechy dadzą się wyśledzić i w czynnościach umysłowych. Nadmieniłem już, że subiektywizm stanowi wybitne znamię temperamentu wesołego i smutnego; kiedy przeciwnie, powolny i namiętny odznaczają się przedmiotowością sądów i zapatrywań. Czy różnice pod tym względem daléj nie sięgają? Czy nie można z pewną słusznością utrzymywać, że osobniki, należące do pewnego temperamentu, są

mniéj lub więcéj uzdolnione umysłowo od tych, którzy mają inne temperamenty?

Uczeni, wyprowadzający różnice temperamentów z ilościowych różnic uczucia, podzielali przekonanie, jakkolwiek nie zawsze je wyraźnie wypowiadali, że jedne temperamenty są mniéj, drugie bardziéj uzdolnione pod względem umysłowym. Na to tylko nie mogli się zgodzić, który z nich jest najbardziéj uprzywilejowanym. Galen, uznając temperament sangwiniczny za normalny, inne zaś za pewne od niego zboczenia, tém samém przyznawał mu pierwszeństwo. Kant wahał się między temperamentem flegmatycznym a melancholicznym, jakkolwiek ostatecznie pierwszy uznał za najbardziéj odpowiadający warunkom rzeczywistości. W najnowszych czasach cieszył się szczególnemi względami temperament choleryczny, który stał się prawie synonimem nietylko genialnych zdolności, ale nadto stałéj i niezłomnéj woli. Jednocześnie temperament sangwiniczny poszedł w taką poniewierkę, że oznaczano nim każdego, kto był pozbawiony panowania nad sobą samym i szedł na oślep za każdém wzruszeniem, za każdém pożądaniem. Już sama niezgodność powyższych zapatrywań świadczy najwymowniéj, że nie mają one żadnéj podstawy oczywistéj. W założeniu ich leżą dwa błędy. Pierwszym z nich jest przypuszczenie, że od stopnia natężenia i trwałości uczuć zależą bezpośrednio wszystkie czynności umysłowe, które tém większą odznaczać się muszą energią i bystrością, im uczucia bywają silniejsze i trwalsze. Tymczasem energia i bystrość umysłowych czynności jeżeli zależy od czego, to przedewszystkiém od uwagi. Uwaga jest koniecznym warunkiem nietylko sądzenia i wnioskowania, ale także postrzegania i pamięci. Wszystkie te bowiem czynności umysłu polegają na porównaniu, na dopatrywaniu różnic i podobieństw między rzeczami. Uwaga zaś, jak wiadomo, jest aktem woli, która jest indywidualnym człowieka wytworem. Z wolą człowiek się nie rodzi, lecz ją sam w sobie wyrabia — i każdy, bez względu na to, czy jego uczucia są słabe lub silne, trwałe lub przemijające, w normalnych warunkach zdolny jest wyrobić w sobie władzę panowania nad sobą, t. j. nad wszystkiemi pierwiastkami, stanowiącemi treść jego świadomości. Drugim błędem jest pomieszanie pojęć, niedokładne odróżnienie tego, co nazywamy temperamentem, od tego, co stanowi istotę charakteru etycznego. Temperament oznacza stan duszy pierwotny, jak on bezpośrednio wyraża się w oddziaływaniu na zewnętrzne wrażenia bez względu na zadania życia, w oddziaływaniu czysto instynktowém, mającém na celu zaspokojenie wrodzonych skłonności i popędów. Znamienną cechą tego stanu jest, że tak powiem, luźność wszelkich poruszeń duszy. Wrażenie rzeczywiste

stanowi w nim główny punkt ciężkości duchowego życia. Pojęcia nie mają w nim téj siły, ażeby zdolne były przeciwważyć doznane wrażenia, stąd każde z nich, w miarę, jak odpowiada wrodzonym skłonnościom i popędom, staje się chęcią, pożądaniem, zapanowującém niepodzielnie nad świadomością. Przykład takiego stanu dostarcza nam dziecko w pierwszych dwóch latach, kiedy, osłonięte troskliwością rodzicielską od wymagań rzeczywistości, nie poznało jeszcze smutnéj konieczności życia—przystosowywania się do warunków danych. Od chwili, w któréj ta konieczność zostanie uznana przez istotę ludzką, rozpoczyna się dla niéj nowy okres życia — okres doświadczenia, urabiania się charakteru, starania się o zapanowanie nad sobą samym. Istotę charakteru stanowi uporządkowanie myśli, uczuć i chęci podług wymagań życia, drogą do tego uporządkowania wiodącą jest walka o byt, pojęta w najobszerniejszém znaczeniu. Pierwszym owocem téj walki jest przeniesienie punktu ciężkości życia duchowego ze sfery zmysłowych wrażeń w sferę idealną. Pobudkami działania stają się nie wrodzone skłonności i popędy, albo téż nabyte nałogi i namiętności, ale pewne zasady, zgodne z zadaniami życia, i skojarzone z temi zasadami uczucia. Im głębsze jest ustosunkowanie myśli i uczuć na podstawie pewnéj zasady, tém doskonalszym jest charakter, tém energiczniejszą jest wola, która nie jest niczém więcéj, jak spotęgowaniem w sobie pewnego uczucia, oświetlonego myślą, do takiego stopnia, ażeby się stało ogniskiem całego życia duchowego, osią wszystkich pragnień i dążności. Człowiekiem przeto bez woli, bez charakteru, istotą zmienną w swych uczuciach i niestałą w działaniu, idącą na oślep za każdém wrażeniem, za każdém uczuciem w danéj chwili panującém, bez względu na ich stosunek do zadań życia, bywa nietylko sangwinik, ale i choleryk i każdy wogóle temperament, dla którego ostateczném prawem tak w złém, jak i w dobrém są natchnienia chwili. Wartość życiowa człowieka polega nie na tém lub inném usposobieniu przyrodzoném, ale jedynie na charakterze, który się nabywa własną pracą nad sobą, walką z poruszeniami swéj duszy i ciągłém nad niemi czuwaniem.

Władysław Kozłowski.





PRZEGLĄD TEATRALNY.

Ubiegły miesiąc przyniósł nam tylko jedną sztukę oryginalną, pięcioaktową komedyą Edwarda Lubowskiego p. t. „Przyjaciółka żon“—i ta utrzymuje się w repertuarze, jako wabik nowości, zapełniający stale salę teatralną.

O autorze, który wkrótce obchodzić może trzydziestoletni jubileusz działalności komedyopisarskiéj (zawód jego między r. 1863 a 1867 rozpoczynały „Karyery“, „Protegowany“, „Żyd“ i „Ubodzy w salonie“)—niepodobna powiedzieć nic nowego, bo w tém stadyum dojrzałego talentu bardzo rzadko robi się niespodzianki krytyce i publiczności; jest się już sobą z całą sumą wad i przymiotów, dochodzi się do szczytów, u których największą sztuką i zasługą jest zatrzymać się jak najdłużéj i nie obniżać w stosunku do swéj poprzedniéj twórczości.

Gdy chodzi o najtreściwszą jéj charakterystykę, odnośnie do Lubowskiego, wystarcza wymienić jego typowe dzieło: „Nietoperzy“, w którém cały jego talent, rodzaj, skłonność, usposobienie, obserwacya, humor i sposób zapatrywania na ludzi, świat i stosunki towarzyskie odbiły się najwyraźniéj, zarysowały w pełni, nacechowane dowcipną zgryźliwością satyryka, a pesymizmem obserwatora.

Wszędzie i zawsze mniéj więcéj powtarza się ten zasadniczy motyw, na którym osnuł większą część swoich komedyi— *homo homini lupus*; zawsze ta gorzka ironia na temat: „my się kochamy!“ i ta podejrzliwość, że w bliźnim widzimy tylko „osaczonego“, na którego naganke robi potwarz, intryga, interes osobisty i przewrotność ludzka.

Nie jest to w gruncie rzeczy winą autora, że taki temat głównie nasuwa mu się pod pióro i że czuje do niego szczególniejszą skłonność; jest to kwestyą indywidualności pisarza z jednéj a sfery jego obserwacyi z drugiéj strony, ale w téj jednolitości tematów możnaby w koń-

cu odszukać śladów uprzedzenia, a w tych jeśli nie całkiem czarnych, to bardzo ciemnych kolorach, wadę spostrzegawczego daltonizmu.

Rzecz oczywista, że to, czemu autor się z większą lubością przypatruje i co gorliwiéj bada, musi też lepiéj znać i wierniéj odtwarzać swojém piórem; wpatrzony uważniéj w jednę tylko połowę, w ujemne strony życia i natury ludzkiéj, Lubowski chwyta też z niéj najlepiéj typy ujemne, charaktery przewrotne lub spaczone, stosunki anormalne. Jest to pole, które uprawia najstaranniéj i najumiejętniéj i na którém też najobfitsze zbiéra plony.

W ostatnim przeglądzie wspominałem o tym pogodnym optymizmie i sprawiedliwéj równowadze obserwacyi i sądu w Blizińskim, tak rzadkiéj u komedyopisarzy wyższego rzędu, którzy dla tendencyjności nie pochylają się w żadnym krańcowym kierunku, a w idei miłości, czy bliźniéj, czy ogółu, znajdują zawsze miarę i środki rozwiązywania najzawilszych kwestyi.

Lubowski wydaje mi się w tym względzie antypodą Blizińskiego; z po za jego kostycznych uśmiechów i humoru wyziera zawsze nieufność i niewiara do ludzi, których trzeba się strzedz i unikać, jak oswojonych wilków lub lisów, z którymi tylko konieczność każe żyć w bliższych stosunkach, którzy jeśli nie gryzą to z bojaźni, ale obszczekać są zawsze gotowi za plecami: szarpnąć, gdy się zdarzy a łasić się, gdy potrzeba.

Ten pesymistyczny pogląd, może bardzo często usprawiedliwiony w życiu danemi wypadkami, w komedyi jednostronnie zastosowywany, naraża autora na zarzut krańcowości i uprzedzenia.

Zresztą, jak człowieka samego, tak i świata całego nie można naprawiać ciągłém oskarżaniem, samą podejrzliwością, samém karceniem jego wad i wytykaniem błędów, ciągłém wykałaniem mu oczu i poszturkiwaniem; trzeba i w najgorszém znaleźć coś dobrego i spróbować przemówić do niego głosem serca, nie samego rozumu, trzeba szukać nawet w zupełném popielisku tlejącéj iskierki i postarać się ją rozdmuchać.

Komedya śmiejąc się, ma naprawiać obyczaje, ale nie wyszydzać ich samym sarkazmem i ironią, bo ta broń choć ostra, bywa obosieczną i zawodną...

To, co wogólności powiedziałem o Lubowskim, jako komedyopisarzu, mniéj może stosuje się do jego ostatniéj sztuki, w któréj z poziomu tematów społecznych w szerszym zakresie zeszedł na grunt stosunków towarzyskich, w sferę téj śliskiéj „moralności salonowéj“, w dziedzinę typów pospolitych, a sytuacyi wyjątkowych.

W „Przyjaciółce żon“ pokazał nam egzemplarz towarzyskiego

i rodzinnego mikrobu, który zabłąkał się do nas z miazmatami obcéj demoralizacyi; wprowadził na scenę typ, który ma być naszym, umiejscowionym, ale który zdradza zanadto pochodzenie z francuskiego „Półświatka“ i z rodziny „Bezczelnych“.

W każdym razie typ to wyjątkowy, może wykryty bystrém okiem obserwatora w świecie towarzyskim Warszawy i zdemaskowany na miejscu, ale stanowiący jednostkę nie rozrodzoną jeszcze na szczęście w cały rodzaj pasorzytów rodzinno-społecznych.

Tym typem bardzo ujemnym i szkodliwym, bardzo wstrętnym w swojéj istocie, jest kobiéta, dama lepszego świata, młoda, przystojna, sprytna, znająca sztukę przypodobania się wdówka, która zamiast się wydać drugi raz za mąż, co nie przyszłoby jéj z trudnością, woli prowadzić proceder wypożyczania sobie po przyjaźni cudzych mężów, gotowa do podobnych przysług przez wzajemność wszystkim żonom.

Pani Wiatrowiczowa uchodzi w salonach za kobiétę całkiem przyzwoitą w opinii kobiet; mężczyźni utrzymują to tylko przez dyskrecyą i interes osobisty, każdy bowiem miéwa z nią jakieś konszachty, jakieś do niéj tajone pretensye i jakieś od niéj słodkie nadzieje.

Jest tylko jeden Cierski, adwokat, który przed laty załatwił z nią rachunki i... odrzucił jéj rękę, przenosząc nad zalotną wdówkę, niejaką panną Adę, młodszą, świeższą, posażną córkę z dobréj rodziny, która wyszła za niego za mąż tak, jak to się wychodzi dość często, z zamkniętemi oczyma, oczekując od małżeństwa ciekawych a przyjemnych niespodzianek.

Te nadzieje widocznie zawiodły młodą mężatkę; małżonek najzacniejszy, najpoczciwszy z ludzi, kochający ją prawdziwie męską, spokojną, zaufaną miłością, pracował za dużo i za wiele czasu spędzał nad aktami swoich klientów, a za mało zaglądał do salonu swéj żony, aby zobaczyć jak i z kim bawi się jego pani. Jako człowiek rozsądny a mąż przezorny, powinien był to zrobić tém bardziéj, że ta nagła przyjaźń i sympatya dla jego żony ze strony kobiety, która chciała niegdyś sama to miejsce zająć, musiałaby mu się wydać podejrzaną; powinien był to zrobić, aby się przekonać, jaką rolę właściwie odgrywa w jego domu młody Don Juanik p. Tuszewski, śpiewający zbyt czułe romanse pani Adzie i przesiadujący zbyt często w jéj towarzystwie.

Przypuśćmy jednak, że nie miał na to czasu i dotknięty był kurzą ślepotą mężów skazanych na noszenie rogów; tak każe nam przypuszczać autor, któremu to do zawiązania intrygi w sztuce jest potrzebne, zwłaszcza do uplanowania zemsty wzgardzonéj swego czasu Wiatrowiczowéj. Przygotowuje ona bowiem piekielną intrygę, chce wplątać

w romans niedoświadczoną Cierską, wyprawić ją z Tuszewskim w świat i skłonić do porzucenia męża. Oto jéj zemsta, bardzo sroga i bardzo dyplomatycznie przez długi czas przygotowywana, ale czy należycie usprawiedliwiona powodami, charakterem, temperamentem i całą osobą Wiatrowiczowéj?... zdaje mi się, że niezupełnie.

Kiedy coś podobnego robi namiętna i mściwa Klotylda w „Fernandzie“ Sardou'a, mszcząc się najokropniejszym zawodem małżeńskim na swoim byłym kochanku, gdy go żeni z upadłą dziewczyną na to, aby mu potém oczy otworzyć i powiedziéć mniéj więcéj to samo, co powiedziałaby Cierskiemu bohatérka komedyi Lubowskiego: „Wzgardziłeś mną dla innéj, masz!... zobacz, jak wyszedłeś na téj zamianie!“ kiedy coś podobnego robi Klotylda, to ma przynajmniéj na usprawiedliwienie swoje wielką miłość zawiedzioną i wielką namiętność nienasyconą, któréj wszystko oddawała w ofierze; była kochanką tamtego i należała do niego,—tylko do niego długie lata.

Ale pani Wiatrowiczowa jest kobiétą z innéj gliny, jest naturą pospolitszą, zwyczajną salonową kokietką, nie zdolną do żadnych głębszych uczuć po za flirtacyą, jest kobiétą, która nie zdaje się miewać wiele pretensyi, ani do swoich obecnych, ani do swoich byłych kochanków; przynajmniéj co do Cierskiego, dawny stosunek z nim niczém tak poważném nie jest nacechowany.

Nie kochali się, nie należeli do siebie, on jéj nie zdradzał, nie porzucił po zaprzysiężonéj miłości; nie chciał się tylko z nią ożenić, — to przykre, ale to znów nie powód dla każdéj kobiéty, aby tak długo i tak demoniczną zemstę przygotowywać mu za to, zwłaszcza kiedy się jest — panią Wiatrowiczową, pocieszającą się bardzo łatwo po stracie nawet kochanków, a nie dopiéro niedoszłych konkurentów do jéj ręki.

W tym psychologicznym motywie bohatérka komedyi nie jest dość jasną i konsekwentną.

Wichrzy jednak, nurtuje, plącze siatkę swą około przyjaciółki Ady zręcznie i przebiegle; a co najważniejsza, udaje się jéj nawet wmówić w młodą mężatkę, że powinna uciec z innym, skoro ją mąż zaniedbuje a Tuszewski kocha, bo jeśli nie ucieknie, to... kochanka straci, a męża wplącze w pojedynek. Biédna Ada, która sobie i tak wiele sprawy nie zdaje ze swoich uczuć i swoich postępków, pisze list do Tuszewskiego, że ucieknie z nim; gotowa jest zrobić to kapitalne głupstwo i tę potworną zdradę, nie kochając wcale swego uwodziciela. Jest więcéj naiwną, niż zepsutą, roztargnioną niż złą, godną pożałowania, niż odpowiedzialną za swoje niekonsekwencye życiowe; ale takiéj wła-

śnie żony rozsądny mąż nie powinien ani na chwilę pozostawiać bez troskliwéj opieki i bacznéj uwagi.

Jeśli ucieczka nie przychodzi do skutku, to zasługę ma w tém jedynie przypadek; pani Ada, szukając mieszkania Tuszewskiego, myli się w drzwiach, dzwoni, otwiérają jéj, wchodzi do pokoju i zastaje w nim męża jednéj ze swych serdecznych przyjaciółek, p. Rabsztyńskiego, który tu sobie urządził apartamencik na tajemne schadzki ze swojemi... przyjaciółkami po za domem.

To *qui pro quo*, sytuacya bardzo drażliwa i dwuznaczna otrzeźwiają nagle oszołomioną kobiétę, zwłaszcza gdy za drzwiami słyszy głos i kroki męża, sprowadzonego tutaj również przypadkiem; takie moralne ocknięcie jest bardzo prawdziwém w duszy kobiéty młodéj i uczciwéj, która dała się skusić na ślizką drogę wiarołomstwa bez głębszéj przyczyny psychologicznéj. Ada wraca do domu wyleczona, z zamiarem wyrzeczenia się miłosnéj awanturki, z postanowieniem dochowania wiary mężowi; to wszystko bardzo piękne i szlachetne. Ostatnia rozmowa z Tuszewskim pełna godności, odebranie kompromitującego listu od niego bardzo przezorne, skrucha wobec męża nader chwalebna, żal do Wiatrowiczowéj za pokuszenia bardzo słuszny; wszystko to jeszcze da się zmieścić w ramach charakteru i pogodzić ze sobą na gruncie komedyi, ale Lubowskiemu to nie wystarcza, daje się unieść efektom dramatycznéj sytuacyi i swoję panią Adę dla większéj ekspiacyi popycha do heroizmu, który przerasta ją samą, zwłaszcza taką, jaką poznaliśmy w pierwszéj połowie sztuki; każe jéj upaść na kolana i wyspowiadać się dobrowolnie z grzechu myślą, z chęci niedoszłéj do skutku, z zamiaru ucieczki z Tuszewskim, a na poparcie swojego oskarżenia oddać mu dobrowolnie ów fatalny dokument, list, pisany z namowy przyjaciółki.

Niezaprzeczenie, ta sytuacya jest silnie dramatyczna, sprawia efekt głęboki sama w sobie, wstrząsa widzem i rozrzewnia go nawet, tylko — ona nie należy do téj saméj komedyi, do tych samych osób, do téj saméj akcyi, nie pozostaje w organicznym związku z całością i nastrojem sztuki, odskakuje od wszystkiego i wydaje się niekonsekwencyą, za mało przygotowaną, za błaho usprawiedliwioną.

Taka Ada, jaką widzimy w dwóch pierwszych aktach, byłaby mniéj może sympatyczną, ale prawdziwszą, gdyby chyłkiem z niedoszłéj schadzki wróciła do domu zdyszana, przestraszona, jak dzieciak, spłoszony z cudzego ogrodu, w którym mu się chciało zrywać zakazany owoc, gdyby zaczaiła się, spokorniała i w obawie przed wykryciem prawdy zbliżyła pierwsza do tego męża, lepszego od wszystkich kochanków na kuli ziemskiéj, a nauczkę swą schowała na samém dnie serca i pamiętała o niéj do końca życia.

Taka Ada byłaby zrozumialszą i konsekwentną.

Obeszłoby się bez tragicznéj sceny zerwania małżeńskich więzów, bez zburzenia całego szczęścia domowego, bez tego rozdźwięku przykrego, który psuje widzowi humor, a akcyi rozwiązanie. Tymczasem dramat w komedyi kończy się na rozejściu małżonków, na pokazaniu drzwi intrygantce i kusicielce, na bolesnym zgrzycie dwóch serc, po którym przychodzi jeszcze akt piąty i wraca nastrój krotochwili...

Wiatrowiczowa bowiem nie poprzestaje na roli intrygantki z dramatu, ona jest obok tego intrygantką z komedyi; ma swoję partyą *serio*, i swoję partyą *buffo* w sztuce. Z Cierskim odgrywa dramat, nawet tragedyą, ale z Rabsztyńskim i z Wileckim śmieszną i zabawną krotochwilę, krotochwilę miejscami doskonałą, pełną werwy, komizmu i dowcipu w prawdziwie francuskim stylu; tutaj ona jest bez zarzutu i bez zastrzeżeń wyborną i na swojém właściwém miejscu, kiedy przyjaźni się z żonami, a bałamuci mężów, od pierwszych bierze pożyczki, aby drugim kupować upominki, wodzi za nos dwóch żonatych wielbicieli, dając im jednoczesne schadzki, a przygotowując sobie w odwodzie własnego męża w osobie zbogaconego filistra, jakiegoś mieszczańskiego parweniusza, Metzgera, od którego *à conto* małżeńskiego szczęścia przyjmuje brylanciki w podarunku. Tu się ją widzi całą i prawdziwą, w właściwéj mierze i w właściwém oświetleniu, na tle ani za ciemném, ani za jaskrawém; również to jéj otoczenie sylwetkowe z salonowéj komedyi, ci małżonkowie Rabsztyńscy—ona zazdrosna o niego na każdym kroku, on sympatyczny łobuz i kobieciarz, — ci Wileccy, z których on sprytny frazesowicz, okłamujący żonę i świat cały swą pozorną wiernością i powagą, a ona łatwowierna: ci wszyscy są wybornie podpatrzeni z natury, na gorąco, na świeżo przeniesieni na scenę.

Byłaby może jedna rzecz do zakwestyonowania wogóle, a mianowicie: możliwość takiego towarzyskiego stosunku i tak zażyłéj przyjaźni uczciwych i przyzwoitych kobiét lepszéj sfery z taką Wiatrowiczową; ona trochę za bardzo burmistrzuje w tym światku, za wiele jéj uchodzi i jakoś trudno pojąć, że wogóle dobry instynkt kobiécéj uczciwości i przyzwoitości nie ostrzega tych pań, że ta „przyjaciółka“ dość podejrzanéj egzystencyi, a nie zbyt czystéj opinii (stary weredyk Wierusz, uosobienie morału w sztuce, nie oszczędza jéj wcale wobec wszystkich) nie jest dla nich właściwém i odpowiedniém towarzystwem. To obcowanie z kobietą tak zepsutą i przewrotną, tak usłużną i tak śliskich obyczajów, byłoby zrozumiałém bardziéj, gdyby do niéj lgnęły pokrewne natury, smakujące w tém życiu i téj sferze, którą reprezen-

tuje p. Wiatrowiczowa, pomimo zachowywania wszystkich pozorów. Młode mężateczki, szukające miléj rozrywki, zakazanych owoców, a przynajmniéj przedsmaku ich w flirtacyi za plecami mężów, przy pomocy usłużnéj przyjaciółki, byłyby wytłómaczone w takim stosunku przyjaźni, ale ani Rabsztyńska, ani Wilecka, ani w gruncie rzeczy obałamucona chwilowo Cierska nie są materyałem na prawdziwe przyjaciółki pani Wiatrowiczowéj. Dzieli je cała przepaść charakterów, usposobień, pojęć i skłonności.

Nie można powiedzieć, aby tu „znalazł swój swego“ i trzeba przypuszczać, że stosunki te krótko trwać musiały przed rozpoczęciem komedyi, a na zawsze ustały po jéj ukończeniu z chwilą, gdy zdemaskowanéj intrygantce wszyscy — pokazali plecy.

Wiatrowiczowa wraca tam, skąd się znęciła w życie nasze i na scenę—wyjeżdża oburzona za granicę, grożąc nową zemstą wszystkim mężom.

Do kompletu figur należy jeszcze kilkoma rysami narzucony, ale bardzo wyrazisty typ plotkarza i pieczeniarza salonowego w osobie radcy Bibiszewskiego i starego kawalera Wierusza, po którym z początku widz spodziewa się czegoś więcéj, niż gołosłownych utarczek z bohaterką komedyi.

O zaletach ostatniéj sztuki Lubowskiego trzeba powiedzieć z uznaniem, należném ożywionéj fakturze, potoczystemu dyalogowi, sceniczności—największéj może tu, ze wszystkich jego komedyi—umiejętnemu zainteresowaniu widzów do samego końca, plastyce figury głównéj i pobocznych drugoplanowych; zarzuty odnoszą się głównie do budowy sztuki i do pomieszania dwóch stylów, dramatu i krotochwili, do braku potrzebnéj jednolitości nastroju. „Przyjaciółka żon“, jako komedya pięcioaktowa sprawia pod względem organicznéj spójni wrażenie pięciu komedyi jednoaktowych raczéj, z których każda sama w sobie ma niepospolite nawet zalety sceniczne; taki np. akt drugi, rozgrywający się w najętym pokoju Rabsztyńskiego, do którego sztucznemi sprężynami wprawdzie, ale z wielkim humorem i dowcipem sprowadza autor wszystkie niemal swoje figury, tryska werwą i komizmem sytuacyi od początku do końca; to samo da się powiedzieć o akcie piątym, odskakującym od nastroju dramatycznego dwóch aktów środkowych.

Sztukę grano doskonale w starannéj obsadzie, z któréj swym wybitnym talentem do ról salonowych i konwersacyjnych, wyróżniała się pani Lüde (Wiatrowiczowa), daléj p. Wolski szczerym, wybornym komizmem i naturalnością celujący w roli Rabsztyńskiego, obok swobodnéj gry p. Tatarkiewicza. Z wielką siłą uczucia i godnością cier-

pienia traktował p. Ładnowski rolę Cierskiego, p. Wisnowska zaś wyraźniejszą stronę zadania swego w roli Ady opracowała z właściwą sobie inteligencyą i pomysłowością. P. Kotarbiński (Metzger) szczęśliwą odbył próbę w kierunku charakterystycznym, w którym kiedyś po zupełnéj abdykacyi z ról bohaterskich, będzie może szukał pod koniec zawodu pola do popisu; pp. Szymanowski (Bibiszewski), Trapszo (Wierusz), panna Czakówna i Barszczewska, jako młode mężatki, zasłużyli się dobrze sztuce i autorowi.

Repertuar Teatru Małego powiększyła wyborna farsa trzyaktowa z angielskiego p. t. „Niebieska grota“. Zakwestyonowano niesłusznie jéj pochodzenie, przypuszczając, że tylko Francuz mógł się zdobyć na tyle werwy i humoru, pogmatwania sytuacyi i scenicznego sprytu; okazało się, iż jéj autorem jest rzeczywiście Anglik, pisarz u nas wcale nieznany, Pinero, ale w Londynie używający rozgłosu i powodzenia.

Pomysł godny farsy, wyzyskany doskonale. Pani sędzina Harris ukryła przed mężem pięć lat wieku, poślubiając go, jako wdowa. Ten grzech próżności kobiecéj mści się na niéj fatalnie; pragnąc uprzedzić ojca chrzestnego swojego jedynaka, bawiącego właśnie w Londynie, o tym podstępie, idzie odszukać go w restauracyi, nazwanéj „niebieską grotą“ i skłonić do dyskrecyi. Nieszczęściem, policya otacza grotę i aresztuje w niéj wszystkich gości, w podejrzeniu, że natrafiła na bandę szulerów; więźniów stawiają przed sąd, gdzie zasiada Harris, który dał się skusić przez swego pasierba i również w „niebieskiéj grocie“ hulał z wesołym młodzieniaszkiem, ale w krytycznéj chwili zdołał się wymknąć strażnikom bezpieczeństwa publicznego.

Przy śledztwie cała rodzina spotyka się w najgorszych warunkach, przychodzi do wyjaśnień i oto okazuje się, że p. Harris również oszukał żonę, przedstawiając się jéj młodszym o lat kilka.

Dużo szczerego śmiechu budzi swoim komizmem gra p. Sikorskiego w téj farsie, zabawnéj po francusku, ale po angielsku przyzwoitéj.

M. Gawalewicz.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Historya nowożytna“ przez Tadeusza Korzona. Z 64 rysunkami w tekście, mapą historyczną i tablicami genealogicznemi. Tom I do 1648 r. Kraków. Nakład G. Gebethnera i Spółki, 1889, 8°. str. 539.

Znakomity badacz wewnętrznych dziejów Polski za Stanisława Augusta znanym jest już od dawna z wybornych swoich podręczników historyi starożytnéj i średniowiecznéj. Obecnie mamy przed sobą część trzecią dziejów powszechnych, historyą nowożytną, opracowaną znacznie obszerniéj od poprzednich, gdyż otrzymaliśmy dopiéro tom I-szy o sporéj objętości, liczy bowiem 539 stronic, sięgając tylko do r. 1648. Jeżeli już poprzednie części szczére i zasłużone zdobyły sobie uznanie i rozeszły się wśród szerokich kół czytającéj publiczności, o ileż bardziéj należy podnieść zasługę autora wydającego historyą nowożytną. Brak podręczników do dziejów powszechnych dawał się u nas od dawna czuć dotkliwie, skazani byliśmy na posługiwanie się płodami obcych literatur; próby, jakich u nas pod tym względem dokonywano, były mniéj lub więcéj nieudatne, mniéj lub więcéj niewolniczo opiérały się na obcych książkach; samodzielnych podręczników nie mieliśmy dotąd. Nie zdobyliśmy się nawet, ku wstydowi naszemu, na napisanie dobrych podręczników szkolnych i do dzisiaj używają w szkołach naszych, tłómaczeń książek niemieckich. Podręczniki p. K. były więc bardzo na czasie, były urzeczywistnieniem pragnień i oczekiwań naszych, i pierwszym samodzielnym krokiem na tém polu, dla nas, którzy wogóle tak mało zajmujemy się dziejami powszechnemi. Podręczniki te, choć w części zastąpią nam obce tego rodzaju książki, przedewszystkiém zaś świéżo wydana „Historya nowożytna.“ Jeżeli bowiem do dziejów starożytnych i średniowiecznych używaliśmy i używamy licznych wybornych podręczników obcych, to do dziejów nowo-

czesnych nawet w literaturze niemieckiéj, głównie zasilającéj nasze powszechno-dziejowe wiadomości, nie ma podręcznika, trzymającego środek między książką szkolną, a szerokiém, kilkotomowém opracowaniem, podręcznika, któryby treściwie, a jednak nie zbyt sucho i lakonicznie, podał sumę najnowszych rezultatów badań nad dziejami nowszych czasów. Najbardziéj używane i najwięcéj rozpowszechnione charakterystyki Pütza są już przestarzałe i zresztą zupełnie nie wystarczające. Naturalnie, że takie na wielką skalę zakrojone podręczniki, jak Weissa lub Webera, albo wydawnictwa Onckena lub Grotego, nie wchodzą tu w rachubę. Książką taką w znacznie ciaśniejszych trzymaną ramach, opartą na najlepszych opracowaniach specyalnych pojedyńczych państw i ludów jest dzieło p. K., którego tytuł podany na czele. Nie jest to praca przeznaczona dla szkoły, nie jest z drugiéj strony wystarczającą dla fachowych historyków, ale dla téj wielkiéj, wykształconéj publiczności, która nie oddaje się szczegółowym studyom historyi, a pokarmu duchowego w zbyt obfitych dozach nie znosi. Książka p. K. w tych rozmiarach, w jakich jest, jest najlepszą i najodpowiedniejszą, nietylko w naszéj literaturze, bo tu nawet trudno o porównanie, ale wyróżnia się nader korzystnie z pomiędzy podręczników niemieckich równéj objętości. Jest, można nawet powiedzieć, jedynym teraz; wiedzą dobrze ci, którzy przygotowywali się do egzaminu kwalifikacyjnego z historyi, że do starożytnéj i średniowiecznéj nie trudno im było o podręcznik, gdy przyszli do nowożytnych dziejów, nie wiedzieć było, czego używać: jedne podręczniki zbyt małe i niewystarczające, inne zbyt obszerne; książka p. K. zaradziła złemu, kandydaci nauczycielscy będą z niéj mieli doskonały podręcznik do nauki.

Pan K. stoi na stanowisku czysto naukowém i na najnowszych badaniach naukowych opiéra swoje opowiadanie; nie bawi się w żadne doktrynerskie poglądy historyozoficzne, nie narzuca czytelnikowi swoich zapatrywań, nie wysnuwa daleko idących wniosków sposobem praktykowanym częstokroć w innych podręcznikach: coby się stało, gdyby... i t. d., lecz rzecz swoję opiéra na faktach i te przedstawia bezstronnie z powagą i spokojem, cechującemi prawdziwego historyka. Prawda, że mielibyśmy autorowi do wytknięcia kilka drobniejszych usterek, ale usterki te nie są wcale zasadniczéj natury, ani zbyt ciężkiego kalibru. Idzie tu przedewszystkiém o podział na okresy; rzecz to niewątpliwie najmniéj podlegająca zarzutom, najwięcéj może pozostawiona swobodzie autorskiéj, gdyż różni z różnego stanowiska na rzecz się zapatrują i według rozmaitych punktów widzenia dzielą materyał. Pole też do sporów i wymiany zdań bardzo obszerne, a zasady nie bardzo uchwytne; mimo

to, pozwolę sobie nazwać podział autora na okresy nie zupełnie słusznym, a umotywowanie jego nie zupełnie uzasadnionem. Pan K. dzieli mianowicie dzieje nowożytne na cztery okresy: 1) Odrodzenia i odkryć, 2) Reformacyjny 1517—1648, 3) Równowagi politycznéj 1648—1789, 4) Rewolucyjny 1789—1815. Tom I-szy obejmuje tylko dwa pierwsze okresy, a więc te tylko wchodzą tu na razie w rachubę. Okres odrodzenia i odkryć, jako osobny, nie ma o tyle należytego uzasadnienia, że jestto właściwie tylko czas przygotowawczy, przejściowy z wieków średnich do nowszych, nie dający się ani wprzód, ani wstecz, oznaczyć ściśle jakimś epokowym wypadkiem, gdyż czas wielkich odkryć nie ustaje jeszcze, gdy już się rozpoczął okres reformacyjny. Czy nie należałoby raczéj połączyć te okresy, i odkrycia jako wstęp do nowożytnéj historyi opowiedzieć? W takim razie okres reformacyjny możnaby podzielić na trzy podokresy: 1) odkryć, 2) reformy kościelnéj, 3) wojen religijnych; a trwałby on do r. 1598 do pokoju w Vervins. Hiszpania schodzi z dominującego swego stanowiska i rozpoczyna się okres tworzenia się państw nowożytnych z Francyą na czele do r. 1714 do pokoju utrechckiego. Dzieje panowania Karola V i Filipa II nie nadają się zaś do tworzenia podokresów.

Ale, jak mówiłem, rzecz to drobnéj wagi i nie mająca wpływu na wartość książki. Już słuszniejszym może być zarzut z powodu chronologicznego układu książki. Autor bardzo trafnie posługuje się metodą synchronistyczną, nie idzie jednak zatém, ażeby wypadki wcześniejsze opowiadać znacznie później, ażeby je chronologicznie przerzucać i gmatwać. Opowiedziawszy np. o odkryciach, o reformacyi, aż do zamknięcia soboru Trydenckiego 1563 r., przyczém naturalnie wciąż mówi o Karolu V, którego elekcyę opowiada na str. 82, wraca autor znowu do Maksymiliana I i opowiada pokrótce jego panowanie (str. 114—6), na następnych stronicach o młodości Karola V i początkowych jego rządach w Hiszpanii (str. 116 — 120). Następnie dopiero czytamy o wyprawie Korteza na Meksyk i Pizarra do Peru (str. 120—130), gdy przeciwnie, równoczesną wyprawie Korteza podróż Magalhaensa czytaliśmy już na str. 48—9. Czyż nie należało te wyprawy w jednym okresie odkryć połączyć? Tak samo i o druku (str. 23—5) powinniśmy się byli prędzéj dowiedzieć, niż o odrodzeniu i wielkich uczonych owego czasu, gdyż druk był przecież potężną dźwignią nowego ruchu umysłowego i ogromnie się przyczynił do ogarnięcia szerokich warstw.

Kilka drobnych omyłek należy jeszcze sprostować. Autor powiada na str. 8, że Leonardo da Vinci „odléwał w Medyolanie pomnik ks. Franciszka Sforzy (nieukończony)“, jak gdyby rzeczywiście do odlé-

wania przyszło; tymczasem był to tylko model gipsowy, mający dopiéro późniéj przybrać bronzowe kształty, który Francuzi 1499 r. po zajęciu Medyolanu zniszczyli. Rafaela zwie autor „Sanzio lub Santi“ (str. 11), podczas gdy dowiedzioném zostało, że dawniejsza nazwa Sanzio była błędną i on zwał się tylko Santi. Urodził on się nie 1484 r., lecz w Wielki piątek 28 marca 1483 r. Albuquerque nastał już w jesieni 1509, nie 1510 r. (str. 29); Kolumb urodził się nie 1445 (str. 35) lecz 1456 r., jak dowiódł Peschel; spisek załogi podczas pierwszéj wyprawy Kolumba w celu wrzucenia go do wody (str. 38), jest późniejszym wymysłem, według badań Humboldta (*Kritische Untersuchungen über die histor. Entwickl. der geogr. Kenntnis v. d. neuen Welt*, II, 114) i Peschla (*Zeitalt. d. Entd.*, 168). Szwajcarzy nie wydali Ludwika Moro Sforza (str. 62), lecz zdradził go jeden wieśniak czy najemnik. Wojna Polski z zakonem (str. 213) zaczęła się już 1519 nie 1520 r.; złoty floren jest w Polsce już za Jana Olbrachta i jeszcze wcześniéj, nie za Aleksandra (str. 240); kalendarz gregoryański zaprowadzono w Polsce 15-go października 1582 r. tak jak w Rzymie, nie 21/1 1584 r. (str. 265), którą datę wziął autor, zdaje się, z „Encyklopedyi kościelnéj.“

Kilka nieznacznych niedokładności jest także w opowiadaniu o początkach reformacyi w Niemczech.

Autor opowiada, że dopiéro po śmierci cesarza Maksymiliana w r. 1519 Leon X, wyprawiając legata Tomasza Kajetana na obiór nowego cesarza, polecił mu wejrzéć w sprawę Lutra na miejscu (str. 80); Luter został wezwany do Wormacyi, gdzie stanął przed kardynałem i t. d. Tymczasem Maksymilian umarł 12/1 1519 r., obiór Karola V-go odbył się 28/6 1519 r. w Frankfurcie n. M.; konferencya zaś z kardynałem odbyła się jeszcze za życia Maksymiliana. Mianowicie w październiku r. 1518 udał się kardynał Tomasz z Gaety na sejm augsburski i zawezwał przed siebie Lutra na polecenie papieża, który mu kazał zająć się przesłuchaniem tegoż. Ale przedtém już wezwał był papież Lutra osobném pismem, ażeby się stawił w Rzymie w przeciągu 60 dni celem usprawiedliwienia się. A więc poruczenie téj sprawy Kajetanowi nie było „dopiéro“ pierwszém zajęciem się nią ze strony Rzymu; tylko na prośby elektora sas., ujmującego się za Lutrem, zezwolił papież na zwolnienie go z podróży do Rzymu, powierzając sprawę legatowi, i przed nim stanął Luter w Augsburgu nie w Wormacyi i odbyła się konferencya w dniach 12—14 października 1518 r., która nie doprowadziła do niczego. Autor opowiada, że Luter „oświadczył, iż apeluje od decyzyi legata do soboru“ (str. 81), podczas gdy on wobec notaryusza i świadków założył protestacyą a „*male informato ad melius informandum papam*,“ a dopiéro, gdy Leon X-ty

wydał bulę, w któréj bronił odpustów, odwołał się do soboru. W roku 1520 wydał Luter trzy dzielka, nie dwa (str. 82), mianowicie: 1. *An Kaiserliche Majestät und den christ. Adel deutscher Nation* (w uwadze tytuł nie całkiem dokładnie podany)— 2. *Von der Freiheit des Christenmenschen*, 3. *Von der babyl. Gefang. d. Kirche.*

Niedokładném poniekąd jest również, jeżeli autor na str. 448, w sprawie miasta Donauwörth 1605 mówi, że Rudolf II uprosił ks. Bawaryi Maxymiliana, aby użyczył obrony prześladowanym katolikom; ten wysłał naprzód komisarzy, a następnie zmusił miasto do poddania. Sprawa miała się bowiem w ten sposób, że opat świętokrzyski z Donauwörth przedłożył skargę przed *Reichshofrath*, która to władza oburzona znieważeniem wysłanych dla śledztwa swoich komisarzy, wyrzekła banicyą na miasto, poruczając egzekucyą tego wyroku Maksymilianowi ks. bawarskiemu. Na str. 451 powiada autor, że Maciej zażądał korony cesarskiéj na sejmie niemieckim, za życia Rudolfa, gdy chodziło tu tylko o elekcyą jego na rzymskiego króla. Na str. 471 zapomina autor, że elektor brandeburski, otrzymał przez pokój westfalski większą część Pomorza zachodniego. Wreszcie wyrażę wątpliwość, czy podany na str. 14 portret Rafaela, rzeczywiście wyobraża tego artystę, gdyż jeśli się nie mylę, ma to być według nowszéj krytyki portret Bindo Altoviti; czy nakoniec owe widziadła, walki z dyabłem i t. p. odnoszą się do ostatnich lat życia Lutra, czy do pobytu jego w Wartburgu, gdyż tam, a nie w Wittenberdze, jest *Luterzimmer* z ową słynną plamą atramentową na ścianie.

Fałszywéj zdaje się stylizacyi jest winą, że czytamy na str. 111, jakoby Meksyk leżał w Ameryce południowéj.

Jak widzimy, są te wszystkie usterki tak błahe i nic nie znaczące, że nie przynoszą właściwie żadnéj ujmy książce i jeżeli je podnoszę, to dlatego jedynie, ażeby je usunąć w drugiém wydaniu, którego książka ta niewątpliwie w krótkim się czasie doczeka. Jeżeli już zajmujemy się tak gorliwie wyszukaniem, choćby z mikroskopem w ręku, ujemnych stron obecnéj książki, to niech nam wolno będzie dwie jeszcze wypowiedzieć uwagi: Po pierwsze, życzyćby należało, ażeby kulturny pierwiastek znalazł był w książce téj szersze opracowanie, aniżeli jest w istocie. Wprawdzie p. K. nie zapomina ani o sztuce ani o nauce, ale jest to jeszcze nie wystarczające dla książki, wcale poważnéj rozmiarami; zaczyna wprawdzie od odrodzenia się sztuki i nauk i wspomina o trzech największych mistrzach odrodzenia, ale z tych kilku dat nie dowie się czytelnik, czém ci ludzie byli dla sztuki, w czém leży ich wielkość, jakie są charakterystyczne piętna każdego. O innych potężnych mistrzach pędzla lub dłuta nie słyszymy. Tak samo i stanowi-

sko takiego Rotterdamczyka i Reuchlina nie określone należycie, charakterystyka ich za pobieżna; nie mówię już o innych. Na ten rozwój cywilizacyi należało większy nacisk położyć i więcéj mu poświęcić miejsca.

Po drugie chętniebyśmy widzieli, gdyby podręcznik taki, jak obecny, przeznaczony głównie dla szerszéj publiczności, nie był przeładowany taką masą not poniżéj tekstu, jak właśnie książka p. K. Bo co najmniéj ze trzy czwarte tych uwag możnaby wygodnie, albo zupełnie pominąć, albo wciągnąć do tekstu, bardzo często bowiem nawet dziwić się trzeba, po co autor to lub owo powiada w nocie. A tych not jest nieskończenie wiele, nie ma prawie stronicy, na któréjby ich nie było, a czasem jest ich po kilka na jednéj. Gdyby ich nie było, albo gdyby autor był przynajmniéj znacznie oszczędniéj je porozdzielał, książka zyskałaby niewątpliwie na przejrzystości, tak zaś, jak jest, uwaga czytelnika co chwila się rozrywa, co szczególnie dla przeciętnego czytelnika, niefachowca, może być nawet nużące.

Jeżeli książce téj można jednak tylko tyle zarzucić, to przyzna każdy, że wychodzi ona zwycięsko; wobec tego, że nie mamy drugiéj, któraby choć w przybliżeniu mogła iść z obecną w porównanie, historya p. K. powinna się znaleść na stoliku nietylko fachowego historyka, ale każdego wykształconego czytelnika. Znajdzie w niéj każdy sumienne zestawienie faktów, na którém polegać można w zupełności, znajdzie jasne i zajmujące opowiadanie dziejów do połowy XVII w., które przykuć zdoła uwagę każdego myślącego. Dodajmy jeszcze, że książka ta zewnętrznie bardzo korzystnie się przedstawia, że ozdobiona jest kilkudziesięciu wcale udatnemi ilustracyami, według współczesnych wzorów; dotychczas ilustrowanych dziejów nie mieliśmy wcale. Na końcu znajdujemy wreszcie skorowidz osób, ułatwiający bardzo poszukiwanie, oraz mapę historyczną Europy, między latami 1500—1648 i kilka tablic genealogicznych. Książką swoją przysłużył się p. K. bardzo naszéj historyografii i świadczyłoby to pochlebnie o naszém społeczeństwie, gdyby książka ta mogła wyjść wkrótce w drugiém wydaniu, jak dzieje starożytne i średniowieczne (pierwotnie „Kurs wieków średnich“) tegoż autora, na co ze wszech miar zasługuje.

F. Bostel.

Źródła dziejowe, tom XIX.—Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym. Tom VIII. Ziemie ruskie, Wołyń i Podole, opisane przed Aleksandra Jabłonowskiego (Warszawa 1889).

Przed kilku już laty, profesor Pawiński rozpoczął wydawnictwo źródeł do geograficzno-statystycznego opisu „Polski XVI wieku“, po-

dając zarazem, główne wyniki badań, opartych na wydawanych materyałach. Dotychczas opracowane zostały województwo wielkopolskie i małopolskie (4 tomy) [1]). Obecnie w 19-ym tomie „Źródeł dziejowych“ p. Aleksander Jabłonowski wydał takież materyały, odnoszące się do dwóch województw dawnéj Rzeczypospolitéj: wołyńskiego i podolskiego, przydawszy cenną rozprawę, w któréj znajdujemy opis geograficzno-statystyczny obu prowincyi.

Zebrane tu materyały, są to wykazy poborowe z ksiąg podskarbińskich, które téż wogóle stanowią główne źródło całéj publikacyi. Dotyczące Wołynia wykazy, pochodzą z lat 1570, 1577, 1578, 1583 i 1589. Regestra podolskie są uboższe co do zawartych informacyi, pochodzą zaś przeważnie z epoki 1565—1583. Wydawca jednak, dla uzupełnienia takowych i dla porównawczych zestawień, poprzedził je sumarycznemi spisami z lat 1530 i 1542. Nadto podał bardzo ciekawy opis starostwa kamienieckiego z 1566 roku. Głównie za podstawę przyjęto, aby wydawać wykazy poborowe z czasów Batorego, jako dosięgające względnie najwyższéj dokładności. Znajdujące się tylko luki dopełniane są wykazami z lat o ile można najbliższych z epoki Zygmuntów. Zebrane w tym tomie regestra nie przedstawiają pełnych wykazów poborowych w ich pierwotnéj postaci, są to tylko wyciągi i sumaryusze, które byłyby dostateczne, gdyby nie brak dokładności w wielu razach. Porównywając je np. z odnośnemi wykazami województw koronnych, od razu daje się zauważyć wielka różnica co do ścisłości podawanych wykazów. I tak w Wielko- i Mało-Polsce spisy prowadzone są podług parafii, tutaj mniéj systematycznie, nie uwzględniając nieraz powiatów, mianowicie co do poborowych wykazów z większych kompleksów dóbr książęcych i wielko-pańskich. Również najrozmaitsze przyczyny wywołują tu często zboczenie od stałéj podstawy przy rozkładzie podatków; nie ma téż jednostajnéj miary ziemi, różne bywają w różnych okolicach, inne jeszcze w wielkopańskich włościach; częste zaś spustoszenia przez Tatarów, a w ślad potém idące, kolejne prace kolonizacyjne, wytwarzają czasem dziwną rozmaitość dat poborowych w tychże samych miejscowościach, oraz zadziwiające falowanie ludności, a to wszystko razem wzięte, utrudnia w wysokim stopniu wyprowadzenie ścisłych obliczeń statystycznych.

Niemniéj przecież p. Jabłonowski zdołał zapanować nad tym różnorodnym, może niedostatecznym, ale po raz pierwszy nagromadzonym materyałem, przedstawiając geograficzno-statystyczny zarys

---

[1]) Małopolska XVI wieku obejmowała 3 województwa: krakowskie, sandomierskie i lubelskie. Późniéj dopiéro do Małopolski zaliczono województwo ruskie.

ziemi wołyńskiéj i podolskiéj w drugiéj połowie XVI wieku. Zastrzega się autor, że pełnego obrazu dać nie mógł, że cyfr absolutnie ścisłych dostarczyć nie mogły zebrane źródła, że zestawione wnioski i wywody uwydatniają najbardziéj tylko podstawowe kontury. Mimo to jednak, nadzwyczaj wysokie znaczenie przyznać należy rezultatom naukowym osiągniętym w téj pracy, bo przedstawia całe grupy nowych faktów ówczesnego życia w danych prowincyach, uwydatnia wszystkie ich właściwości i oświéca bardzo wiele różnorodnych stron, w zakresie miejscowych stosunków społeczno-ekonomicznych. Najtreściwszy przegląd téj poważnéj a cennéj pracy wskaże główne przynajmniéj zdobycze naukowe przez nią osiągnięte.

W trojakim kierunku zwróconą jest uwaga wydawcy przy opracowywaniu zebranego materyału, a mianowicie: wyprowadzenie i ustalenie granic powiatów i województw wraz z obliczeniem powierzchni; następnie statystyka ludności z uwzględnieniem różnych grup składających tę ludność; wreszcie zbadanie stosunków własności ziemskiéj — przedmiot mający doniosłe znaczenie nietylko ekonomiczne ale i polityczne zarazem.

Więc najprzód, aby módz przystąpić do wymiarów powierzchni, p. Jabłonowski wyszukuje granic powiatów Wołynia i Podola. Zmudna to praca, bo jeszcze za króla Stefana, linie graniczne powiatów ustalonemi nie były. Dla otrzymania cyfr, o ile można najdokładniejdniejszych, autor posługuje się wszelkiemi mapograficznemi wskazówkami, uwzględnia i znane akta graniczne z dawniejszych czasów i wyniki badań etnograficznych i wreszcie wykazy miejscowości z ksiąg poborowych. Zaznaczywszy te miejscowości na mapie, autor wykreśla główne linie graniczne powiatów. Otrzymane w ten sposób przestrzenie, wymierzone zostały za pomocą geograficznego pomiaru i specyalnych obliczeń (dokonanych przez matematyka E. Klima), i wyprowadzona ogólna cyfra powierzchni. Takowa jednak różni się cokolwiek od cyfr podanych w swoim czasie w dziele Friedericha (*Histor. geogr. Darstellung Alt- und Neu Polens*, *Berlin*, *1839*). I tak, wedle p. Jabłonowskiego województwo wołyńskie miało 742.18 mil. kw., podolskie 347.83 m. kw.; wedle zaś Friedericha woj. wołyńskie 754.59 m. kw., podolskie 391.67 m. kw. Cyfry poszczególnych powiatów większe przedstawiają różnice, bo jedne powiaty są podług Friedericha rozleglejsze, inne znacznie mniejsze od wykazanéj u pana J. przestrzeni. Różnicę tę tłómaczy autor tém, że granice powiatów za króla Stefana inne być mogły jak w czasach Stanisława Augusta.

Załatwiwszy się z pomiarami, autor przystępuje do obliczenia miast, wsi i łanów, a następnie cyfry ludności.

Dawne miasta i miasteczka na Wołyniu i Podolu, mniéj więcéj równomiernie były rozłożone w stosunku do przestrzeni. Wszystkich razem było wobu województwach 105, w wołyńskiém wypada 1 miasto na 10 mil kw.; w podolskiém 1 na 9 mil kw.; najwięcéj miasteczek w powiecie czerwonogrodzkim (1 na 3.44 m. kw.). Ale owa liczba miast częstéj ulega zmianie. Przybywa ich wiele, ale téż i ubywa wskutek przyczyn najrozmaitszych. Z wyrachowań poborów opłacanych z łanów przez miasta i miasteczka, p. Jabłonowski pragnie uwydatnić stopień ich siły, względną miarę zamożności i kolejnego rozwoju. Dane jednak ówczesnych sumaryuszów uważa autor w wielu razach za niedostateczne, spotyka téż niekiedy gmatwaninę nie do rozwikłania. Wątpliwemi téż wydają mu się cyfry uprawy rolnéj miast wołyńskich po śmierci króla Stefana, a we 20 lat po Unii tak znacznie spadłe. Przyczyną tego mogły być spustoszenia tatarskie lub znana nieśpieszność potężnego księcia Konstantyna do zasilania skarbu koronnego. Co do miast podolskich, takowe wnosząc z cyfr poborowych, podupadły były także po r. 1569 na czas pewien. Falowanie takie — wzrostu i upadku spostrzegamy ciągle w miastach tutejszych. Co do przeciętnéj liczby łanów liczących się na jedno miasto, to jeżeli w województwach małopolskich przyjęto za normę 10 łanów, tutaj cyfrę tę podwoić można, co téż potwierdzają w przybliżeniu wykazy poborowe.

Obliczenie wsi w stosunku do przestrzeni, niemałe przedstawia trudności. Tu już nietylko niedokładność wykazów poborowych stoi na przeszkodzie, ale ta mianowicie okoliczność, że „w każdym niemal roku, nietylko stan wsi jest różny, ale ilość sama inna“. Przeto za podstawę dla obliczenia wsi na Wołyniu, autor przyjął wykazy z 1583 roku, dopełniając je danemi z lat pobliskich. Dla Podola kombinuje wykazy z lat 1578 i 1583, i dochodzi do cyfry: 1600 wsi na Wołyniu (2.1 na 1 m. kw.) a 650 na Podolu w r. 1578. Szczupłą cyfrę osad wiejskich na Podolu tłómaczy autor istnieniem wówczas stepowéj pustyni na Podniestrzu. Wogóle zaś w województwach ruskich mniejszą jest gęstość wsi, niż w województwach koronnych. Na każdą zaś wieś przypada na Wołyniu i na Podolu przeciętnie 5 do 6 łanów.

Przystępując daléj do przybliżonego obliczania ludności, autor wyłuszcza metodę, jakiéj się trzymał przy wyprowadzeniu liczby głów należących do każdéj z kategoryi poborowych. Normy przyjęte uzasadnione są szczegółowo, a oparte na dokładném rozważaniu stosunków miejscowych. Podstawą obliczenia jest łan kmiecy, a na 1 taki łan liczy się głów 12. Oprócz kmieci, występują inne grupy opodatkowanéj ludności; każdą z nich rozpatruje autor szczegółowo, przyczém spotykamy nierzadko uwagi ogólniejszego znaczenia. Tak np. obli-

czając parochów greckiego obrządku (popi), autor wyjaśnia ostatecznie, gdzie biorą początek podania o opłatach z cerkwi — te zaś podania przed laty mniéj więcéj 30, wydęto do rozmiarów skandalicznéj sprawy wydzierżawiania cerkwi żydom. Parochowie, trzymając ziemie cerkiewne, nadawane przez dziedziców dóbr, dzielili się z niemi częścią swych dochodów, nadto opłacać musieli pobory na rzecz skarbu królewskiego, wnoszone przez właściciela. Jeśli więc ów właściciel władał połową, czwartą częścią włości i t. d., zapisywano, że płacił od $1/2$ popa, od $1/4$ popa i t. d., czasem $1/8$ lub $1/10$ cząstkę. Co więcéj, przytacza autor wieś Nowosiółkę w powiecie łuckim, będącą w podziałach. Każdy ze współdziedziców płacił odpowiednią część za parocha. A za $1/6$ część majętności będącéj w zastawie, oraz za $1/6$ część popa, płacił zastawnik, ów rozgłoszony z aktów kijowskich Abraham, „żyd turyjski“.—„Czy tedy—pisze autor—trzymał on w zastawie od błahoczestywego wołyńskiego pana i $1/6$ część cerkwi z dochodami, odpowiadać nie potrzebujemy“.

Zestawiając poszczególne liczby obu odłamów ludności, wiejskiéj i miejskiéj, autor podaje ogólne cyfry, dotyczące wysokości i siły zaludnienia obu województw w stosunku do powierzchni, i wylicza, że w owéj epoce ludność cała wynosiła 391,516 głów. Z tego wypada na Wołyń 293,780 (396.9 na 1 m. kw.), na Podole zaś 97,736 (280.3 na 1 m. kw.). Ludność miejska przedstawiała około 18%. Wedle więc cyfr tych, Wołyń względnie silniéj był zaludniony od Podola, zbliżony więcéj do pobliskiego województwa lubelskiego. Na Podolu znów ludność miejska znacznie liczniejsza nawet w stosunku do Małopolski.

Jako dopełnienie powyższych wywodów, następuje obszerny ustęp o rozmieszczeniu geograficzném zaludnienia, dostarczający wielu ciekawych rysów.

Zaznaczywszy najpierw charakterystykę geograficzną kraju, autor zwraca uwagę na różnicę chronologiczną—jak się wyraża—kultury obu prowincyi. I za pomocą głównych, wytycznych rysów dziejowych, wykazuje wyższość warunków, w jakich znajdował się Wołyń, przedstawiający starszą o wiele kulturę od Podola, jeszcze przed paru wiekami obłożonego haraczem tatarskim, obecnie zaś stanowiącego kresy koronne, wciąż pustoszone i wyludniane.

Dla uwydatnienia stopnia i rozmiarów uprawy ziemi pod pług zajętéj w poszczególnych obrębach, oraz siły zaludnienia, pan J. poczynając od Polesia wołyńskiego, robi przegląd głównych włości, podając ich wymiary statystyczne, oraz stosunek liczebny wsi, łanów i mieszkańców. Ile tu pracy w przeprowadzeniu tych obliczeń, ale jak okazałe rezultaty, mimo trudnego zadania, wobec tak różnorodnych

warunków ówczesnego życia. Połać leśna województwa wołyńskiego okazuje się mniéj rolna od właściwego Wołynia, ciągnącego się aż do podolskiego Poboża. Szczególnie w pasie pogranicznym Polesia od strony północnéj, po dolnym biegu rzek spływających do Prypeci, ludność miejscowa ubocznie zaledwie trudni się rolnictwem, tak mały znajdujemy tutaj stosunek uprawnych łanów. W pasie południowym, pomyślniejsze są stosunki rolnicze. Atoli cyfry stosunkowe względną tylko przedstawiają wartość, w wielu bowiem włościach poleskich są ogromne przestrzenie puszczy bezrolnych. Odjąwszy je, pozostałe ziemie wykażą znacznie wyższy stopień zaludnienia. Zapewne rolnictwo stało tu na drugim planie, ale inne przyrodzone ziem tutejszych bogactwa nęciły osadników. Więc leśne gospodarstwo i rybne, myśliwstwo, pasieki, rudnie—to wszystko ściągało ludność, a bory, błota i bagniska, stanowiły naturalną ochronę od najazdów tatarskich.

W połaci wołyńskiéj, jeżeli uprawa roli o wiele była silniejszą niż na Polesiu, za to taka rozmaitość w stosunkach rolnych, że stopień uprawy nie daje się unormować. Obok okolic z silniejszą uprawą, nie brak także pustoszy, jak np. nad średnim biegiem Słuczy. Podole dzieli autor na dwie części: Poboże (część północna) i Podniestrze (część południowa). Najwyższy stopień uprawy i zaludnienia znajdujemy w stronie południowo-zachodniéj województwa, po prawéj stronie Zbrucza (pow. Czerwonogrodzki). Poboże tylko koło Międzyboża i Latyczowa mocniéj pod pług zajęte. A Podniestrze od Kalusa do Murachwy — to prawie stepowa pustynia. Przeciętnie norma uprawy na Podolu daleko nie dorównywa normie wielkich włości południowego pasa Polesia, a cóż dopiéro stron krzemienieckich.

Nie mniejsze zajęcie przedstawia dalszy ustęp pracy pana J. o stosunkach własności ziemskiéj. Autor rozpatruje tutaj trzy główne typy posiadłości ziemskiéj: dobra królewskie, duchowne i szlacheckie, te zaś dzieli na wielką, średnią i drobną własność ziemiańską.

Dobra królewskie w epoce Batorego znajdują się w zupełnym upadku, szczególniéj na Wołyniu. Doszczętnie niemal roztrwonione są tutaj przez hojny szafunek Jagiellonów, lub drogą zastawów, z wyjątkiem tylko trzech starostw przy stolicach powiatów. Podole baczniéj było strzeżone, oprócz trzech starostw przy grodach, jest tu jeszcze drugie trzy starostwa (skalskie, barskie, chmielnickie), oprócz tego pojedyńcze włości, lecz te zdawna pozastawiane, są na drodze „uniezależnienia“, inne znów włości zamkowe, rozdane pod obowiązkiem służby wojskowéj, przeobrażają się w gniazda drobnych rodów szlacheckich. Pan J. podaje przytém ciekawe cyfry rozległości i dochodów królewszczyzn. Duchowieństwo obu wyznań dzierży sporo

majętności. Wołyń ma trzy katedry biskupie, Podole czwartą; archimandrye, monastery i cerkwie wschodniego obrządku bogato również uposażone szczególniéj na Wołyniu.

Co do dóbr szlacheckich, Wołyń jest krajem potężnych latyfundyi, pochodzenia dynastycznego, a dawniejszéj formacyi historycznéj. Ogromne posiadłości tutejszych kniaziów idą z dawniejszych dzielnic książęcych, wszelkie zaś przywileje wielkoksiążęce lub królewskie są dla nich,—jak słusznie twierdzi pan J. — raczéj potwierdzeniem naturalnych praw potomstwa, niż formą donacyi za zasługi obdarowanych. A jak rozległemi były te posiadłości dynastów wołyńskich, dość zajrzéć do cyfr nagromadzonych. I tak, posiadłości Ostrogskich obejmowały 242 mil kw. kraju, czyli 32% całego województwa wołyńskiego, Zbaraskich 51 m. kw., Sanguszków 64, Czartoryskich 36. I na Podolu jest kilka rozległych latyfundyi (Jazłowieccy, Lanckorońscy, Sieniawscy, Herburtowie), ale tutaj mają one inny charakter, bardziéj szlachecko-możnowładczy. Średnią własność ziemiańską przedstawiają na Wołyniu rody drobniejszych kniaziów i szlachty, na Podolu rody szlacheckie polskie, rusko-litewskie i trochę przybyszów pochodzenia obcego. Drobna zaś własność ziemiańska nie ma ściśle określonego charakteru, w danéj epoce, przechodząc fazę przejściową. Tu bowiem zaliczają się włości zostające w zawisłości feudalnéj, własność zupełna szlachecka, i nakoniec posiadłości zastawne (Podole), które z czasem przeobrażają się na własność dziedziczną. Niezmiernie téż ciekawe są rysy stosunku wielkich kniaziów do całego tego mrowiska ziemian wołyńskich, których nieprzebraną ilość rodów wykrywają nam akta ówczesne.

Taką jest książka p. Jabłonowskiego. Z pobieżnego sprawozdania, które—licząc się z miejscem,—ujęliśmy w możliwie szczupłe ramy, widzieć się daje, jak nieprzebrany materyał historyczny mieści się w wydanych wykazach poborowych, jak wielkie rzuca światło na zupełnie dotąd zaniedbane i nieznane stosunki społeczno-ekonomiczne ubiegłych wieków w województach kresowych. Opis zaś geograficzno-statystyczny Podola i Wołynia na schyłku XVI-go wieku, podany przez wydawcę na podstawie tychże źródeł,—wyborną stanowi charakterystykę kraju i epoki, dotykając wszystkich stron rozwoju wewnętrznego. Niewątpliwie książka ta posłuży do specyalnych studyów, jak na to zasługuje. Informacyjne sprawozdanie nie jest dostateczném dla uwydatnienia całéj jéj wartości naukowéj.

Kazimierz Pułaski.

„Historya ruchu społecznego w drugiéj połowie XVIII-go stulecia“ przez Bolesława Limanowskiego. Lwów, 1888, str. 439.

Rozpoczynająca się z drugą połową XVIII-go stulecia najnowsza doba dziejów powszechnych, wprowadziła na arenę dziejową czynniki nowe, do téj chwili zupełnie w grę nie wchodzące, a zawarunkowane duchem i postępem czasu, oraz potrzebami, jakie wzrost cywilizacyi wskazał społeczeństwom. Przewrót społeczny zarówno w dziedzinie myśli, jak i urządzeń państwowych, przewrót w polityce, która miała niebawem zmienić do niepoznania kartę Europy, wytworzyły nowy prąd cywilizacyjny, znany pod nazwą ruchu społecznego. Zadanie jego zaledwo rozpoczęte, akcya rozgrywająca się zwolna, ale nieustannie przed oczyma dzisiejszych społeczeństw, daleka jest jeszcze od swego ostatecznego rozwiązania, mimo to ma ruch ów już swą historyę, w któréj świéci niejedna krwawa karta.

Pierwszych drgnień nowych poglądów na istotę społecznego ustroju państwa, na jego cele i obowiązki, szuka autor wymienionego w nagłówku dzieła w przedrewolucyjnym okresie XVIII-go stulecia. Dawny porządek, opiérający się na powadze prawa Bożego i prawowitości pochodzenia, obala Locke w swém dziele „Uwagi o prawdziwém pochodzeniu, granicach i celu rządu.“ Pojawiło się ono w r. 1690 i było obroną dążeń rewolucyi angielskiéj z r. 1688. Odwołuje się w niém Locke do woli narodu i czyni go prawdziwym dzierżycielem wszelkiéj władzy. Uczniowie jego Shaftesbury, Toland, Collins, Swift i Bolingbroke idą daléj jeszcze, odrzucają potrzebę religii objawionéj i kierują myśl więcéj ku życiu doczesnemu. Teorye powyższe, w Anglii poczęte, w ojczyznie swéj nie znalazły jednak dostatecznie jeszcze przygotowanego dla siebie gruntu. Świetne położenie materyalne średnich warstw mieszczaństwa angielskiego, znośne położenie socyalne, wystarczająca opieka prawna, nie dozwoliły teoryom, pod oligarchicznemi rządami możnowładztwa, przybrać szerszych rozmiarów. Inaczéj było we Francyi. Tam opozycya znalazła dla siebie pole najdogodniejszego oparcia. Niesłychany ucisk warstw niższych, przeciążenie podatkami, nędza powszechna, spowodowały, że krytyczno-opozycyjny ruch myślicieli angielskich przyjęto jako powiew ożywczy, zwiastujący pomyślniejszą erę. W roku 1721-ym wychodzą listy perskie Monteskiusza; w ślad za niemi pojawiają się angielskie listy Woltera, uderzające całą siłą na duchowieństwo. Diderot i Holbach rozwijają daléj dzieło, które dokończyć mieli Rousseau, Morelly i Mably. Wydana w r. 1759 „Nowa Heloiza,“ spopularyzowała najsilniéj demokratyczne hasła i poglądy o równości, które odtąd z dziedziny teoretycz-

néj, coraz silniéj zwracać się poczynają ku celom praktycznym. Poruszenie umysłowe Francyi udziela się wprędce całéj Europie. Nowe teorye mniéj lub więcéj silném echem odbijają się współcześnie we Włoszech, Niemczech, Hiszpanii i Polsce, gdzie literaturą francuską przeważnie karmiły się warstwy oświecone. W tym téż szczególe szukać należy przyczyny, dlaczego nowe idee filozoficzne zaprawne w tak znacznym stopniu liberalizmem, utorowały sobie drogę aż do tronów. Wolter staje się bożyszczem Fryderyka II-go, Katarzyny II-éj i Stanisława Augusta, a od nich prąd wolnomyślności ogarnia dwory i arystokracyę.

W Polsce epokę dążeń reformacyjnych otwiéra „Głos wolny“ króla Stanisława Leszczyńskiego. Jak dalece zasady encyklopedystów przyjęły się u nas w literaturze, wystarczy przypomniéć pisma Trembeckiego i Węgierskiego, teoretyczne traktaty Kołłątaja, Staszyca, Jezierskiego, oraz cały szereg bezimiennych broszur. Echa tego zainteresowania się Polski literaturą francuską dochodzą i do Francyi. Mably i Rousseau poświęcają nawet Polsce osobne dzieła, w których gwałtownie uderzają na upośledzenie stanu włościańskiego. Nie przebrzmiały głosy te bez skutku. Usiłowania poprawienia istniejącego stanu rzeczy, uwidoczniają się w licznych projektach sejmowych, w kilku odosobniowych przykładach usamowolnienia włościan, ale bieg wypadków politycznych i rozprzężenie przeszkodziło dojrzeniu tego owocu.

We Francyi tymczasem reformacyjne usiłowania coraz szerszy widnokrąg zagarniają. Filozoficzno - teoretyczny kierunek Rouss'a i Mably'ego przybiera charakter podstawowy, ściśle określony kierunkiem ekonomicznym. Zainaugurowali go Quesnay, Dupont i Turgot, twórcy systemu fizyokratycznego i industryalistycznego. Teorye systemu tego odznaczały się humanitarnym poglądem i wiele postępowo radykalnych stawiały żądań, jak np. podniesienia dobrobytu klas pracujących i słuszniejszego podziału praw i obowiązków. Industryalistyczny system rozwinęli w pełni Jan Gournay, Dawid Hume i Adam Smith. Anglii pierwszéj przypadło w udziale nowe pojęcia pchnąć na tory wszechświatowe. Porządek ekonomiczny przez tych myślicieli wprowadzony, na rodzinnym gruncie najpierw się przyjął i najrozleglejsze znalazł zastosowanie. Rozwój przemysłu i kapitalizmu w Anglii, był dla rozpowszechnienia pojęć nowych najsilniejszą podstawą. Odosobnionemi promieniami idee nowe, rozwinięte przez naukę ekonomii politycznéj, rozchodzić się poczęły po lądzie europejskim. W téj wędrówce na gruncie włoskim rodzą się pierwsze wyrazistsze pojęcia systemu, który otrzymał nazwę socyalizmu. Teorya słusznego podzia-

łu bogactw, uważanych za najgłówniejszą podstawę rozwoju i rozkwitu społeczeństw, znajduje coraz liczniejszych zwolenników. Skrystalizować się ona oczywiście musiała tam, gdzie społeczne stosunki najnieprawidłowiéj ułożone, najgwałtowniéj się reformy domagały, a więc we Francyi. Rousseau i Morelly idą na czele i zakładają podwaliny pod nowy system, opiérający się na zasadach ściśle demokratycznych, ludowych. Rousseau stawia zasadę: „wszystko dla ludu przez lud.“ Wola ludu winna być fundamentem ustroju politycznego. Wsparta przez Mably'ego, teorya ta znalazła szeroki odgłos we współczesnéj literaturze zarówno francuskiéj, jak i zagranicznéj, a podjęta przez najświatlejsze współczesne umysły, rzuca na arenę dziejową, jako czynnik nowy, pojęcia socyalizmu.

Dla wyrazistszego przedstawienia przebiegu i rozwoju pojęć, podaje autor obszerny rzut oka na rewolucyę francuską z szczególném uwzględnieniem poruszonych przez nią zagadnień. W tym obrazie rysują się już wcale wyraźnie pojęcia i teorye, które poprzedziły wybuch rewolucyi. We wszystkich postanowieniach, uchwałach i reformach konwencyi narodowéj widnieją już usiłowania wprowadzenia w życie teoryi Rouss'a i Mably'ego, a tylko niedostateczne jeszcze przygotowanie ogółu do tych reform było przyczyną, że nie zdołano ich w pełni przeprowadzić. Rewolucya zaznaczyła żywotność nowych idei, które postęp i cywilizacya wywiesiły na swym sztandarze, i wstrząsnęła w posadach dawnym porządkiem. Od tego dziejowego epizodu rozpoczyna się powolna reakcya w uporządkowaniu spraw społecznych i unormowaniu wzajemnego do siebie stosunku poszczególnych klas i warstw ludności, nietylko w łonie społeczeństwa francuskiego, ale także u innych narodów europejskich. Francya, która w pierwszéj połowie XVIII-go stulecia była moralną przewodniczką Europy w rozwoju myśli filozoficznéj i społecznéj, stała się drogowskazem dla wszystkich późniejszych w tym kierunku usiłowań, a echo gwałtownych wstrząśnień i ich skutki, obiegło z małemi wyjątkami, wszystkie europejskie ludy i państwa.

W chronologicznym porządku charakteryzuje autor z kolei wpływ rewolucyi na poszczególne państwa europejskie, poczynając od najbliższych sąsiadów Francyi, mianowicie rzeczypospolitéj genewskiéj, która w miniaturze wprawdzie, ale z zachowaniem najdrobniejszych szczegółów powtórzyła wypadki paryskie, w Żuławach austryackich, prowincyach cesarstwa niemieckiego, Szwajcaryi, Włoszech, Anglii, Hiszpanii, państwach skandynawskich i t. d.

Osobny rozdział poświęca p. Limanowski Polsce. Usiłowania reformy stosunków społecznych datują się tu od r. 1787, zaznaczyli je

pierwsi Marceli Niemcewicz i Hugo Kołłątaj, pierwszy w liście do króla, drugi w ogłoszonych drukiem listach do St. Małachowskiego. Kołłątaj okazuje się rzecznikiem sprawy ludu, jednym z tych groźnych trybunów, którzy w warunkach sprzyjających, byliby niewątpliwie wzorem Francyi, nie przebierali w środkach, aby zamysły swe przeprowadzić. Stawia on kategoryczne żądanie szlachcie, aby oddała włościaninowi „wolność i jego osoby i jego rąk“, a byłby poszedł niewątpliwie dalej, gdyby nie pełna świadomość, że żądać na razie czegoś więcej od szlachty, znaczyłoby zburzyć gmach cały w jednej chwili. W ślad za Kołłątajem podąża cała falanga zwolenników, jak Staszyc, Fr. Jezierski, Ignacy Potocki, którzy już to piórem, już też czynnie w sejmie myśli jego popierali. Nieznaną po czasy owe wolnomyślnością tchną liczne broszury, jak „Myśli polityczne“, „Głos poddanych“, „Uwagi o chłopach“ i wiele innych, domagające się przedewszystkiem ulgi dla włościan i przypuszczenia mieszczan do niektórych praw obywatelskich. Były głosy te wyraźnym i oczywistym wyrazem przyjętych teoryi Rouss'a o wolności i równości a zaznaczały dobitnie postęp w dziedzinie myśli i przekonań społeczno-politycznych. Sejm czteroletni staje się areną zapasów umysłowych w powyższym kierunku, a wszelkie wnoszone na nim reformy konstytucyi opierały się w pierwszym rzędzie na uznanej przez większość najoświeceńszych w narodzie jednostek, potrzebie reformy socyalnej. Ustawa majowa była ostatniem a najważniejszem dziełem w szeregu owych usiłowań, a lubo miała znaczenie bardziej polityczne niż społeczne, niemniej jednak sprawie reformy dodała wiele moralnej powagi. Podniesienie sprawy włościańskiej i zaznaczenie jej doniosłości było jedną z ważnych zalet ustawy — był to początek pracy nad rozwiązaniem gordyjskiego tego węzła, a sami włościanie upatrywali w tem początek ulżenia losu swego. Świadomie czy nieświadomie wprawiła ona sprawę włościańską w ruch, który w następstwie doprowadzić musiał do zniesienia poddaństwa.

Cały ruch reformacyjny polski, lubo podstawą jego były zbliżone czynniki, miał słabe tylko podobieństwo do francuskiego i tylko nieprzyjaciele reformy starali się go przedstawić w świetle rewolucyjnem dla zohydzenia go w oczach Europy. Zaprzeczyć się nie da, że dopiero ustawa majowa z r. 1791 otworzyła dobę rewolucyjną w Polsce, zachwiała bowiem dotychczasową wyłącznością szlachecką i obudziła nadzieję równości w innych stanach. Nie brakło też licznych zwolenników, którzy nie wierzyli w skuteczność łagodnej rewolucyi i dążyli do zamanifestowania swych przekonań gwałtowniejszemi środkami. W tym kierunku najsilniej zaznaczyło swą działalność stronnictwo, które nawiązało stosunki z komitetem francuskim, niedostateczna zaś

tylko ilość tego żywiołu, który we Francyi był podporą ruchu, spętała usiłowania rewolucyjne téj partyi i nadała im bieg spokojny.

Jedném z ostatnich drgnień umysłowego ruchu Europy w XVIII stuleciu, noszącém piętno pewnéj konkretności w sformułowaniu postulatów społecznych, odnoszących się do ekonomicznych stosunków, były mrzonki reformy agrarnéj we Francyi, które wyłoniły w ostatniéj swéj fazie spisek komunistyczny Graccha Babeufa. Spisek ten to już ostatnie dziecko wielkiéj rewolucyi socyalnéj, którą gasić już począł geniusz Bonapartego.

Jako uzupełnienie nowych teoryi społecznych, które wytworzyła druga połowa XVIII stulecia, przytacza p. Limanowski ekonomiczno-społeczne systemy Godwina i Tomasza Roberta Malthusa. Lubo w teoretycznem przedstawieniu poglądów sprzeczne, w zasadniczych punktach zgadzają się one z sobą zupełnie i służą za podstawę dla kierunków reformy społecznéj, regulowanéj zasadami ekonomii politycznéj i statystyki, któréj powolny rozwój wzięła za zadanie doba najnowsza. Godwin za wiele spodziéwa się od swobodnéj czynności człowieka i od udoskonalenia instytucyi politycznych, Malthus rozwija teoryę ludnościową a z nią obawy o następstwa przeludnienia i środki zapobiegawcze. Obaj schodzą się na punkcie zapatrywań co do postępu ludzkości, wszelako gdy Godwin zanadto wierzy w wszechpotęgę rozumu ludzkiego, tak dalece, że rzuca nawet zupełnie poważne pytanie, dlaczego człowiek nie mógłby się stać kiedyś nieśmiertelnym, Malthus zwraca się więcéj w kierunku pozytywnym do wiedzy ścisłéj i doświadczalnéj i z niéj wysnuwa swe głębokie poglądy.

O ile pod względem zgromadzenia materyału źródłowego i wyzyskania takowego, dzieło p. Limanowskiego odznacza się sumiennem opracowaniem, o tyle ze względu na układ uczynićby mu można zarzut pewnéj dorywczości. Zauważyć się to daje szczególniéj w tych ustępach, w których autor rozwój idei społecznych traktuje pośrednio przez skreślenie życiorysów najwybitniejszych w téj dziedzinie koryfeuszów i myślicieli. Słabą stroną metody powyższéj jest ta okoliczność, że rozwój idei nie przedstawia się w swym nieprzerwanym wątku, a jądro kwestyi zdaje się być odniesionem więcéj do poszczególnych osobistości, niż samego przedmiotu. Zresztą przedmiot cały traktowany jest na tle ogólnem, z uwzględnieniem ducha i nastroju epoki, jéj prądów i wszystkich czynników, jakie zarysowały się na horyzoncie umysłowego rozwoju Europy w XVIII stuleciu.

Gdy się uwzględni, że przedmiot podjęty przez autora nie doczekał się dotąd systematycznego ujęcia i opracowania, nietylko w naszéj ale i w obcych literaturach, gdy się zważy ogrom materyału i jego ró-

żnorodność, dzieło p. Limanowskiego powitać należy jako jeden z cenniejszych nabytków, jakiemi wzbogaciło się w ostatnim czasie nasze piśmiennictwo. *W. Prokesch*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Wacława z Potoka Potockiego* **Merkuryusz nowy.** Poemat historyczny w dwóch częściach, z rękopismu biblioteki poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wydał dr. Bolesław Erzepki (Poznań, 1889, str. XVI, 61).— *Wacława Potockiego* **Dwa nieznane poematy. Zgoda. Do żałosnéj korony polskiéj po traktatach tureckich.** Z rękopismu biblioteki Poznańskiego Tow. Przyjaciół Nauk wydał dr. *Bolesław Erzepki* (Poznań, Piotrowski, 1889, str. V, 17). Najpłodniejszy z poetów naszych XVII stulecia, Wacław Potocki, dopiéro w naszych czasach lepiéj został poznany i oceniony, gdy wydobyto z rękopismów utwory, o których przez półtora wieku głuche panowało milczenie. Najważniejsze miejsce pomiędzy temi utworami zajmuje oczywiście „Wojna Chocimska“, lecz obok niéj, dla lepszego zbadania nastroju i talentu poety-ziemianina, zasługują również na uwagę poematy mniejsze objętością, a mianowicie też „Merkuryusz nowy“. Znany on był dotychczas z wydań Wojcickiego i Nabielaka oraz z przedruku przy drugiém wydaniu „Wojny Chocimskiéj“ (Warsz. 1880, str. 65--371). Obecnie p. Erzepki wydobył z rękopismu nietylko daleko obszerniejszy tekst tego poemaciku (dawniéj obejmował wierszy 282, obecnie 624), lecz nadto drugą jakoby część jego, opisującą zwycięstwo pod Chocimem przez Sobieskiego w 1673 odniesione, a obejmującą wierszy 1316. Wydawca, roztrząsając tekst krótszy i dłuższy pierwszéj części „Merkuryusza“, dochodzi do przekonania, że tekst dłuższy jest pierwotnym, a krótszy—ekscerptem stanowiącym jednak pewną całość, dokonanym albo przez inne osoby, albo przez samego Potockiego. „Autor—mówi p. Erzepki—nie chcąc zupełnie trzymać w ukryciu swojéj pracy, a nie mając odwagi pokazywać jéj światu w całéj rozciągłości, prawdopodobnie ażeby się nikomu nie narazić, zachował dla siebie i najbliższych przyjaciół całkowity oryginał, dla dalszego zaś koła znajomych i wielbicieli talentu swego przygotował tekst ułamkowy, w którym usunięte zostały ustępy, mogące ściągnąć poecie niechęć i prześladowanie“ (str. VIII). Pod tym względem pozwolimy sobie wyrazić odmienne a zgodne ze zdaniem A. Brücknera przekonanie. Według nas, tekst krótszy jest pierwotny i powstał bezpośrednio po wypadkach przez poetę opiewanych, t. j. w końcu 1672 r., kiedy jeszcze pospolite rusze-

nie znajdowało się pod Lublinem i naradzało się nad środkami poskromienia stronnictwa przeciwnego królowi. Poeta stoi po stronie dzielności rycerskiéj, któréj przedstawicielem był Sobieski, ale jeszcze nie utracił wszystkich złudzeń co do króla Michała i dlatego woła do niego: „Nie stój, Michale, nie stój!... Jako pięknie koronie na królewskiéj głowie, kiedy się przy niéj zbrojna prawica opowie... Patrz w zwierciadło książęce, przodków swoich gniazda!“ Zamiarem więc było poety pobudzić króla i rycerstwo do wzięcia udziału w walce przeciwko Turkom, opowiadając im dzielne czyny hetmana pod Komarnem, Niemirowem i Kałuszą. Tém się tłómaczy większe rozpowszechnienie krótszego tekstu w rękopismach, jako środka agitacyjnego. Dopiéro późniéj Potocki, zwyczajem swoim, który i w „Wojnie Chocimskiéj“ widać, rozszerzał tekst pierwotny, mało dbając o to, czy słowa, pisane *już po śmierci króla Michała*, zgodzą się z nawoływaniem do dzielności rycerskiéj. Wtedy to powstały ustępy, piętnujące i traktat buczacki i króla Michała, „że się tym traktatem ucieszył i wyszedłszy z budy, za wielkie to wesele opowiedział braci, że dzisiaj został z króla hołdownikiem.“ Wtedy-to także zamieścił poeta przepowiednię, że Sobieski królem zostanie i t. p. Dodatki te, bardzo ciekawe pod względem przetwarzania się opinii o królu Michale w umyśle Potockiego i szlachty w ogóle, psują przecież artystyczną budowę poematu wywodami i refleksyami, daleko odbiegającemi od obranego tematu. Musimy téż powiedziéć, że tekst krótszy jest o wiele piękniejszy od dłuższego, potężniejsze wywiera wrażenie, bo nie jest tak zachwaszczony dygresyami.

Co do drugiéj części „Merkuryusza nowego“, bardzo słusznie uważa ją wydawca za wypływ tegoż samego ogólnego pomysłu, co i pierwszą; miała ona atoli dany od poety i osobny tytuł: „Pogrom turecki z Husein-baszą pod Chocimem“, jak to wykazał p. J. K. Plebański, opierając się na rękopiśmie z końca XVII stulecia, w którym znajduje się i początek tego poematu, obejmujący 86 wierszy, których w rękopiśmie poznańskim brakowało (zob. „Bibl. Warszawską“ za miesiąc wrzesień 1889, str. 429—446). Poemat ten ma wyrażenia pełne siły i barwności, lecz zbyt téż często razi trywialnością; a nadto zbyt jest przeciążony dygresyami i lubo o wiele ważniejsze zwycięstwo opiewa, niż „Merkuryusz nowy“ w pierwszéj części, nie został dostrojony do wysokości tematu i mniéj sprawia zadowolenia estetycznego, niż krótsza redakcya „Merkuryusza“. Byłoby rzeczą, pod względem literackim wysoce interesującą, porównanie utworu Potockiego z poematem Zbigniewa Morsztyna, tož samo zwycięstwo chocimskie opiewającym, o którym z wielką pochwałą wspomina p. Plebański, iż się we wspom-

nianym rękopiśmie znajduje. W wierszu „Zgoda,“ w którym, jak trafnie p. Erzepki zauważył, „choć dalekiém, ale wyraźném echem odzywają się w kilku miejscach myśli i obrazy,“ wprowadzone przez Jana Kochanowskiego w poemacie pod tymże napisem, autor w nieporównanie cięższych żyjący czasach, niż Jan z Czarnolasu, energicznie występuje przeciwko nadużyciu wolności i wzywa współobywateli do zgody wobec groźnéj potęgi tureckiéj. Zostaje ten utwór w myślowym związku z owym krótszym tekstem „Merkuryusza nowego“ i powstał niewątpliwie, jak wydawca zauważył, w drugiéj połowie 1672 r. Bezpośrednio po niéj, a mianowicie po haniebnym traktacie buczackim skreślony został mniejszéj wartości wiersz: „Do żałosnéj korony polskiéj,“ gdzie chwilowo osłabiony na duchu poeta żegna się z płodną ziemią podolską „wszech żołnierzów matką“ i pociesza się, jak zapewne znaczna część szlachty, refleksyą, iż wszystko na świecie jest zmienne; wini więc głównie „fortunę i przedwieczne wszechrzeczy przyczyny,“ iż Turcy zwyciężyli, choć nie przestaje uważać tego za „niezwykłą plamę“, za którą skroń Polaków farbuje się rumieńcem, i nie zaniedbuje wspomnieć o grzechach, „co siągają nieba.“ Wydanie tych utworów Potockiego jest bardzo staranne; objaśnienia przestarzałych wyrazów po większéj części trafne. Możnaby zarzucić tylko pewne niedokładności, np. w uwadze na str. 3 „Merkuryusza“, że „*ciesze* dla rymu zamiast *czesze.*“

— **Doktór Muchołapski.** Fantastyczne przygody w świecie owadów przez *Erazma Majewskiego.* Ozdobione licznemi rysunkami *Juliana Maszyńskiego.* (Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1890, str. 372). Autor znany ze swoich prac zarówno popularnych, jak badawczych, zajmujący się oddawna z zamiłowaniem entomologią, przedstawia tu w formie lekkiéj i zajmującéj, młodzież głównie mając na uwadze, kształty, obyczaje,—słowem, życie mnóstwa zwierząt, a mianowicie owadów, przeplatając opisy te opowiadaniem o przypadkach zapalonego entomologa, który „ani w dzień, ani w nocy nie zapomina o owadach, a skoro się zapali, wychwalając uroki i rozum napowietrznych istot, najlepiéj wtedy zejść mu z oczu.“ Ilekroć dowiadywał się o odkryciu nowych gatunków przez swych kolegów, tyle razy tęsknym wzrokiem obejmował swoje pudełka, zawierające niedeterminowane jeszcze okazy i wzdychał głęboko. Pragnął wszystkich przekonać, że życie owadów jest rzeczą najciekawszą w świecie, a że miał talent pisarski, wybornie zmistyfikował swego siostrzeńca, a z nim zapewne i wielu czytelników, opowiadaniem przygód doznanych w poszukiwaniu lorda Puckinsa. Przygody oczywiście są fantastyczne, ale rzecz sama

o życiu owadów prawdziwa. Książkę można śmiało polecić do czytania młodym, a nawet i starszym, którzy pragną się bez wielkiego trudu czegoś nauczyć. Ze względów dydaktycznych pożądaną byłoby rzeczą, żeby autor ograniczył się był przedstawieniem życia nie tak znacznéj liczby owadów.

= *M. Henryk Beyle (de Stendhal)*: **Wybór powieści** w przekładzie *Józefy Sawickiéj (Ostoi)*. Warszawa, 1889 (S. Lewental), 2 części, razem str. 710. Długo niesłusznie zapomniany powieściopisarz, znakomity poprzednik Balzac'a w sprawie reformy romansu obyczajowego, Henryk Beyle jest jednym z najgłębszych i najsubtelniejszych psychologów w artyzmie i w naszych dopiéro czasach sprawiedliwą znalazł ocenę. U nas, chociaż niektórzy powieściopisarze, np. J. I. Kraszewski, znali go, nie było dotychczas ani jednego jego utworu w przekładzie, z wyjątkiem krótkiéj „Podróży dokądkolwiek“ napinéj wspólnie z Mussetem, a przyswojonéj językowi naszemu przez J. Korzeniowskiego. Tém radośniéj powitać wypada świéżo wyszłe tłómaczenie dwu jego najważniejszych powieści: „Czerwone i Czarne,“ oraz „Klasztor Kartuzów w Parmie,“ że przekładu dokonała starannie utalentowana nowelistka Ostoja (p. Józefa Sawicka).

= *Dr. Witold Załęski*. **Zasady ekonomiki** (nauki gospodarstwa narodowego). Dzieło wydane z zapomogi „Kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowém imienia d-ra Józefa Mianowskiego.“ Warszawa, 1889. Książka ta jest dość obszernym (około 400 stronic, formatu dużego 8°) podręcznikiem ekonomii, pisanym na wzór szkolnych kompendyów niemieckich. Naukę ekonomii uważa autor poniekąd za część etyki, traktującą o stosunkach gospodarczych. „Zadaniem obecném ekonomiki — pisze w przedmowie — jest nauczać (*sic!*) klasy nieposiadające, że tylko pracą i oszczędnością mogą przyjść do posiadania dóbr materyalnych...“ „Klasom posiadającym ma ekonomika przedstawić ich obowiązek przyczyniania się do podniesienia klas robotniczych i pomagania im do osiągnięcia celów ogólnie ludzkich.“ „Zajęcia ekonomiczne są — według autora — zastosowaniem praktycznέm zasad moralności.“ We „Wstępie“ stara się autor określić pojęcie ekonomii, którą za przykładem Roschera, zgodnie z duchem języka greckiego, nazywa „ekonomiką“ i wyznaczyć jéj zakres właściwy. W rozdziale I-ym mówi o pojęciach zasadniczych; w II-im kreśli krótką „historyą systemów ekonomicznych.“ Rozdział III-ci poświęca nauce o wytwarzaniu, IV o obiegu, V o podziale, VI o spożyciu dóbr ekonomicznych. W rozdziale VII-ym i ostatnim traktuje o „zarządzie ekonomicznym.“ Sposób wykładu polega głównie na przed-

stawianiu zdań i poglądów różnych znakomitszych ekonomistów polskich i obcych. Swoich własnych zapatrywań najczęściéj nie ujawnia autor wyraźnie, zaznaczając tylko niekiedy, w czém się nie zgadza z tym, lub owym cytowanym uczonym. Nie wdając się w rozbiór treści, musimy zaznaczyć, iż język książki jest miejscami niedość poprawny. Po słowach czynnych z przeczeniem, stale używa autor rzeczownika w przypadku czwartym, zamiast w drugim: „nie zdołał *je* (zam. *ich*) przeprowadzić“ (str. 44), „ląd stały Europy nie może brać sobie za wzór stosun*ki* angiels*kie* i teor*yą* Smitha“ (str. 59). Stale również mówi autor: *brakuje co* zamiast *czego*, *szukać co* zam. *czego*, *uważać jako coś* zam. *za coś*, rozumiéć *pod czemś* zam. *przez coś* i t. p. Nadto spotykamy często takie wyrażenia, jak: „każdy, *który* daje“... zam. *kto* daje (str. 109); „może służyć *przykładem*“ zam. *za przykład* (str. 7); „wytwarzać na *zakaz*,“ zam. *na zamówienie* (str. 10); „*drugie* dobra,“ zam. *inne* dobra (str. 12), „*jedna* (zam. *sama*) kosztowność nie jest w stanie dać *początek* (zam. *początku*) wartości“ (str. 15) i t. d. *W. W.*

— *Józef Czernecki.* **Seume, jego życie, dzieła i zasługi.** Przyczynek do dziejów polskich pod koniec XVIII stulecia. Lwów, str. 168.—P. Czernecki przysłużył się literaturze naszéj, publikując prace niemieckiego pisarza z końca XVIII-go wieku i dodając do tego dość dokładny szkic biograficzny. Jeżeli bowiem niektóre z prac Seumego stanowią ciekawy przyczynek do historyi stosunków polskich w odpowiedniéj dobie, to życiorys niemieckiego pisarza i poety jest wybornem scharakteryzowaniem ówczesnych stosunków niemieckich, które przez dzisiejszych historyografów bywają bardzo umiejętnie upiększane. Seume był synem dość zamożnego włościanina, który zubożał i dzierżawiąc karczmę, narażony bywał nieraz na dokuczliwe nagabywania justycyaryuszów. Seume pamiętał krzywdy wyrządzane ojcu i składa owemu typowi znękanego chłopa, najpiękniejszy hołd oświadczeniem: że choć ojciec jego mało mógł czytać, jednak znał wybornie utwory współczesnych poetów niemieckich. Po śmierci ojca zapanowała w domu najzupełniejsza nędza, lecz losem Seumego zajął się hr. Hohenthal-Knauthain, który, widując go wszkole i w kościele, poznał się na jego zdolnościach. Po ukończeniu szkół, Seume począł uczęszczać na uniwersytet lipski, lecz jako 18-letni młodzieniec, nie widząc dla siebie w Niemczech żadnéj przyszłości, drapnął z 9-ma talarami i Tacytem w kieszeni do Paryża, mając zamiar wstąpienia do szkoły artyleryi w Metzu. W wiosce Vach wpadł jednak młody Seume w ręce werbowników landgrafa kasselskiego i został sprzedany Anglikom, którzy go powlekli do Stanów Zjednoczonych Ameryki Pół-

nocnéj, wybijających się wówczas na wolność. Z dzieł Biedermanna: *Deutschland im XVIII-ten J.* i Kappa: *Aus und ueber Amerika*, można się przekonać dokładnie w jak ohydny sposób szafowali niemieccy książęta krwią i mięsem swoich poddanych. Cudem prawie uwolniony od wyroków skazujących go na rozstrzelanie lub na bieganie przez rózgi, dostał się nareszcie, przy pomocy jakiegoś dobrego mieszczanina z Emden, do Lipska i tam zaczął się oddawać pracom literackim. Właśnie podówczas bawiła w Lipsku dla edukacyi syna hrabina Igelström, bratowa ambasadora ruskiego w dawnéj rzeczypospolitéj polskiéj. Polecony przez profesorów lipskich, stał się Seume jéj nauczycielem domowym a następnie z wychowańcem przybył do Warszawy, gdzie go ambasador wziął na osobistego sekretarza.

W Warszawie przebył Seume krytyczne lata 1793 i 1794, a więc był świadkiem ważnych wypadków politycznych. Zacny i lojalny, posiadał zaufanie zupełne generała Igelströma i zaufania tego nigdy i w niczém nie zdradził. Oceniając jednakże stosunki ówczesne w Polsce, nie wyzuł się ani z niepodległości zdania, ani z poczucia sprawiedliwości. Zwłaszcza postać Kościuszki ocenił wówczas Seume w taki sam pochlebny sposób, jak to niedawno uczynili ruscy historycy Kariejew i Miakotin, a w pracach swych pamiętnikarskich zarówno jak i w poetycznych natchnieniach, maluje się dusza zacna i prawa. Słusznie téż w domku rodzinnym Seumego umieszczono tablicę pamiątkową z napisem charakterystycznym:

Rauhe Schale—edler Kern. *A. R.*

= *M. Heilpern.* **Zarys mikrochemii mineralnéj i organicznéj.** Warszawa. Nakładem administracyi „Wiadomości farmaceutycznych“. 1890, str. 108 + XX. Dziełko p. Heilperna ma za zadanie zapoznać czytelnika ogólnie z metodą badań mikrochemicznych, które zwłaszcza w ostatnich czasach, w naukach przyrodniczych bardzo rozległą objęły sferę, oraz głównie dawać wskazówki do przyrządzania odczynników, jakiemi przy badaniach tych się posługujemy. We wstępie autor omawia znaczenie i cel badań mikrochemicznych, poczém w dwu częściach rozpatruje naprzód wstępne badanie cech fizycznych i morfologicznych preparatów mikroskopowych, a następnie treściwie podaje metody analizy mikrochemicznéj, dołączając do tego spis odczynników i spis ważniejszych związków organicznych z ich charakterystycznemi cechami. Samodzielni badacze na polu mikrochemii nie mogą się obyć bez pomocy dzieł większych w obcych językach; jednakże praca p. Heilperna oddać im może duże zasługi, pozwalając najogólniéj się oryentować i dając przepisy na bardzo wielką liczbę odnośnych odczynników. *F.*

— *Herman Hager.* **Mikroskop i jego użycie.** Przewodnik przy mikroskopowych badaniach dla aptekarzy, lekarzy, kupców, techników i t. d. Przekład *Jana Wiesława Radwańskiego.* Kraków. 1890 str. XII + 227 i 322 drzewor. Autor w przystępny sposób wykłada zasady optyczne, na których opiéra się stosowanie mikroskopu, omawia własności wszystkich części tego przyrządu i daje wskazówki należytego z nim obchodzenia się. Po téj części przygotowawczéj, która, zdaniem naszém, zbyt pobieżnie jest opracowana i niezupełnie zaspakaja wymagania czytelnika, autor na szeregu bardzo umiejętnie dobranych przykładów uczy patrzéć przez mikroskop. Daje obrazy najważniejszych substancyi, z jakiemi przy badaniach mikroskopowych spotkać się można i objaśnia je. Tutaj znać w autorze dobrego pedagoga, który własną praktyką stara się przyjść w pomoc początkującemu. Trzeba téż przyznać, że ta druga, główna część dzieła bardzo dobrze i pouczająco jest opracowana. Panu Radwańskiemu, który przełożył na nasz język dzieło Hagera, należy się wymówka za zbyt małą troskliwość o czystość języka. Wydanie książki piękne. *F.*

— *O. Bujwid.* **Rys zasad bakteryologii w zastosowaniu do medycyny i hygieny.** Część I ogólna z 2 tablicami chromolitografowanemi. Odbitka z czasopisma „Zdrowie“. Warszawa, 1890, str. 116. Po krótkim historycznym poglądzie na rozwój nauki o drobnoustrojach, w którym uwzględniono najważniejsze zagadnienia naukowe, wiążące się z bakteryologią, autor omawia dość szczegółowo właściwe metody badania bakteryi, dalej mówi o hodowaniu bakteryi, a w ostatniéj części zapoznaje czytelnika z ich biologią, opisując tu warunki odpowiednie dla życia tych żyjątek i te zmiany, które w materyi organicznéj życie ich sprowadza. Jest to pierwsza część, ogólna, po któréj p. B. przyrzeka wydać część szczegółową, mającą objąć morfologią i systematyczny opis przeważnie chorobotwórczych bakteryi. Książka, którą mamy przed sobą, napisana jest zajmująco, i ze względu na rozległe zainteresowanie, jakie bakteryologia w szerokich budzi kołach, może być i niespecyalistom zalecona, wykład w niéj bowiem jest wogóle przystępny. *F.*

— Zbiór dawnych praw, znany pod nazwą *Volumina Legum*, poczęty przez Pijarów w r. 1732, w ciągu następnych siedmiu lat doprowadzony został do rozmiaru sześciu sporych foliantów. Nastąpiła potém długa przerwa w tém wydawnictwie i dopiéro w r. 1782 wyszły tomy VII i VIII, w których zawarto owoce działalności sejmowéj za czasów Stanisława Augusta. Czasy późniejsze, które na polu prawodawczém tak się czynnemi okazały, tak doniosłe z wielu innych

względów, nie weszły już do tego zbioru, który zamknął się uchwałami sejmu 1780 r. W bieżącém dopiéro stuleciu podjęto myśl uzupełnienia *Voluminów legum*: staraniem księdza A. Jakóbowskiego i pp. M. Bobrzyńskiego, A. Pawińskiego, M. Szymanowskiego, zgromadzono materyał prawodawczy z okresu 1782—1792, porównano z oryginalnemi oblatami w archiwach publicznych i wreszcie w roku zeszłym wydano IX *Volumen*, z górą 500 stron zawierający, a do wydania petersburskiego pod względem zewnętrznym zastosowany. Tom ten zaopatrzony jest Indeksem, który sporządził dr. Zbigniew Kniaziołucki. Historyk, prawnik i statysta znajdą tu bogaty zasób materyału dla swych studyów, oni téż potrafią ocenić ogrom włożonéj przez wydawców pracy. Ale i dla pospolitéj ciekawości, która sobie zadań naukowych nie stawia, jest tu obfita strawa. Z obu tych względów nowy tom *Voluminów* miećby powinien licznych nabywców. Pozostają jeszcze do opracowania lata 1793—1794, pozostają uchwały, pominięte z różnych powodów w tomach poprzednich, jak np. z czasów Stanisława Leszczyńskiego. Nie nazwiemy wreszcie wydania *Voluminów* kompletném, dopóki nie zostanie ogłoszony skorowidz nazwisk wymienionych w całym zbiorze, bez niego bowiem wszelkie poszukiwania bardzo są utrudnione.

— *J. Sembrzycki*, **„Die Lycker Erzpriester Johannes und Hieronymus Maletius“.** („Alt preussische Monatschrift“. Królewiec, 1888, str. 629—651“). W liczbie Polaków, którzy z różnych prowincyi ciągnęli do Prus książęcych około połowy XVI w., by brać udział w propagandzie protestanckiéj, prowadzonéj z Królewca przez nowego księcia pruskiego Albrechta, spotykamy mało znanego a godnego uwagi, ze względu na działalność piśmienniczą, Jana Maleckiego (Maletius), należącego wraz z Seklucyanem do najwcześniejszych pracowników na polu piśmiennictwa religijnego polskiego.

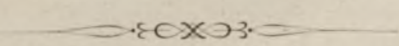
Znany z prac na polu ludowéj literatury mazurów pruskich, p. Jan Sembrzycki z Tylży, pomieścił w królewieckiém czasopiśmie, poświęconém historyi i literaturze Prus wschodnich, zebrane przy pomocy bibliotekarza królewieckiego, d-ra Reicke, wiadomości biograficzne i bibliograficzne, tyczące Maleckich ojca i syna, nieznanych prawie historykom literatury polskiéj.

Gniazdem rodowém Maleckich była zapewne wieś Malec (dziś pow. dąbrowski w Galicyi); Jan Malecki urodził się jednak około Sącza, w końcu XV w. Nauki odbywał w Krakowie. Około 1525 r. zaślubił Dorotę Kunicką. Zajmował się drukarstwem, może tylko jako środkiem propagandy nowych pojęć religijnych. Szukając swobodnego pola dla rozwinięcia swéj działalności, zwrócił się do ks. Albrechta,

który mu nadał kawał ziemi pod Ełkiem (a więc na granicy Polski) i tam założył on na swym folwarku drukarnią (około 1536 r.). Folwark ten istnieje dotąd i nosi nazwę założyciela (Malecewo). W roku 1537 zostaje Malecki proboszczem w Ełku. O działalności drukarni i zatraconych jéj drukach nie podaje p. S. świeżych danych. Obowiązki nowego stanowiska nie pozwoliły zapewne Maleckiemu zajmować się drukarstwem. Po zwinięciu więc zakładu w Ełku, ogłasza swe prace drukiem w Królewcu. Tu wychodzi: „Catechismus, to jest nauka krześciańska od Apostołów dla prostich ludzi we trzech cząstkach zamkniona“. Na karcie tytułowéj podał swe nazwisko „Jan Maleczki“. W 1544 r. nadał mu książę Albrecht 4 włóki i 20 mórg nad jeziorem Regielskiém (dziś wieś Regielnica w pow. łeckim). Pan S. przy téj sposobności wylicza długi szereg polskich pastorów wśród pruskich mazurów, którzy otrzymali między 1550 a 1565 r. podobne uposażenia w ziemi od księcia. W 1567 r. umiera Jan Malecki—syn jego, Hieronim, zwykłą u protestantów koleją, obejmuje po ojcu urząd kościelny. Kształcił się on w uniwersytecie królewieckim pod kierunkiem Sabina i od 1546 do 1552 r. był rektorem szkoły polskiéj w Ełku. Pełni on obowiązki proboszcza w Pisanicy i tłómacza polskiego przy księciu Albrechcie. Pisma religijne (Postylle) ogłasza w języku polskim; umiera 1583 r. Wydał on z rękopisu ojca jego list łaciński, pisany do Jerzego Sabina (rektora w Królewcu) p. t. „Libellus de sacrificiis et idolatria veterum Borussorum, Livonum aliarumque vicinarum gentium“ (Regiomonti, 1563, 6 kart). Jednocześnie ogłosił Hieronim podobnéj treści książeczkę w języku niemieckim, p. t. „Warhaftige beschreibung der Sudawen auff Samlandt, sambt jren Bock heyligen vnnd Ceremonien“ (bez daty i miejsca, 12 kart).

Pan S. przypuszcza, że Malecki, który mieszkając wśród mazurów, nie mógł znać litwinów, a prusacy dawni już wtedy wyginęli, posiadał dane, na jakich oparł swą rozprawkę, od syna, który bawiąc w Królewcu, miał styczność z litwinami, i od jakiegoś wychodźcy z Rusi litewskiéj, jak o tém świadczą białoruskie urywki pieśni pogrzebowéj, przytaczane obok formuł obrzędowych w narzeczu Sudawian.

Br. Chlebowski.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Znowu sprawa opuszczonych niemowląt.—Zapomniane Towarzystwo. — Opieka nad matkami zamiast nad dziećmi.—Artykuł Prusa.—Środki istniejące i praktykowane powiększania szczupłych funduszów.—Wielkie powodzenie „wenty".—Maszyna bez motoru. — Skarga d-ra Mierzyńskiego. — Obojętność ogółu dla „Garnuszka publicznego".—Zakład dla sierót, jako doskonała lokacya pieniędzy.—Dobre chęci „Przeglądu Pedagogicznego" w obec małomówności dziennikarstwa. — Pustki na odczytach. — Pretensye do prof. Dembińskiego.—O spadek ojców. — Odczyt d-ra Milewskiego.—Odczyt p. Szawłowskiego. — Dwa prądy umysłowe i polityczne w wieku XVIII.—Dwie syntezy.—Wielkie myśli i wielkie serca.—Popis humorysty-erudyty Draperem.—Delegacya rolna w sprawie przesilenia.—Środki ratunku. — Czy można się na nie spuścić.

Wypada nam znowu w kilkudziesięciu przynajmniéj wierszach wrócić do kwestyi, omawianéj już w kronice zeszłomiesięcznéj, mianowicie do opuszczonych niemowląt. Sprawa ta z końcem marca nie zeszła bynajmniéj z porządku dziennego, lecz przeciwnie w ostatnich dniach przypomnianą została ogółowi i to z dosyć nowéj strony. Bolesław Prus poświęcił jéj w „Kurjerze Codziennym" trzy bardzo ciekawe i bardzo sympatycznie napisane artykuły.

Zastrzegłszy się jak najbardziéj stanowczo przeciwko posądzeniu o niesprzyjanie przytułkom, które są instytucyą nieraz jedyną, możliwą i pożądaną, zwraca uwagę na ich wady: zachęcają do podrzucań nawet dzieci prawych, pociągają duży koszt i sprowadzają wielką śmiertelność; zaletę ich jedyną stanowi zapobieganie mnożeniu się dzieciobójstw. Za godne powtórzenia poczytuję uwagi Prusa o moralnych warunkach i skutkach wychowania „hurtownego" w przytułkach. „Czy kto—pyta Prus—całuje kiedy to nieszczęśliwe dziecko? Czy ociera jego łzy? Czy wlewa mu w serce otuchę? Czy, klęknąwszy obok niego, uczy go wzniosłéj modlitwy: „Ojcze nasz... odpuść nam winy, jako i my odpuszczamy?..." Nic z tego. Pomiędzy temi opuszczonemi dziećmi

a otoczeniem społecznem, od chwili dojścia do rozumu zaczyna się walka, krzywda i nienawiść. Skutki okazują się niebawem: z pomiędzy 100 małoletnich przestępców, aż 60 pochodzi z klasy podrzutków. Z czworga dzieci nieprawych—twierdzi pewien lekarz francuski—troje umiera przed 12 rokiem życia, a czwarte... idzie do więzienia; szansa występku jest 6 razy większą dla dzieci nieprawych, aniżeli dla prawych".

„Czy wychowanie dzieci po za rodziną—pyta daléj Prus—ma jakąś wartość?—na to odpowiadają cyfry wyżéj przytoczone, te kolonie karne i więzienia, zapełnione dziećmi, chowającemi się po za rodziną, te podrzutki, pochodzące od podrzutków i ta trzy razy większa szansa śmierci, a sześć razy większa szansa występku, zawieszona jak topór gilotyny nad głowami nieszczęsnych ofiar hodowli sposobem fabrycznym. Zdaje się, że jak człowiek nigdy nie będzie mógł spędzać życia w wodzie, pomimo wszelkich wynalazków technicznych, tak dzieci nigdy nie będą bezpieczne po za rodziną, pomimo wszelkich „ewolucyj" społecznych".

Jeżeli więc—rodzi się pytanie—domy wychowawcze zapobiegają tylko zbrodniom matek, ale dzieci nie chronią bynajmniéj od najstraszniejszych nieszczęść, a społeczeństwu dają jak najgorszy materyał, to czém je zastąpić? Wedle Prusa, zagadkę rozwiązała Francya jeszcze w r. 1788, zakładając pierwsze towarzystwo opieki nad matkami, które ma za program: zachęcać matki, aby same pielęgnowały swoje potomstwo i do tego pomagać im, jeżeli są ubogie. Prus przytacza liczby, dowodzące, że towarzystwa takie nietylko znakomicie zmniejszyły śmiertelność dzieci nieprawych, lecz także oszczędziły kosztów na wychowanie biednych niemowląt—matkom płaci się mniéj niż obcym mamkom i wychowawczyniom (liczby, podane na poparcie ostatniego twierdzenia, uległy wprawdzie zaprzeczeniu, ale przez to twierdzenia Prusa straciły tylko na jaskrawości, lecz nie upadły).

Warszawa posiada taką możliwie najlepszą instytucyę od r. 1885. Rozprawiając w kwestyi opieki nad opuszczonemi niemowlętami, wysnuto dziesiątki nowych projektów, zakładano fundamenty pod wiele niezależnych od siebie różnych odmian przytułków, a Tow. opieki nad biednemi matkami i dziećmi pozostawiono w zupełném niemal zapomnieniu. Prawie nie zwrócono na nie uwagi, nie oparto na niém rachuby. Prus ten błąd publicystyki usiłuje naprawić i znajduje, że Tow. opiekowało się zaledwie 2% biednych matek a 1,6% opuszczonych dzieci. Co prawda, w skromnym zakresie swoim Tow. działało wzorowo, przez lat cztery i pół ani jedna matka nie zmarła w zakładzie,

w którym też panuje nie-warszawska schludność. Pomimo to, albo raczéj właśnie dlatego należy sferę wpływu i opieki Tow. rozszerzyć, czemu dotychczas na przeszkodzie staje brak środków.

„Mamy—powiada Prus—gotową i wyborną instytucyę, za pomocą któréj możnaby opiekować się niemowlętami w sposób najtańszy, najnaturalniejszy, chodzi teraz o to, ażeby publiczność całą masą poparła Towarzystwo opieki nad ubogiemi matkami (roczna składka 5 rs.) i ażeby zarząd instytucyi wprowadził niezbędne ulepszenia“. W liczbie ulepszeń Prus zamieszcza energiczniejsze zajęcie zbieraniem członków i gromadzeniem funduszów za pomocą koncertów, odczytów, widowisk i t. d. oraz publikowanie w pismach najważniejszych cyfr i faktów ze swéj działalności przynajmniéj raz na tydzień.

Jak gdyby zgadując myśl szanownego fejletonisty, Towarzystwo, wprzód, nim zdołał on dokończyć ostatniego wiersza, urządziło *wentę*. Nazwa dosyć, co prawda, dla mowy naszéj dzika, oznacza sklep, w którym damy, powodowane miłosierdziem, sprzedają na cel dobroczynny różne towary, bardzo często również stanowiące ofiarę dobroczynności. Wenta trwać miała tylko 3 dni, tymczasem natłok kupujących i nieprzewidzianie obfite zyski sprawiły, że sprzedaż ta po tygodniu dopiéro została zamkniętą. Takie powodzenie przypisać należy, zdaje się, zaniepokojeniu opinii przez świeżą sprawę Skoblińskiéj. To też kiedy ta zapomnianą zostanie, obawiać się można, iż sprawy wrócą do stanu dawnego, a działalność Towarzystwa znowu sączyć się pocznie niedostrzegalnym strumykiem. Urządzanie koncertów, balów i odczytów nie zbawia instytucyi. Bal na Towarzystwo opieki nad biednemi matkami odbył się w tym roku, a pomimo to w chwili potrzeby o Towarzystwie zapomniano.

Powtarzamy tu raz jeszcze myśl dawniejszą w innych nieco słowach. Powodzenie wszelkiéj sprawy, wszelkiego przedsięwzięcia wymaga, aby w niém była żywa dusza, twórcza, czujna, energiczna. To warunek nie zawsze wystarczający, ale zawsze konieczny. Bez niego wszelkie reformy nie ożywią pędu maszyny, pozbawionéj dostatecznego motoru, może ona poruszać się czas jakiś nadanym pędem, ale wartko nie potoczy się nigdy i w końcu zatrzyma ją opór tarcia.

Toż samo powiemy d-rowi Z. Mierzyńskiemu, który w n-rze 11 „Kraju“ skarży się na obojętność ogółu dla zaproponowanéj przezeń instytucyi „garnuszka publicznego“. Ponieważ w Warszawie składki płyną powolnie i nie dosięgnąwszy odpowiedniéj wysokości, wkrótce zapewne wcale płynąć przestaną, więc chciałby on podniecić ofiarność i za pomocą organu, wychodzącego w Petersburgu. Czy rzeczywiście niema wśród nas chęci rzucenia jakiegoś grosza na rzecz publiczną?

Nadzwyczajne powodzenie wenty zdaje się temu przeczyć. To téż prawdopodobnie bliżsi będziemy prawdy, przypuszczając, że chęć ta istnieje, ale jest bierną i kto pragnie powołać ją do czynu, winien być natarczywym, kołatać silnie i długo. Iluż to było zapewne takich, co przeczytawszy w „Kurjerze“ artykuł d-ra Mierzyńskiego, powzięło zamiar złożenia kilku złotych lub rubli na „garnuszek“, ale w téj chwili nie miało czasu udać się do redakcyi, a potém przez zapomnienie rzecz poszła w odwłokę. Nie dosyć jest dać możność złożenia pieniędzy gdzieś w redakcyi, trzeba przyjść i pieniądze te wziąć. Że każda instytucya do życia i rozwoju potrzebuje wcielenia się w nią duszy jednostki, dowodzą nam nazwiska wielkich filantropów, które przyrosły niejako do różnych urządzeń społecznych i świecą na ich froncie, niby złote tablice pamiątkowe. Gdy mowa o przytułkach dla podrzutków, na pamięć przychodzi nam postać wzniosła ks. Baudouin'a i legendy o jego staraniach i poświęceniu, bez których rzecz nie dobiegłaby nigdy do końca. Instytut głuchoniemych to znowu dzieło ks. Falkowskiego, i odwrotnie, życie tego kapłana—to instytut. Wreszcie w zakład dla sierót-chłopców przy Tow. Dobroczynności wcieliła się dusza wspólnego nam wszystkim przyjaciela lat dziecinnych, bajkopisarza Stanisława Jachowicza.

Ostatni zakład miał to szczęście, że znajdował jednego po drugim opiekunów, gorliwych i dbałych, to téż rozwijał się bezustanku, pomimo, że nań nie urządzano balów i rautów. Po Jachowiczu dzieło jego prowadził ś. p. Nell, potém Adam Bartoszewicz, Emeryk Paprocki, a dziś starań i czasu nie szczędzi p. Juszczyk. Początek zakładu należy jeszcze do pierwszéj ćwierci wieku bieżącego. W r. zaś 1839 klęska powodzi pogorszyła stan biednéj ludności—zaszła potrzeba powiększenia przytułku dla dzieci. Jachowicz zajął się gromadzeniem funduszów i w r. 1842 dzięki staraniom jego, zakład przeniósł się do domu własnego na Nowym Świecie (gdzie dziś straż ogniowa). W r. 1864 znowu liczba sierót wzrosła, znowu trzeba było myśleć o nowém pomieszczeniu, a że Tow. Dobroczynności wkrótce potém otrzymało gmach po księżach Dominikanach, więc tam zakład ulokowano i tam do dziś się znajduje.

W obecnéj chwili instytucya wychowuje 158 dzieciaków (od lat 3 do 13). Przed r. 1867, dopóki przytułek mieścił się na Nowym Świecie, było ich tylko 65. Dzieci uczą się w zakładzie, a nadto pewna, stale określona liczba wychowańców pobiera naukę szewctwa i krawiectwa. Ci młodziutcy rzemieślnicy ubierają siebie i wszystkich swoich towarzyszów. W zakładzie znajdują przytułek dzieci podupadłych właścicieli ziemskich i właścicieli domów w Warszawie, kupców,

rzemieślników, służących, wyrobników i t. d., chociaż koniecznym warunkiem jest, aby były mieszkańcami Warszawy, tu urodzonemi. Od r. 1870 zakład opuściło trzystu kilkudziesięciu wychowańców i wszyscy podobno—tak przynajmniéj zapewniają osoby blisko instytucyi stojące—wykierowali się na ludzi porządnych. W każdym razie zakład daje sierotom swoim przygotowanie do życia. Opuszczają go umiejąc czytać, pisać, rachować, a chociażby nawet nie posiadali jeszcze początków rzemiosła, to wdrożeni są do pracy i porządku. To téż majstrowie ubiegają się, o ile wiemy, o uczniów, pochodzących z zakładu sierot.

Z drugiéj strony ogół ludności obdarza zaufaniem „szkółkę Jachowicza“, jak ją popularnie nazywano. Zdarzają się wypadki, że matka nie mając nadziei ulokowania tam syna, przyprowadza go na dziedziniec w chwili zabawy i odchodzi. Malec trzyletni nie jest w stanie powiedzieć jak się nazywa i gdzie mieszkają rodzice jego—zostaje więc w zakładzie.

Ale Warszawa ma dziś pół miliona ludności, kiedy w roku 1867 liczyła jéj zapewne niewiele więcéj nad dwakroć sto tysięcy. Łatwo więc zrozumieć, że znowu zachodzi konieczność rozszerzenia ścian przytułku sierocego i jego środków. W chwili obecnéj na przyjęcie oczekuje 112 sierot, których kwalifikacye sprawdzono, a brak miejsca nie pozwala przyjąć ich natychmiast. 130 zaś dzieci zgłaszało się bez kwalifikacyi.

W łonie Towarz. Dobr. powstał już zamiar uczynienia zadość téj ważnéj a pilnéj potrzebie, zorganizował się nawet komitet pod przewodnictwem księcia Michała Radziwiłła, mający przedewszystkiém na celu gromadzenie funduszów. Należy mieć nadzieję, że chyba się one znajdą. Instytucya daje wszelkie gwarancye pożytecznéj i skutecznéj działalności w sprawie tak doniosłéj, jak wychowanie jaknajwiększéj liczby ludzi porządnych z najmłodszego pokolenia. Posiada ona przeszłość zaszczytną, tradycye dobre, rutynę pewną. Posiada zaufanie i tych, co oddają tam dzieci, i tych, co ztamtąd biorą młodych pracowników. Posiada nadto kierownika gorliwego i biegłego. Potrzeba tylko pieniędzy—to téż wątpić niepodobna, że te na tak pewną lokacyę się znajdą.

Rozwój zakładu sierot wiąże się przytém ze sprawą klęski społecznéj, obnażonéj przez wykrycie przemysłu Skoblińskiéj. Towarzystwo opieki nad matkami pomaga wychowaniu dzieci aż do lat 7-miu, o ile zaś znajdzie pomoc i ulgę w wykonaniu zadania swego w jednéj stronie, o tyle skuteczniéj ratować będzie od zagłady świeżo narodzone ofiary nędzy. Przybywa więc przeto jeden powód więcéj do nieopie-

szaléj pomocy usiłowaniom Towarzystwa Dobroczynności i p. Juszczyka.

Do pewnego stopnia prawdę o potrzebie w każdéj sprawie nietylko inicyatywy, ale natarczywości jednostki, zajęcia się wszystkiemi szczegółami od *a* do *z*, należałoby powtórzyć „Przeglądowi Pedagogicznemu" i jego redaktorowi p. Dawidowi, a chodzi również o opiekę nad dziećmi, o zdrowie i życie przyszłego pokolenia.

Parę miesięcy temu w dziennikach podniesiono brak ogródków dla wychowańców i wychowanic pensyonatów. Spędzają oni i one dni długie w salach, gdzie panuje częstokroć przeludnienie, następnie odbywają przykry spacer gęsiego po ulicach pełnych kurzu; należałoby dać młodym organizmom możność spędzenia kilku chociaż godzin w ogródku jakimś, wyprostowania pogiętych członków wśród zabawy na świeżém powietrzu. Myśl tę poparł również „Przegląd Pedagogiczny". Ale projektodawcom zwrócono uwagę, że piękne ich pomysły są niewykonalne, bo w Warszawie niema ogródków do wynajęcia; gdyby się gdzie jakiś znalazł, to zażądanoby zań Bóg wie jak wielkich sum, a tymczasem pensye nasze robią bokami, wiele z nich bankrutuje, inne ledwie że byt swój utrzymać zdołają. W obec tego „Przegląd Pedagogiczny" wystąpił z nowym projektem, który obie powyższe niedogodności usuwa.

W różnych punktach, dalszych od środka miasta, znajduje się wiele ogrodów i placów wolnych, wystawionych na sprzedaż i latami wyczekujących na nabywcę. Właściciele takich placów chętnie oddają je w dzierżawę na różne użytki. Przełożone więc pojedyńczo, gdyby chciały, lub łącznie, coby usunęło szkopuł kosztowności, mogłyby wydzierżawiać takie place i odpowiednio je urządzać: wstawić ławki, stoliki, ocienić drzewkami (?), a nawet przy pomocy rąk wychowanek obsadzić kwiatami. Co parę dni kolejno każda z przełożonych mogłaby przyprowadzać uczennice swoje, któreby tu oddawały się grom i zabawom, a nawet nieraz pracy. Do poniesienia kosztu przyłożyliby się niewątpliwie rodzice uczennic przychodnich, nie mogący częstokroć wywieść wcale dzieci z rozpalonych murów miasta na wieś.

Redaktor „Przeglądu Pedagogicznego," wiedząc, że rzecz sama się nie zrobi, że osoby interesowane projekt pochwalą lub zganią i przejdą do zwykłego porządku dziennego, postanowił dopilnować niejako, aby przynajmniéj w razie niespotkania większych trudności rzecz doszła do skutku i projekt się urzeczywistnił. Prosił więc pisma codzienne, o powtórzenie odezwy jego do właścicieli ogrodów i placów w okolicy Marszałkowskiéj, Alei Ujazdowskiéj i t. d., wzywającéj do

nadsyłania ofert w sprawie powyższéj. Oferty te miał daléj „Przegląd“ zakomunikować przełożonym.

Od czasu wydrukowania artykułu z tą prośbą, ubiegło dwa tygodnie i ani jedno pismo codzienne, ani tygodniowe, odezwy nie powtórzyło i naturalnie ani jedna oferta nadesłaną nie została.

Czy należy wyciągnąć stąd wniosek, że ogół pism jest wrogo usposobionym dla „Przeglądu“, że z jakichś względów pragnie zabić projekt milczeniem. Broń Boże! Dziennikarze po za sferą niesnasek wewnętrznych są wogóle ludźmi dobrego serca i dobrych chęci, chętnie téż niejeden podjąłby się powtórzenia odezwy p. Dawida, gdyby mu kto powiedział o jéj istnieniu. Niedość więc podać projekt, niedość go poruszyć w piśmie specyalném, trzeba, jeżeli kto chce myśl swoję urzeczywistnić, dobrze się nadreptać, aby bierność ogółu, chociażby dziennikarskiego, przełamać. Może téż i z przełożonemi nie pójdzie tak łatwo, jak sobie szanowny redaktor obiecuje. Ale to są wszystko rzeczy naturalne i konieczne; kto, napotkawszy je opuszcza ręce i biada, ten biorąc się do rzeczy, nie obliczył należycie warunków.

Wypada mi jeszcze powrócić do rady Prusa, aby Tow. Opieki nad matkami fundusze swoje zasilało, urządzając zabawy i widowiska publiczne. Trudno przeczyć, że w wielu wypadkach ten środek prowadzi do celu i wielu protektorów i protektorek różnych przedsięwzięć społecznych tą drogą dochodzi do setek rubli. Ale, pomijając nawet tę okoliczność, iż dobroczyńcy najczęściéj rozdmuchują już i tak nadmiernie rozwinięte słabostki, które późniéj znowu będą musieli pełnić jacyś nowi dobroczyńcy, część pewna tych środków, zdaje się, została zużytą i już nie działa dość skutecznie. Np. odczyty na dochód Osad rolnych w roku bieżącym nie dopisały pod względem finansowym. Żadna prelekcya nie zdołała zapełnić słuchaczami nawet połowy, a może nawet trzeciéj części sali, kilka zaś odczytów z tych, czy może z innych powodów wcale się nie odbyło. Nie zawiodły dotąd tylko bale. Lecz jeżeli powodzenie wszystkich naszych spraw publicznych opiérać na nich będziemy, to może i tu nas spotkać fiasco. Każda potęga ziemska ma swoje granice. Zresztą wieczorów może nie starczyć w karnawale, gdy Wielkanoc wczesna.

Już smutny fakt pustek na odczytach, szczególniéj po przeludnieniu na balach, podnosiliśmy z powodu odczytów d-ra Bujwida. Można było przypuszczać, że temat zbyt specyalny. Ale przyszła koléj na p. Bronisława Dembińskiego, rodem z Prus Zachodnich, a profesora historyi powszechnéj na wszechnicy krakowskiéj. Dotąd zwykle prelegentów, przybywających zdaleka, oczekiwała niecierpliwie nabita po brzegi sala. Zresztą prof. Dembiński mówił o rzeczy zrozumiałéj dla

wszystkich, interesującéj, bo o „Upadku Rycerstwa,“ więc o końcu wieków średnich, biorąc rzecz nie chronologicznie, lecz społecznie, o przetworzeniu się życia narodów całéj Europy zachodniéj. Tymczasem chętnych słuchaczy było mniéj jeszcze, niż kiedy p. Bujwid mówił o „szczepieniach ochronnych.“

Z drugiéj jednak strony odczytu tego nie zaliczyłbym do bardzo udatnych (publiczność z góry o têm wiedziéć naturalnie nie mogła). Szanowny prelegent dał raczéj wyraz pewnym opiniom, aniżeli argumentom. Têm więcéj tego żałować należy, że szanowny profesor rzucił wiele uwag ciekawych, nowych nawet, które bardzoby się nam przydały i o których przy pewnéj jednostajności myśli w Warszawie nie łatwo szerszym kołom usłyszyć.

Jedno z zasadniczych twierdzeń p. Dembińskiego nie wydaje mi się całkowicie słuszne. Mianowicie, wykazawszy konieczność wieloraką upadku rycerstwa, żałował, iż nie wzięło ono udziału w nowopowstającém życiu, bo wniosłoby w nie ducha poświęcenia, patryotyzmu i t. d., nabytego na polach walki, i osłabiłoby egoizm tryumfującego mieszczaństwa. Nie ma kwestyi, że poświęcenie, solidarność i t. d. wyrabiają się nie w kantorze bankiera i nie za stołem kupieckim, lecz wśród czynów bohatérskich, w chwilach niebezpieczeństwa, gdy dla jakiéjś myśli albo interesu, wspólnego narodowi całemu, tysiące idą oddać życie lub wolność. Epoka też, kiedy wojna była najzaszczytniejszém zajęciem, pozostawiła w spuściźnie wiele pierwszorzędnych cnót, niezbędnych w życiu społeczném. Ale czy upadek rycerstwa pogrzebał te cnoty, czy nie stały się one następnie powszechną własnością wszystkich stanów, zarówno synów zwyrodniałego barona-rozbójnika, jak i kupca, który nie widział przed sobą nic prócz zysków. Stany społeczne były odgrodzone, ale nie murem chińskim, jak to zwykle mówią, lecz raczéj błoną: człowiek przedostać się przez nią nie mógł często wcale, ale wytwory życia duchowego miały utrudniony jedynie, bynajmniéj zaś nie zatamowany całkowicie obieg. To téż gdy przychodzi chwila ostatecznego tryumfu nowego świata, kiedy kierownictwo sprawami publicznemi chwytają w swe ręce nowe warstwy, na czele ich, zarówno jak wśród szeregów, widzimy szlachtę, potomków dawnego rycerstwa. Dosyć przypomniéć Mirabeau. A ilu jakobinów głośnych pochodziło z rodzin rycerskich! A daléj: jednocześnie z upadkiem przywilejów stanowych, téj charakterystycznéj i najważniejszéj pozostałości z czasów rycerstwa, rozkwita poezya romantyczna, która lubować się poczyna w męstwie pancernych wojowników, sławi ich czyny — wojny i turnieje. Walter-Scott i tylu jego naśladowców prowadzi nas na wyprawy krzyżowe. Czyż takie idealne odtworzenie życia

przeszłego nie wywarło z drugiéj strony wpływu, nie wszczepiło w pewnéj mierze ducha rycerskiego. Kwestya ta jest ważną i wśród licznych sporów, zajmujących współczesność, często bardzo słyszéć się daje obawa i groźba: podkopujecie stan, wraz z którym zaginą cnoty ojców. Nie, cnoty to nabytek trwalszy niż zmiany formy bytu, to dziedzictwo, które przechodzi nietylko na synów i córki, lecz na całą potomność.

Jeszcze mniéj, bo zaledwie kilkadziesiąt osób, zgromadził odczyt d-ra Józefa Milewskiego, poznańczyka, i również profesora wszechnicy krakowskiéj, który mówił o „Reformie prawa spadkowego w Niemczech.“

W obszernym wstępie, który zajął niemal połowę odczytu, surowo potępił prelegent poniewieraną dziś zewsząd szkołę liberalizmu ekonomicznego, nie szczędząc jéj wyrzutów, bardziéj może ogólnikowych i energicznych, niż nowych. Zwrot przeciw temu kierunkowi miał się uwydatnić w dwóch wybitnych krokach prawodawczych: reformie pracy fabrycznéj w Anglii i (?) prawa spadkowego w Niemczech. Kodeksy cywilne niemieckie, pod wpływem francuskiego, zaprowadziły równy podział spadku, ograniczając prawo testowania; tym sposobem szczególnie własności rolniczéj, do działów niepodatnéj, wyrządziły ciężką szkodę. Wobec tego, a zwłaszcza od r. 1878, kiedy przejęto się w Niemczech rolą opiekuńczą państwa w sprawach gospodarstwa społecznego, zwrócono się do zwyczajów wśród ludności włościańskiéj upowszechnionych, które bądźto w formie szczególnego sposobu dziedziczenia przez jednego uprzywilejowanego spadkobiercę, bądź téż pod postacią umów za życia spadkodawcy zawieranych, dążyły do zachowania w jednych ręku nienaruszonego „warsztatu rolniczego.“ Upatrując w takim kierunku zdobycie przez Niemcy nowéj potężnéj dźwigni dobrobytu, radził prelegent, powołując się na Montesquieu'go, abyśmy dla własnéj korzyści pośpieszyli przejąć od wroga cenny nabytek prawodawczy. Pomijając platoniczny z konieczności charakter takiéj rady, żałujemy przedewszystkiém, że prelegent, spowodowany zapewne charakterem popularnym odczytu, nie zechciał określić bliżéj podjętéj w Niemczech w téj mierze „reformy.“ Zwyczaje ludowe, o których mówił (t. zw. *Auerbenrecht*), trwają daléj w niektórych tylko częściach cesarstwa jako tolerowany wyjątek; zaś nowy projekt powszechnego prawa cywilnego bynajmniéj nie uważał za stosowne wyjątku tego uogólnić. Nigdzie w tym względzie projekt nie ucieka się do radykalnych a wyjątkowych środków, o jakich mówił prelegent, najwyżéj z całą oględnością i w przepisach ogólnych zabezpiecza rozwiązanie współwłasności (§ 769), obniża legitymę, ułatwia

spłatę (§§ 1975, 1978, 1979 projektu). Co się tyczy umów fikcyjnych sprzedaży osady jednemu spadkobiercy za życia spadkodawcy (najczęściéj za dożywocie, *Leibzucht*), które prelegent zdaje się tolerować, a nawet żałuje unieważniania takowych przez sądy nadreńskie na zasadzie kod. Napol., to projekt wspomniony również w zupełności je pomija, utrzymując w mocy dotychczasowe przepisy miejscowe (§ 660). Umowy takie i u nas są częste, a rzadko sympatyczne; oprócz słusznych akcyi poszkodowanego rodzeństwa, lub wierzycieli, widywaliśmy też odartych z mienia Lear'ów chłopskich, samych dożywotników-spadkodawców, z trudem zyskujących unieważnienia nieoględnéj „sprzedaży“ dziedzictwa. Prelegent, wykazując niedogodności różnych sposobów dopełnienia działów (współwłasność, podział w naturze, sprzedaż, nabycie przez sukcesora), zbyt czarno zapatruje się na ten ostatni, najpospolitszy wypadek. Główna trudność polega tu na spłacie; sprawa to bardziéj ekonomiczna niż prawna, i lepiéj może przysłuży się jéj bank włościański, niż artykuł kodeksu. W takim też duchu dotknął był przed kilku laty sprawy majoratów włościańskich p. Kirszrot-Prawnicki, dobrze obeznany ze stosunkami naszego kredytu rolniczego. Zresztą p. Milewski nietylko gospodarstwom włościańskim pragnie przychylić dobrodziejstw wyjątkowego prawa; jest zdania, że należy je zastosować również do większéj własności ziemskiéj, gdyż nie chodzi tu „o osoby, lecz o rzecz.“ Poważamy się sądzić, że i „rzecz“ w tym drugim wypadku jest inna, i w Niemczech samo już milczenie projektu w tym przedmiocie wywołało liczne głosy, domagające się zniesienia fideikomisów. Żałujemy wreszcie, że w odczycie swoim nie zdążył dotknąć mówca prac prawodawczych, podjętych w téj saméj materyi w Austryi r. z.

Odczyt wypowiedziany był płynnie, dobitnie, językiem jasnym, acz niezupełnie wolnym od naleciałości cudzoziemskich („postawić szranki prawne“ i t. p.).

Ostatnie dwa odczyty wypowiedział p. Adam Szawłowski o „Głównych prądach umysłowych i filozoficznych w XVIII wieku.“

W pierwszym z odczytów prelegent zaznaczył jednoczesne prawie wystąpienie przy schyłku wieków średnich dwu prądów umysłowych, które, rozwijając się i postępując równolegle przez cały szereg następujących po sobie wieków, w całéj pełni uwydatniają się w drugiéj połowie XIX-go stulecia. Prąd krytyczny, negacyjny, podkopuje podstawy rozkładającego się zresztą mimowolnie średniowiecznego organizmu społecznego. W tym samym czasie prąd pozytywny lub naukowy wytwarza powoli i zgromadza skrzętnie materyały niezbędne do odświéżenia i odbudowania tego organizmu na podwójnéj podstawie

nauki oderwanéj i przemysłu wielkiego. Pierwszy z tych prądów doprowadził do rozpowszechnienia się doktryny krytycznéj, w polityce demokratyzmem zwanéj, a sformułowanéj jeszcze przez myśliciele XVII-go wieku. Wiek XVIII-ty spopularyzował ją tylko przez niezmordowaną propagandę literacką pod wodzą Voltaire'a i Rousseau. Doktryna demokratyczna nadaje się jedynie do walki z przeszłością, gdy chodzi o wzniesienie na dawnych gruzach gmachu nowego, okazuje się całkiem bezsilną.

Na szczęście jednocześnie na widownią dziejową występuje cały szereg znakomitych geniuszów i talentów, co metodę badań naukowych, z takiém powodzeniem w wiekach dawniejszych stosowaną do zjawisk kosmologicznych, przenoszą w dziedzinę zjawisk moralnych i społecznych, dotąd wyłącznie teologicznie uprawianych. Myśliciele tego pozytywnego kierunku podzielić można na dwie szkoły: 1) szkołę socyologiczną i 2) szkołę filozoficzną moralną. Analizie dwu tych szkół poświęcił prelegent drugi swój odczyt.

Takie było tło. Na niém p. Szawłowski nakreślił szczegóły doktryn, teoryi i wizerunki osób. Dla zrozumienia zdobyczy „wieku wielkiego“ należało się cofnąć, wykazać stan umysłów i nauki w wiekach średnich, skreślić dzieje i warunki zjawienia się pierwszéj syntezy naukowéj Kartezyusza, który za treść i istotę wszechrzeczy uważał ruch i formę. Doktryna ta panuje długo, wyznają ją najpotężniejsze umysły, nie wyłączając genialnego Newtona, chociaż ten zadał kartezyanizmowi cios śmiertelny, dorzucając do skarbca myśli pojęcie masy. Wiek XVIII-ty nie mógł już hołdować syntezie Descartes'a, rozwój nauk pojedyńczych: fizyki, chemii, a nareszcie biologii nagromadził wiele faktów, których wytłómaczyć niepodobna było zapomocą jednego zjawiska (ruchu czy formy). Ale z drugiéj strony tenże wiek nie był w stanie stworzyć wielkiéj nowéj syntezy. Biologia nie była jeszcze usystematyzowana, z socyologii istniały ledwie zaczątki. Można więc było kusić się jedynie o mniejszą lub większą odmianę materyalizmu kartezyańskiego. To téż jeden z największych myślicieli Hume wszystkie swoje utwory tytułuje *Essays*, a Diderot cały geniusz umieścił w ulotnych utworach. Nie mogąc utworzyć całości organicznéj, jednorodnéj, postanowiono ją zastąpić mechaniczną i powstała Encyklopedya — dzieło Diderota i D'Alemberta, podjęte w tym celu, ażeby wiekom następnym przekazać całokształt wiedzy i pojęć ówczesnych. P. Szawłowski poruszył mało u nas szerszemu ogółowi znaną kwestyę syntezy obiektywnéj czyli materyalistycznéj, oraz subiektywnéj czyli pozytywnéj, wykazując, iż wiek zeszły mógł

się wznieść tylko do pierwszéj, do drugiéj nauka i umysły dorosły ledwie w wieku bieżącym.

Obok wyżéj wymienionych osobistości, prelegent mówił także o działalności i zasługach Smitha, Turgota, Kanta, Condorceta i t. d. Na zakończenie zaś zsumowawszy olbrzymie zdobycze naukowe wieku XVIII, p. S. dodał:

„Jest jeszcze jedna cecha, która na zawsze wyróżniać będzie XVIII stulecie od przeszłych i następnych wieków, to ten olbrzymi prąd szlachetnych i bezinteresownych uczuć, ten zapał niepohamowany do wielkich poświęceń i do wielkich czynów, jakiego daremnie szukać na kartach historyi. Nigdy głęboka myśl Vauvenargues'a nie znalazła i nie znajdzie dosadniejszego potwierdzenia: „Wielkie myśli płyną z serca“.

Wywody p. Szawłowskiego słuchane były z wielką uwagą i zrobiły widoczne wrażenie. Recenzye w ogóle powitały nowego człowieka, nieznanego dotąd ani z katedry, ani z literatury. Ale naturalnie nie mogło się obejść jednocześnie bez jakichś podejrzeń i posądzań. Zdaje się, że my zawsze nie dowierzamy, jeżeli ktoś z pośród nas okaże większy talent, lub większą wiedzę. Jakiś szczególnego rodzaju erudyta wykrył, że p. Szawłowski „zapożyczył się“ u...—*risum teneatis amici*— u... Drapera. Humorystyczny pomysł został humorystycznie wykonany, gdyż go rzuciły „Kolce“. Ta ostatnia okoliczność nie przeszkodzi, że się przypuszczenie szerzyć będzie jako fakt. Co tu większe: nieznajomość rzeczy, śmiałość, czy pochopność do przyczepienia choćby małéj łateczki.

Ogólne zebranie Tow. popierania przemysłu i handlu wysłuchało z ust p. Plewaki sprawozdania delegacyi rolnéj, wyznaczonéj do opracowania materyału, jaki się zgromadził w odpowiedzi na kwestyonaryusz Towarzystwa o przyczynach przesilenia rolnego. Bodźcem do téj pracy było zapytanie głównego komitetu Towarzystwa, który zapragnął poznać w téj kwestyi opinię tutejszego oddziału.

Kwestyonaryusz miał wykazać minimalną cenę produkcyi korca zboża oraz określić prawdopodobny wpływ, jaki rozwój produkcyi zbożowéj wywrzeć może na ceny zboża. Odpowiedzi nadesłano liczne, materyał więc był niemały.

Bezpośrednią przyczyną przesilenia rolnego jest naturalnie upadek cen zboża i w ogóle produktów rolnych. Delegacya obliczyła, że na 15 główniejszych rynkach w ciągu ostatnich lat, ceny pszenicy spadły przeszło 2 ruble, żyta o rubel i kop. 21, owsa blisko o dwa ruble na korcu!

Inne państwa potrafiły sztucznie podnieść cenę zboża i utrzymać

ją na wyższym poziomie. U nas przytém grunta ubogie i wyczerpane a obdłużone nie pozwalają produkować tanio. Z danych, zaczerpniętych w Tow. Kredytowém Ziemskiém, okazuje się, że na morgu gruntu ciąży dług 36 rs., po odtrąceniu zaś licznych nieużytków, ogólny dług Towarzystwa rozkłada się w stosunku 64 rs. na mórg urodzajnego gruntu, co wraz z amortyzacyą daje roczną opłatę 3 rs. i 84 kop. A przecież dług Towarzystwa Kredytowego nie jest długiem jedynym. W takich warunkach produkowane zboże musi wytrzymać walkę wolnéj konkurencyi ze zbożem urodzoném w ziemi dziewiczéj niemal. A z drugiéj strony nasiona, narzędzia i t. d. rolnik nasz nabywa oclone.

Taki stan rzeczy—twierdzi daléj sprawozdanie (posługujemy się streszczeniem „Słowa")— wypływa z ogólnéj polityki ekonomicznéj państwa i zmienić się nie da, upośledzone jednak wskutek protekcyjnego systemu celnego rolnictwo, ma prawo domagać się jakiegoś zadosyćuczynienia. Otóż Towarzystwa, kółka rolnicze, które ułatwiają wymianę myśli, oraz zjednoczenie drobnych kapitałów; szkoły specyalne, stacye doświadczalne, towarzystwa ubezpieczeniowe na wzajemności oparte, mogłyby przyjść z prawdziwą pomocą rolnictwu, przeto delegacya prosi zarząd, aby wystąpił z przedstawieniem i wyjednał za pośrednictwem głównego komitetu:

1) Ustawę normalną dla towarzystw i kółek rolniczych, których atrybucye byłyby takie, jak i towarzystw, istniejących w Cesarstwie.

2) Ustawę normalną dla towarzystw współdzielczych, która ułatwiłaby zakładanie takich towarzystw w kraju naszym.

3) Pozwolenie na zakładanie towarzystw ubezpieczenia od ognia i gradobicia, na wzajemności opartych.

W dalszym ciągu pracy delegacya przyszła do wniosku, że zmiany w prawodawstwie rolniczém są bardzo pożądane. Przedewszystkiém jest pilną reforma prawa wodnego, gdyż dziś młynarze nie pozwalają na ulepszenia łąk i gruntów nadwodnych. Lasy nie są zabezpieczone karami kontrawencyjnemi od złodziejstwa. Suma różnych opłat z morga jest za wielka, w interesie zaś dróg i komunikacyj należałoby zmienić obowiązujący dziś system szarwarkowy w ten sposób, aby obliczany został w stosunku do ilości koni, nie zaś do ilości posiadanych morgów. Koleje winny być zobowiązane do czuwania nad drogami dojazdowemi. Konieczną jest téż reforma prawa taryfowego, mianowicie: przywrócenie taryf tranzytowych, obniżenie lokalnych oraz bezpośredniéj z zagranicą komunikacyi i wydanie nowych niskich taryf na przewóz siana, słomy i materyałów nawozowych.

Interwencya władzy państwowéj w sprawie kredytu jest nieodzo-

wnie potrzebna. Bank państwa nie udziela kredytu osobistego rolnikom i nie wydaje pożyczek amortyzacyjnych na maszyny i narzędzia rolnicze. Zadrzewienie nieużytków i zamienienie ich na grunta użytkowe nie może się również obejść bez pomocy państwowéj. Interwencya władzy państwowéj w sprawach ekonomicznych jest kwestyą bardzo drażliwą. W bogatych ekonomicznie krajach, władza państwowa ogranicza się tylko do nadzoru nad prawidłowym biegiem interesów, w kraju jednak tak ubogim, jak nasz, gdzie obok braku kapitałów nietylko został wstrzymany przypływ, lecz nastąpiło odwołanie kapitałów zagranicznych, oddawna tu lokowanych — pomoc państwa staje się nieodzowną.

Wreszcie dla czuwania nad interesami rolnictwa potrzeba specyalnego organu „koncentrującego w sobie wszystkie sprawy dotyczące rolnictwa i przemysłu rolniczego, posiadającego odpowiednie atrybucye, a więc ministeryum rolnictwa.

Nie potrzeba dodawać, że u nas, gdzie przemysł ledwie w zawiązku i niepewny jutra, gdzie od pomyślności rolnictwa zależy byt milionów, że u nas sprawa opieki nad coraz trudniejszą i coraz niewdzięczniejszą pracą na zagonie stanowi pierwszorzędną potrzebę. Nie wątpimy, że wobec doniosłości rzeczy, delegacya potrafiła zebrać dosyć przekonywające argumenty, to téż miejmy nadzieję, że Towarzystwo główne weźmie sprawę do serca i potrzeby tak gwałtowne zostaną zaspokojone. Nie należy wszakże nigdy zbyt ufać środkowi jednemu, lecz myśléć o innych.

Lus.

W gotyckiéj sali zamku Malborskiego odbywa się uroczysta biesiada krzyżacka. Kilkadziesiąt osób, różnego wieku, stanu i narodowości, ucztuje, weseli się, spełnia puhary lub słucha muzyki i śpiewu kapturem osłoniętego lirnika. Nieznane tony, tajemnicze słowa pieśni wywołują na twarzach słuchaczy zdziwienie lub urągliwy uśmiech, dla reszty tego tłumu przebrzmiewają bez śladu. Tylko gospodarz domu, wielki mistrz zakonu, utonął uchem i duszą w téj muzyce, która jakieś dawne zbudziła w nim wspomnienia i ponure nasunęła myśli: może teraz, będąc na szczycie dostojeństwa i władzy, spostrzega, że mylną obrał drogę, że zmarnował życie.

Wielki karton, na którym tę scenę oglądamy, przykuwa do siebie widza, porusza w nim głębsze uczucia, poważne myśli, a jednocześnie zajmuje oko rozmaitością typów i ubiorów, pieści je bogactwem ornamentów i żywcem przenosi w wieki średnie. Czarodziejem, który takie na nas zrobił wrażenie, jest Andriolli. W „Uczcie krzyżackiéj“, podo-

bnie jak w kilku innych pracach tego artysty, któreśmy dawniéj oglądali, Andriolli złożył wymowny dowód i wielkiéj pracowitości i niemałego talentu. Życzymy artyście, aby z równą łatwością znalazł nabywcę swego kartonu, jak karton zdobył uznanie tych, którzy mieli go sposobność oglądać.

NEKROLOGIA.

† **Adam Władysław Piotrowski**, młody jeszcze literat, zmarł 31 marca r. b. w Warszawie, przeżywszy lat 37. Próbował sił swoich w dramacie historycznym, z których jeden o Władysławie Białym („Książę mnich na Kujawach“) był przed kilku laty przedstawiony na któréjś ze scen ogródkowych,—oraz w powieściach. Przez czas dość długi był stałym współpracownikiem „Zorzy“.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*.
Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено цензурою. Варшава, 3 Апрѣля 1890 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

w kwartale I-szym 1890 r.

1. **Bibliografia prawnicza,** obejmująca dzieła z dziedziny prawa, ekonomii, statystyki i nauk społecznych z ostatnich lat dwunastu (1878—1889). Na pamiątkę II-go Zjazdu prawników i ekonomistów polskich wydał *St. Botwiński.* Lwów. Księg. H. Altenberga, 1890, 8-o, str. VI i 58.
2. **De cognitione humana** ad mentem doctoris angelici S. Thomæ Aquinatis scripsit D-r *Josephus Laskowski.* Lwów, nakł. autora, 1889, 8-o, str. 252 i IV.
3. *Marja Konopnicka.* **Wybór poezyj.** Kraków, G. Gebethner i S-ka, 1890, w 16-ce, str. 262.
4. *Bolesław Prus.* **Lalka.** Powieść w trzech tomach. Z portretem autora. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1890, 8-o, str. 431, 503 i 439.
5. *Stanisław hr. Rzewuski.* **Hrabia Witold.** Powieść. Warszawa, skład głów. u Gebethnera i Wolffa, 1890, 8-o, str. 455, (cena rs. 1 kop. 50).
6. **Zagadnienia wieku XIX.** Polityka przez *Pawła Janet'a,* (tłómaczenie z francuzkiego). Składy głów.: w Warszawie Gebethner i Wolff, w Petersburgu B. Rymowicz, 1890, 8-o, str. 88. (Wydawnictwo imienia T. T. Jeża, ser. II, t. I). Cena kop. 40.
7. *H. Taine.* **O metodzie.** Przełożył z piątego, poprawionego przez autora wydania, *Ludomir Grendyszyński.* Przedmowę napisał *Adam Mahrburg.* Składy głów.: w Warszawie Gebethner i Wolff, w Petersburgu B. Rymowicz, 1890, 8-o, str. XLIX i 109. (Wydawnictwo imienia T. T. Jeża, ser. II, t. II). Cena kop. 50.
8. *Maurycy Stankiewicz.* Antykwaryat w Krakowie. **Katalog Nr. 3.** Kraków, 1890, 8-o, str. 16.
9. **Rozmyślanie nad nowym systematem ekonomii politycznej** przez *Jana Mittelstaedt.* Warszawa, w księg. Gebethnera i Wolffa, 1890, 8-o, str. 400 i 2 tablice.
10. **Oblężenie Kamieńca** w powieści i historyi. Studyum historyczno-literackie napisał *Tadeusz Sternal.* Lwów, księg. Seyfartha i Czaykowskiego, 1890, 8-o, str. 48.
11. **Krasula** przez *M. z Soleckich Błotnicką.* Warszawa, 1889, 8-o, str. 39.
12. **Trzydzieści morgów.** Powieść, opisał *Wicek z Warszawy.* Warszawa, 1890, 8-o, str. 31.
13. **Za Smyrą** czyli herszt szwarcowników przez *Maryę Waligórską.* Z rysunkami J. Chełmońskiego. Warszawa, 1890, 8-o, str. 120.
14. **Rocznik** towarzystwa ogrodniczego warszawskiego za rok 1889. Warszawa, 1890, 8-o, str. 40+30+9.
15. **Siły przyrody.** Popularny wykład fizyki i główniejszych jéj zastosowań. Podług dzieła A. Guillemin'a „Le monde physique" opracowali *Józefowa Nusbaum* i *Henryk Silberstein.* Warszawa, nakł. księg. H. Olawskiego, 1889, zeszyty 8—16 (str. 225—512), z licznemi rysunkami czarnemi i kolorowanemi. (Cena zeszytu kop. 20).

Upraszа się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

